



Maurice Druon

**Królowie
przekleci 1**



Król z żelaza



Księgozbiór DiGG



2010



Prolog

W początkach XIV wieku Francją rządził Filip IV, król o legendarnej urodzie. Był władcą absolutnym. Poskromił wojowniczą pychę wielkich baronów, zwyciężył Anglika w Akwitani^{1*}, zatriumfował nawet nad papieżem, którego przemocą osadził w Awinionie. Parlamenti słuchały jego rozkazów, synod był na jego żoździe.

Trzech dorosłych synów zapewniało mu ciągłość dynastii, córkę oddał królowi Anglii, Edwardowi II. Liczył wśród swych wasali sześciu innych królów, a sieć jego aliansów rozciągała się aż po Rosję.

Nie wymknęło mu się z rąk żadne bogactwo. Kolejno obciążał daniną posiadłości Kościoła, ograbiał Żydów, uderzał w kompanie lombardzkich bankierów. Aby zadość uczynić potrzebom skarbu, fałszował monetę. Z dnia na dzień złoto ważyło mniej, a wyceniano je drożej. Podatki miażdżyły kraj, policja rosła w siłę. Kryzysy gospodarcze rodziły ruinę i nędzę, a te z kolei - zamieszki topione we krwi. Bunty kończyły się na hakach szubienic.

Wszyscy musieli kłaniać się, zginać kark lub łamać przed królewskim majestatem. W umyśle tego chłodnego i okrutnego człowieka, który Rację Stanu cenił nade wszystko, gościła jednak idea wielkiego państwa. Pod jego rządami Francja była wielka, a Francuzi nieszczęśliwi.

Jedna tylko potęga ośmieliła mu się przeciwstawić: suwerenny rycerski Zakon Świątyni Jerozolimskiej². Olbrzymia ta organizacja wojskowa, a zarazem religijna i finansowa, swoją sławę i dobra zawdzięczała wyprawom krzyżowym, z których wyrosła.

Niezależność templariuszy niepokoiła Filipa Pięknego, a ich ogromne bogactwa pobudzały w nim chciwość. Zmontował przeciw nim największy proces, o jakim pamięć zachowała Historia, proces ten bowiem zaciążył nad piętnastu tysiącami obwinionych. Dopuszczono się w nim wszelkich nikczemności, a trwał on siedem lat.

U schyłku tego siódmego roku zaczyna się nasza opowieść.



* Cyfry w tekście oznaczają odsyłacze do *Not historycznych* na końcu tomu, gdzie czytelnik znajdzie również *Noty biograficzne*, dotyczące osób występujących lub wzmiankowanych w powieści. W nawiasach kwadratowych przypisy tłumacza. Biezące przypisy oznaczone gwiazdką.



CZĘŚĆ PIERWSZA

Przekleństwo



I

Niekochana królowa

Potęźny pień spoczywał na łożu tryskającego ogniem żaru, płonął w kominie. Zielonkawe, ujęte w kratki z ołowiu szybki sączyły skąpe światło marcowego dnia.

Trzy lwy Anglii zdobiły oparcie wysokiego dębowego krzesła, na którym, podparłszy podbródek dłonią, zapatrzona w błyski ognia siedziała królowa Izabela.

Miała dwadzieścia dwa lata. Jej złote włosy, splecione w długie, wysoko upięte warkoczki, tworzyły jakby dwa uchwyty amfory.

Słuchała, jak jedna z francuskich dam dworu czyta wiersz Guillaumea, diuka Akwitanii:

*Nie mogę pochwalić miłości,
Bo nie dała mi nic a nic
I nie miałem chwili radości...*

Śpiewny głos damy dworu gubił się w sali zbyt wielkiej, aby niewiasty mogły w niej żyć szczęśliwe.

*I zawsze tak ze mną bywało
Że miłość nie dała rozkoszy
I nic się z niej nie doznało...*

Pozbawiona miłości królowa westchnęła.

- Oto zaprawdę wzruszające słowa - rzekła - i jakby dla mnie. Ach! Minał już czas, gdy wielcy panowie, jak ten Guillaume, byli zarówno ćwiczeni w poezji, jak i w sztuce wojennej. Mówisz, że kiedy on żył? Przed dwustu laty? Można by przysiąc, że strofy te napisano wczoraj³.

I dla samej siebie powtórzyła:

*Nie mogę pochwalić miłości,
Bo nie dała mi nic a nic...*

Chwilę siedziała zamyślona.

- Czy mam dalej czytać, Miłościwa Pani? - zapytała lektorka, trzymając palec na iluminowanej stronie.

- Nie, miła przyjaciółko - odrzekła królowa - dosyć już dziś płakało moje serce.

Wyprostowała się i zmieniając ton powiedziała:

- Mój kuzyn Dostojny Pan d'Artois oznajmił mi swe przybycie. Racz pani czuwać, aby wprowadzono go natychmiast, gdy się pojawi.

- Przybył z Francji? Więc Miłościwa Pani będzie rada.

- Pragnę nią być... jeśli przywozi pomyślne wieści.

Z radośnie rozjaśnioną twarzą wbiegła inna dama dworu. Była to Joanna z rodu Joinville, małżonka sir Rogera Mortimera, jednego z pierwszych baronów Anglii.

- Pani! Pani! - wykrzyknęła. - On przemówił.

- Naprawdę? - odpowiedziała królowa. - I cóż rzekł?

- Uderzył w stół, Miłościwa Pani, i powiedział: „Chcę!”

Wyraz dumy pojawił się na pięknej twarzy Izabeli.

- Przyprawdźcie go do mnie - rozkazała.

Lady Mortimer wybiegła i po chwili powróciła, niosąc piętnastomiesięczne dziecko okrągłe, różowe i tłuściutkie, które postawiła u stóp królowej. Przyodziane było w haftowaną złotem szatę koloru granatu, zbyt ciężką na tak małą istotkę.

- Więc, mój panie synu, powiedziałeś: „Ja chcę” - rzekła Izabela pochylając się, aby pogłaskać go po policzku. - Podoba mi się, że twój pierwszy wyraz - to słowo królów.

Dziecko uśmiechało się do niej, kołysząc główką.

- A dlaczego on to powiedział? - podjęła królowa.

- Bo odmówiłam mu kawałek placka - odparła lady Mortimer.

Uśmiech Izabeli szybko zgasł.

- Ponieważ zaczął mówić - rzekła - żądam, aby nie zachęcano go do gruchania i gaworzenia, jak to zazwyczaj czyni się z dziećmi. Nieważne, czy powie „tata” czy „mama”, wolę, aby znał słowa „król” i „królowa”.

W jej głosie brzmiał wrodzony, wielki majestat.

- Wiesz, moja miła - ciągnęła dalej - jakie powody kazały mi wybrać cię na wychowawczynię mego syna. Jesteś stryjeczną wnuczką sławnego pana de Joinville, który brał udział w wyprawie krzyżowej u boku mego pradziada, Miłościwego Pana Ludwika Świętego. Potrafisz pouczyć to dziecko, że jest rodem tak z Francji, jak i z Anglii.

Lady Mortimer skłoniła się. W owej chwili powróciła pierwsza francuska dama dworu, oznajmiając przybycie Dostojnego Pana hrabiego Roberta d'Artois.

Królowa wyprostowała się, oparła o krzesło i skrzyżowała ręce na piersiach, w postawie bóstwa. Troska o zachowanie królewskiego majestatu nie zdołała dodać jej lat.

Krok wagi dwustu funtów wstrząsnął podłogą.

Wszedł człowiek o wzroście sześciu stóp, o udach jak pnie dębu, pięściach jak maczugi. Jego czerwone buty z kordobańskiej skóry były nie oczyszczone, zbrukane resztkami błota; oponcza, zwisająca mu z ramion, tak obszerna, że mogła pokryć łożę. Dodać mu tylko sztylet u boku, a zdawałoby się, że rusza na wyprawę zbrojną. Ledwo się zjawił, a wszystko wokół wydawało się słabe, wątłe, kruche. Podbródek miał krągły, nos krótki, szczękę szeroką, potężny tors. Trzeba mu było więcej powietrza niż innym ludziom. Olbrzym miał dwadzieścia siedem lat, lecz jego wiek ginał w mięśniach i równie dobrze dałoby mu się o dziesięć lat więcej.

Zbliżając się do królowej zrzucił rękawice, przykląkł na jedno kolano, z gibkością zadziwiającą u takiego kolosa, i powstał, zanim ktokolwiek miał czas go o to poprosić.

- A więc, Panie mój kuzynie - rzekła Izabela - dobrą mieliście przeprawę przez morze?

- Ohydną, Miłościwa Pani, okropną - odpowiedział Robert d'Artois. - Burza mogła wytrząść flaki i duszę. Byłem tak pewny, że wybiła moja ostatnia godzina, iż z grzechów jałem spowiadać się Bogu. Na szczęście było ich tak wiele, że nim wypowiedziałem połowę, przybiliśmy do brzegu. Zachowałem resztę na powrót.

Wybuchnął śmiechem, aż zadrżały szyby.

- Do pioruna - ciągnął - jestem raczej stworzony, by przebiegać lądy, niż cwałować po słonej wodzie. I tylko miłość do was, Pani moja kuzynko, oraz palące sprawy, o których mam was powiadomić...

- Pozwólcie, że dokończę, kuzynie - rzekła przerywając Izabela.

Wskazała na dziecko.

- Mój syn dzisiaj zaczął mówić.

I do lady Mortimer:

- Żądam, aby został obznajomiony z imionami swoich krewnych i wiedział, gdy tylko to będzie możliwe, że jego dziad Filip jest królem słodkiej Francji. Zaczynij odmawiać przy nim *Pater* i *Ave* oraz modlitwę do Miłościwego Pana Ludwika Świętego. Te rzeczy należy wpoić mu w serce, zanim je pojmie rozumem.

Była rada, mogąc pokazać jednemu z krewniaków, który sam był potomkiem brata Ludwika Świętego, w jaki sposób czuwa nad wychowaniem syna.

- Pięknie pouczacie tego młodzieńca - rzekł Robert d'Artois.

- Nigdy nie jest za wcześnie, aby nauczyć się rządzić - odpowiedziała Izabela.

Dziecko próbowało chodzić ostrożnymi, chwiejnymi kroczkami niemowlęcia.

- Czy to jest możliwe, abyśmy kiedyś tacy byli? - zapytał d'Artois.

- Spoglądając na was, kuzynie - rzekła z uśmiechem królowa - trudno to sobie wyobrazić.

Patrząc na Roberta d'Artois, przez chwilę myślała o uczuciach, jakich doświadczyć mogła mała i drobna kobieta, która urodziła tę ludzką fortecę; następnie przeniosła wzrok na syna.

Dziecko posuwało się naprzód z rączkami wyciągniętymi ku ognisku, jakby chciało pochwycić płomień w malutką piąstkę.

Wysuwając naprzód stopę, Robert d'Artois zagroził mu drogę. Mały książę bez lęku chwycił czerwony but, który ledwie mógł objąć, i usiadł na nim okrakiem. Olbrzym począł go huścić na nodze, podnosząc i opuszczając roześmiane dziecko, zachwycone tą niespodziewaną zabawą.

- Ach! Wielmożny Edwardzie - powiedział d'Artois - czy ośmielę się kiedyś, gdy będziesz potężnym władcą, przypomnieć Tobie, że jechałeś konno na moim bucie?

- Będziecie mogli, kuzynie, zawsze będziecie mogli, o ile nadal pozostaniecie naszym szczerym przyjacielem. A teraz proszę zostawić nas samych - rzekła Izabela.

- Więc raczcie wylądować, Panie - powiedział d'Artois stawiając stopę.

Francuskie damy dworu wycofały się do przyległej komnaty, zabierając dziecię przeznaczone na króla Anglii, jeśli zwykłym torem potoczy się jego los.

D'Artois odczekał chwilę.

- A więc, Pani - rzekł - aby dopełnić lekcji udzielanych przez was waszemu synowi, możecie go także pouczyć, że Małgorzata Burgundzka, wnuczka Ludwika Świętego, królowa Nawarry i przyszła królowa Francji, znajduje się na prostej drodze, aby lud nazwał ją Małgorzatą Kurwą.

- Naprawdę? - powiedziała Izabela. - Więc to, cośmy przeczuwali, było prawdą?

- Tak, kuzynko. I nie tylko jeśli idzie o Małgorzatę, ale i o dwie tamte wasze bratowe.

- Joannę i Blankę?...

- Blanka, jestem pewien. Joanna...

Robert d'Artois ruchem potężnej dłoni wyraził swą niepewność.

- Jest bardziej przebiegła niż tamte - powiedział. - Ale mam wszelkie dane sądzić, że również jest ostatnią ladacznicą.

Postąpił trzy kroki naprzód i pochylił się, aby dorzucić:

- Wasi trzej bracia są rogaczami, Pani, rogaczami jak zwykłe chamy.

Królowa wstała, jej policzki zaróżowiły się nieco.

- Jeśli pewne, co mi prawicie, nie zniosę tego. Nie zniosę takiej hańby ani tego, aby moja rodzina stała się pośmiewiskiem.

- Wierzcie mi, wielmoże Francji nie zniosą tego również.

- Macie imiona... dowody?

D'Artois westchnął głęboko.

- Kiedy ubiegłego lata przybyliście do Francji wraz z waszym panem małżonkiem na te wspaniałe uroczystości, kiedy to miałem zaszczyt być pasowany na rycerza równocześnie z waszymi braćmi... bo pojmujecie, nie frymarczy się zaszczytami, które nic nie kosztują... zwierzyłem się wam z podejrzeń, a wy, Pani, ze swoich. Żądaliście wtedy, abym czuwał i was powiadomił. Jestem waszym sojusznikiem; zrobiłem jedno, spełniam drugie.

- Więc czegoście się dowiedzieli? - zapytała niecierpliwie Izabela.

- Najpierw, że pewne klejnoty znikają ze szkatuły waszej słodkiej bratowej Małgorzaty. A jeśli kobieta w tajemnicy pozbywa się klejnotów, to albo obdarowuje nimi gacha, albo przekupuje współnika. Jej łajdactwo jest oczywiste. Nieprawda?

- Może twierdzić, że złożyła ofiarę na kościół.

- Nie zawsze. Nie wtedy, gdy na przykład pewną zapinkę zamieniono u pewnego kupca lombardzkiego na pewien sztylet z Damaszku...

- A wykryliście, u czyjego pasa wisiał ten sztylet?

- Niestety nie! - odrzekł d'Artois. - Szukam, lecz straciłem ślad. Zręczne są nasze ślicznotki. W moich lasach Conches nigdy nie spotkałem jelenia, który by lepiej umiał zmylić drogę i naprowadzić na fałszywy trop.

Izabela była rozczarowana. Przewidując, co zamierza powiedzieć, Robert d'Artois szeroko rozłożył ręce.

- Czekajcie, czekajcie! - wykrzyknął. - Jestem dobrym łowcom, rzadko chybiam gonioną zwierzynę... Uczciwa, wstydliva, czysta Małgorzata w starej wieży pałacu Nesle przysposobiła sobie komnatki, aby tam, wedle jej słów, usuwać się na modły. Okazuje się jednak, że modły odprawia właśnie wtedy, gdy nieobecny bywa wasz brat Ludwik Nawarry. A światło świeci się tam długo w noc. Odwiedza ją tam kuzynka Blanka, a czasem i kuzynka Joanna. Szelmy dzierłatki! Gdy jedną z nich zapytać, ma wtedy wszelką podstawę by odpowiedzieć: „Jakże to? O co mnie oskarżacie? Byłam przecież z tamtą!” Jedna grzeszna niewiasta słabo się broni, trzy zjednoczone ładacznice to forteca. Właśnie w te noce, gdy Ludwika nie ma, w te noce, gdy wieża Nesle jest oświetlona, na brzegu u jej stóp, w miejscu zazwyczaj opustoszałym o tak późnej godzinie, cokolwiek za dużo jest ruchu. Widziano wychodzących mężczyzn, bynajmniej nie w zakonnych szatach, a przecież gdyby mieli odprawiać nieszpory, wychodziliby innymi drzwiami. Dwór milczy, lecz lud zaczyna jazgotać, bo czeladź wygaduje, nim panowie...

To mówiąc, ciskał się, gestykulował, aż drżała podłoga, łopotał połami oponczy. Popisywanie się nadmiarem siły było u Roberta d'Artois jednym ze sposobów perswazji. Starał się przekonać tak mięśniami jak słowem. Ogarniał rozmówcę jakby wichurą, a rubaszość mowy, tak pasująca do jego wyglądu, zdawała się dowodzić szczerą prostodusznością. Przyjrząwszy się jednak bliżej, można było podejrzewać, że ten zamęt jest po prostu popisem kuglarza i grą komedianta. Czujna, zacięta nienawiść lśniła w jego szarych oczach. Młoda królowa starała się zachować jasność swego sądu.

- Mówiliście o tym królowi, memu ojcu? - spytała.

- Moja łaskawa kuzynko, znacie króla Filipa lepiej niż ja. Tak wierzy w niewieścią cnotę, że trzeba by mu pokazać wasze bratowe tarzające się z gachami, aby zgodził się mnie wysłuchać. A ja nie jestem w łaskach u dworu, odkąd przegrałem mój proces...

- Wiem, kuzynie, wyrządzono wam krzywdę; gdyby to zależało tylko ode mnie, krzywda byłaby naprawiona.

Robert d'Artois rzucił się do ręki królowej, aby ją ucałować.

- Lecz z powodu tego właśnie procesu - podjęła łagodnie Izabela - czyż nie można by sądzić, że obecnie działacie przez zemstę?

Olbrzym wyprostował się żywo.

- Ależ oczywiście, Pani, że działam przez zemstę!

Jego szczerłość była rozbrajająca. Można by sądzić, że już wpadł w zastawione sidła, że już przyłapano go na krętactwie, a on stał przed

wami jak otwarta księga.

- Skradziono moje dziedzictwo, moje hrabstwo Artois - wykrzyknął - żeby dać je mojej stryjnii Mahaut Burgundzkiej... tej suce... łajdaczce... oby zdechła! Niech trąd jej zeżre wargi, a pierś odpadnie w ochłapach. A dlaczego to zrobiono? Bo podstępem, intrygą i pakowaniem pięknie dźwięczących liwrów w łapy doradców waszego ojca zdołała ożenić waszych trzech braci ze swymi dwiema ładacznicami córkami i trzecią ładacznicą, kuzynką.

I zaczął naśladować wyimaginowane przemówienie swej stryjny Mahaut, hrabiny Burgundii i Artois, do króla Filipa Pięknego.

„Miłościwy Panie, mój krewniaku, mój kumie, a gdybyśmy tak wydali moją drogą pieszczotkę Joannę za waszego syna Ludwika? Nie, to już wam teraz nie odpowiada. Wolicie dać mu Margot. Dobrze, dajcie więc Joannę Filipowi, a moją słodką Blanszetkę waszemu pięknemu Karolowi. Jak to będzie miło, gdy się pokochają! A potem, jeśli dostanę Artois po zmarłym ojcu, to moje burgundzkie Franche-Comté przypadnie jednej z tych ptaszynek, Joannie, jeśli wola; w ten sposób wasz drugi syn stanie się hrabią-palatynem Burgundii i będziecie go mogli wysunąć na kandydata do korony Niemiec. Mój bratanek Robert? Dać kość tej sobace. Zamek Conches, ziemie Beaumont wystarczą chamowi. I szepczę filuternie do ucha Nogareta, i posyłam tysiąc cudeńków Marigny'emu... i swatam jedną, i swatam dwie, i swatam trzy. A po tym wszystkim małe gamratki spiskują, posyłają do siebie liściki, dobierają kochanków i dbają, aby pięknie ozdobić rogami koronę Francji...” O, gdyby były bez skazy, Pani, zgryzłbym moje wędzidło, lecz że się tak podle prowadzą, pojmą córy Burgundii, co to kosztuje, i na nich pomszczę krzywdy, jakie mi wyrządziła ich matka⁴.

Izabela siedziała zamyślona pod tym huraganem słów. D'Artois zbliżył się do niej i zniżył głos:

- One was nienawidzą.

- Co prawda i ja od początku ich nie lubiłam, i to nie wiadomo dlaczego - odrzekła Izabela.

- Wy ich nie lubicie, bo są fałszywe, myślą tylko o przyjemnościach i nie mają wcale poczucia obowiązku. Ale one, one was nienawidzą, bo wam zazdroszczą.

- Mój los jednakże nie jest godny zazdrości - rzekła wzdychając Izabela.

- Ich los wydaje się słodszy niż mój.

- Jesteś królową, Miłościwa Pani. Jesteś nią z duszy i ciała; wasze bratowe mogą nosić koronę, lecz takie nie będą nigdy. Dlatego zawsze będą was traktować jak wroga.

Izabela podniosła na kuzyna piękne błękitne oczy i tym razem d'Artois uczuł, że trafił celnie. Izabela ostatecznie znalazła się po jego stronie.

- Znacie imiona... tych ludzi, z którymi moje bratowe...

Nie miała rubasznego języka swego kuzyna i wzbraniała się wypowiadać pewne słowa.

- Bez tego nie mogę nic zrobić - ciągnęła. - Uzyskajcie je, a przyrzekam solennie udać się wtedy natychmiast do Paryża pod jakimkolwiek pozorem, aby skończyć z tą rozpustą. W czym jeszcze mogę wam pomóc?

Uprzedziliście mego stryja Valois?

- Strzegłem się tego - odrzekł Robert. - Dostojny Pan de Valois jest moim najlepszym opiekunem i najwierniejszym przyjacielem, ale nie potrafi milczeć. Rozgadałby wszędzie to, co chcemy ukryć. Za wcześniej obudziłby czujność, a my chcąc przyłapać te rozpustnice, znaleźlibyśmy je stateczne jak mniszki.

- Cóż proponujecie?

- Dwa manewry - rzekł d'Artois. - Pierwszy to mianować przy Pani Małgorzacie nową damę dworu, całkowicie nam oddaną, która by nas dokładnie informowała. Myślałem o świeżo owdowiałej pani de Comminges, której należą się względy. Tu może się przydać wasz stryj Valois. Dostarczcie mu list wyrażający wasze życzenie. Ma wielki wpływ na waszego brata Ludwika i natychmiast wprowadzi panią de Comminges do pałacu Nesle. W ten sposób będziemy mieli na miejscu oddaną osobę, a jak mówią wojacy: szpieg wewnątrz wart jest więcej niż armia na zewnątrz murów.

- Napiszę ten list i zabierzecie go ze sobą - powiedziała Izabela. - I co jeszcze?

- Jednocześnie trzeba by uspić nieufność waszych bratowych i robiąc słodką minę wysłać im miłe upominki - ciągnął d'Artois. - Podarunki stosowne zarówno dla mężczyzny, jak i niewiasty. Prześlijcie je potajemnie, nie powiadamiając ani ojca, ani małżonków, niby drobną przyjacielską, wspólną tajemnicę. Małgorzata ograbia swą szkatułkę dla jakiegoś pięknego nieznanego; byłaby to naprawdę złośliwość losu, jeśli opatrując ją darem, z którego nie musi się wyliczać, nie znaleźlibyśmy tego fantu u pasa poszukiwanego przez nas kawalera. Stwórzmy okazję do lekkomyślnego postępu.

Izabela namyślała się chwilę, następnie klasnęła w dłonie. Pojawiła się pierwsza francuska dama dworu.

- Moja miła - powiedziała królowa - raczcie posłać po tę jałmużniczkę, którą zachwalał mi dziś rano kupiec Albizzi.

W czasie krótkiej przerwy Robert d'Artois nareszcie odetchnął od knowań i spisków i miał czas obejrzeć salę, w której się znajdował, namalowane na ścianach freski o treści religijnej, olbrzymi drewniany sufit w kształcie kilu. Wszystko tu było raczej nowe, smutne i zimne; sprzęt był piękny, lecz niezbyt obfity.

- Niewesołe to wasze mieszkanie, kuzynko - rzekł. - Bardziej wygląda na katedrę niż na zamek.

- Daj Boże - odpowiedziała półgłosem Izabela - aby nie stało się moim więzieniem. Bardzo brakuje mi Francji, i jakże często.

Francuska dama dworu powróciła, niosąc dużą jedwabną torbę, haftowaną złotą i srebrną nicią w wypukłe postacie i ozdobioną na wyłogu trzema drogocennymi, polerowanymi kamieniami wielkości orzechów.

- Cudo! - wykrzyknął d'Artois. - Tego nam właśnie trzeba. Za ciężkie na damską ozdobę, trochę za lekkie dla mnie, bo raczej przystoi mi skrzynka kartaczów niż trzosik⁵. Oto rzecz, o jakiej marzy dworski kawaler, aby przypiąć ja do pasa i budzić podziw...

- Zamówcie u Albizziego dwa podobne trzosi - rzekła Izabela do dwórki

- i ponaglijcie, by je prędko dostarczył.

A kiedy dama dworu wyszła, dorzuciła:

- Tak więc, mój kuzynie, będziecie je mogli zabrać ze sobą do Francji.

- I nikt się nie dowie, że przeszły przez moje ręce.

Za murami rozległy się hałasy, okrzyki, śmiechy Robert d'Artois zbliżył się do okna. Na podwórzu grupa murarzy wciągnęła ciężki klucz sklepienia. Ludzie ciągnęli za sznury bloków; inni, siedząc na rusztowaniu, szykowali się do ujęcia kamiennego bloku, a całą pracę, jak się zdaje, wykonywali w świetnym humorze.

- Ach tak! - rzekł Robert d'Artois - widać, że król Edward wciąż lubi murarkę.

Rozpoznał wśród robotników Edwarda II, męża Izabeli. Był to przystojny mężczyzna, lat około trzydziestu, o falujących włosach, szerokich ramionach, gibkich biodrach. Jego aksamitny strój poplamiony był gipsem.

- Już piętnaście lat przebudowują Westmoutiers - z gniewem rzekła Izabela.

Podobnie jak cały dwór wymawiała z francuska Westmoutiers zamiast Westminster.

- Od sześciu lat, od mego ślubu - podjęła - żyję wśród kielni i zaprawy. Wciąż burzy się to, co zbudowano przed miesiącem. O nie, nie murarkę on lubi, lecz murarzy. Czy myślicie, że mówią do niego „Sire”? Nazywają go Edwardem, kpią z niego, a on jest tym zachwycony. Proszę, patrzcie!

Na podwórzu Edward II wydawał rozkazy obejmując za szyję młodego robotnika. Wokół króla panowała podejrzanie poufała atmosfera.

- Myślałam - podjęła Izabela - że za przyczyną kawalera de Gaveston zaszłam najgorszego. Ten zuchwały i pyszałkowaty Bearnczyk tak owaładnął moim mężem, iż zaczął rządzić królestwem. Edward podarował mu wszystkie klejnoty z mojej ślubnej szkatuły. Zaiste, w naszych rodzinach zapanował zwyczaj, że klejnoty kobiet w ten czy inny sposób stają się ozdobą mężczyzn.

W obecności krewniaka i przyjaciela Izabela mogła wyznać własne upokorzenia i troski. W istocie, obyczaje Edwarda II były znane całej Europie.

- Ubiegłego roku baronowie i ja zdołaliśmy obalić Gavestona; ścięto mu głowę, i radowałam się, że jego ciało zgnije w Oxfordzie u dominikanów. A jednak zdarza mi się, kuzynie, żałować rycerza Gavestona, bo od tego czasu, jakby przez zemstę, Edward ściąga do pałacu najgorszą, najpodlejszą hołotę. Biega w Londynie po szynkach portowych, biesiadując z włóczęgami, pasuje się z ładowaczami, na wyścigach z koniuchami. Istotnie, piękne dla nas wydaje turnieje! W tym czasie kto chce, niech rządzi królestwem, byle dostarczał u przyjemności i z nim je dzielił. Obecnie w łaskach są baronowie Despenser; ojciec rządzi synem, a ten jest żoną memu małżonkowi. Edward już nie zbliża się do mnie, a jeśli przypadkiem zabłądzi do mej łóżnicy, ogarnia mnie taki wstyd, że nie mam dla niego nic prócz chłodu.

Spuściła głowę.

- Królowa jest najędzniejszą z poddaneek, jeżeli mąż jej nie kocha -

dorzuciła. - Wystarczy, aby zapewniła następstwo tronu; potem jej istnienie już się nie liczy. Jakaż żona barona, jaka mieszcza lub wieśniaczka zniosłaby to, co ja muszę znosić... bo jestem królową. Ostatnia pracza w królestwie ma więcej praw niż ja; może przyjść i szukać u mnie oparcia.

- Moja kuzynko, moja piękna kuzynko, ja, ja ci chcę służyć oparciem! - rzekł gorąco d'Artois.

Ze smutkiem wzruszyła ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć: „Cóż możecie dla mnie?” Stali naprzeciw siebie. Wyciągnął ręce, ujął ją za łokcie, najdelikatniej jak umiał, i szepnął:

- Izabelo...

Położyła ręce na ramionach olbrzyma. Spojrzeli na siebie i ogarnęło ich nieoczekiwane zmieszanie. D'Artois nagle dziwnie wzruszył się i stał jakby skrepowany własną siłą, której bał się niezręcznie użyć. Gwałtownie zapragnął poświęcić tej kruchej królowej własny czas, ciało, życie. Pożądał jej gwałtownym, brutalnym pragnieniem, którego nie umiał wyrazić. Zazwyczaj jego upodobania nie pociągały go do wybitnych kobiet i nie odznaczał się wdziękiem w zalotach.

- Za to, czym król gardzi, nie widząc doskonałości - rzekł - wielu mężczyzn na klęczkach dziękowałoby niebu. W waszym wieku tak świeża, tak piękna, czy to możliwe, abyś była pozbawiona przyrodzonych radości? Czy to możliwe, aby nikt nie całował tych warg? Aby te ramiona... to słodkie ciało... Ach, obdarz szczęściem jakiegoś mężczyznę, Izabelo, i obym ja nim został!

Dość bezpośrednio zmierzał w słowach do tego, co spodziewał się uzyskać; jego wymowa nie przypominała pieśni Guillaume'a, diuka Akwitanii. Lecz Izabela nie odrywała od niego wzroku. Owładnął nią, miażdżył swoją postacią. Pachniał lasem, skórą, koniem i zbroją. Nie miał ani głosu, ani aparycji uwodziciela, a jednak czuła się uwiedziona. Był prawdziwym mężczyzną, brutalnym i gwałtownym samcem o gorącym oddechu. Izabela czuła, że odbiega ją wola, i pragnęła już tylko oprzeć głowę o tę pierś bawołu i ulec... ugasić wielkie pragnienie...

Drżała nieco. Jednym ruchem uwolniła się.

- Nie, Robercie! - wykrzyknęła. - Nie zrobię tego, co tak bardzo wyrzucam moim bratowym. Nie chcę, nie mogę. Lecz gdy myślę o tym, co sobie narzucam i czego sobie odmawiam, kiedy te ścierwa mają szczęście należeć do mężów, którzy ich tak kochają... Ach! Nie! Muszą być ukarane, surowo ukarane!

Pastwiła się w wyobraźni nad winowajczyniami, ponieważ sama nie godziła się zostać winowajczynią. Znowu zasiadła w wielkim dębowym krześle. Robert d'Artois zbliżył się.

- Nie, Robercie - powtórzyła wyciągając ręce. - Nie korzystajcie z mojej słabości, rozgniewalibyście mnie.

Wyjątkowa uroda wzbudza tyleż szacunku co majestat. Olbrzym usłuchał.

Lecz ta chwila nie miała się już zatrzeć w ich pamięci. „Więc mogę być kochana” - mówiła do siebie Izabela i odczuła jakby wdzięczność dla mężczyzny, który ją w tym upewnił.

- Czy to wszystko, co mieliście mi powiedzieć, kuzynie, nie przywozicie

żadnych innych wiadomości? - rzekła czyniąc wysiłek, aby się opanować.

Robert d'Artois, który rozważał, czy powinien dalej posuwać zaloty, milczał chwilę.

- Tak, Pani - rzekł - mam także posłannictwo od waszego stryja Valois.

Nowe więzy, jakie się między nimi zadzierzgnęły, nadawały inny podźwięk słowom, nie mogli w pełni skupić się na tym, co mówili.

- Dygnitarze z zakonu templariuszy wkrótce będą sądzeni - mówił d'Artois. - Istnieje obawa, że wasz chrzestny ojciec, wielki mistrz Jakub de Molay, zostanie skazany na śmierć. Dostojny Pan de Valois prosi was o list do króla, aby go skłonić do okazania łaski.

Izabela nie odpowiedziała. Przyjęła swą zwykłą postawę z podbródkiem wspartym na dłoni.

- Jakże go przypominacie w tej pozie - rzekł d'Artois.

- Kogo?

- Króla Filipa, waszego ojca.

Podniosła na niego oczy i zamyśliła się.

- To, co postanawia król, mój ojciec, jest słusznym postanowieniem - odpowiedziała wreszcie. - Mogę wkraczać w sprawy związane z honorem rodziny, ale nie w sprawy dotyczące rządów królestwa.

- Jakub de Molay jest starym człowiekiem. Był szlachetny i był wielki. Jeśli popełnił błędy, odpokutował za nie. Przypomnijcie sobie, Pani, że trzymał was do chrztu. Wierzajcie mi, raz jeszcze popełniony zostanie wielki występki i raz jeszcze za sprawą Nogareta i Marigny'ego. Ci ludzie, którzy wyszli z pospólstwa, uderzając w zakon, chcieli uderzyć w całe rycerstwo i wysokich baronów.

Królowa była zakłopotana; sprawa wyraźnie ją przerastała.

- Nie mogę o tym wydać sądu - rzekła - nie mogę o tym wydać sądu.

- Wiecie, że mam wielki dług wobec waszego stryja; będzie mi wdzięczny, jeśli otrzymam od was ten list. A litość zawsze przystoi królowej; niewieście to uczucie i zyskać wam może tylko pochwały. Nikt wam nie zarzuci, że macie twarde serce, bo otrzymał już od was właściwą odpowiedź. Uczynicie to dla siebie samej, Izabelo, uczynicie to dla mnie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Kryjcie sporo zręczności pod skórą wilkołaka, kuzynie Robercie. Idźcie, napiszę ten upragniony list i będziecie go mogli zabrać ze sobą. Kiedy odjeżdżacie?

- Kiedy rozkażecie, kuzynko.

- Sądzę, że jałmużniczki zostaną dostarczone jutro. To szybko.

W głosie królowej brzmiał żal. Znowu spojrzeli na siebie i znowu Izabela zmieszala się.

- Będę oczekiwała waszego posłańca, aby się dowiedzieć, czy mam wyruszyć do Francji. Żegnajcie, mój kuzynie. Zobaczymy się przy wieczerzy.

D'Artois pożegnał się, a po jego wyjściu komnata wydała się królowej dziwnie cicha, jak górską doliną po przejściu huraganu. Izabela zamknęła oczy i długą chwilę siedziała nieruchoma.

Ludzie powołani do odegrania decydującej roli w historii narodów najczęściej nie zdają sobie sprawy, jak się w nich wciela zbiorowy los. Te

dwie osobistości, co pewnego marcowego popołudnia 1314 roku prowadziły długą rozmowę na zamku Westminster, nie mogły sobie nawet wyobrazić, że wskutek splotu ich czynów będą inicjatorami wojny między Anglią a Francją, która trwać będzie przeszło sto lat.





II

Więźniowie z twierdzy Temple

Mury pokrywały wykwity saletry. Przydymiona, żółtawa poświata wolno zstępowała do wykutej w podziemiu niskiej sali.

Więzień, który drzemał z rękami złożonymi pod brodą, zadrzał i nagle wyprostował się przerażony z gwałtownie bijącym sercem. Ujrzał poranną mgłę, spływającą przez wąziutkie okienko. Nasłuchiwał. Uchwycił wyraźny, choć przytłumiony grubymi murami, głos wzywających na jutrznię dzwonów, paryskich dzwonów z Saint-Martin, Saint-Merry, Saint-Germain-l'Auxerrois, Saint-Eustache i Notre-Dame; wiejskich dzwonów z wiosek: Courtille, Clignancourt i Mont-Martre.

Więzień nie dosłyszał niczego, co mogłoby w nim wzbudzić niepokój. Jedyne dławiąca trwoga kazała mu się zerwać, trwoga, którą odnajdował przy każdym przebudzeniu, podobnie jak w każdym śnie odnajdywał koszmar.

Wziął z ziemi drewniana miseczkę i wypił spory łyk wody, aby ukoić gorączkę, która go nie opuszczała od wielu, wielu dni. Wypiwszy, zaczął, aż woda się ustoi, i pochylił się nad nią jak nad zwierciadłem. Zdołał uchwycić niewyraźny i ciemny obraz stuletniego starca. Wpatrywał się tak kilka chwil, szukając tego, co pozostało z jego dawnego wyglądu w chwiejącej się na wodzie twarzy, w brodzie praszczura, w długim wychudzonym nosie, w zapadłych bezzębnych ustach drżących na dnie miseczki.

Później podniósł się wolno, postąpił dwa kroki, aż poczuł, jak napina się łańcuch skuwający go z murem. I nagle zawył:

- Jakub de Molay! Jakub de Molay! Ja jestem Jakub de Molay!

Nikt mu nie odpowiedział; nikt nie mógł mu odpowiedzieć. Ale musiał wykrzyczeć własne imię, aby nie stracić zmysłów, aby sobie przypomnieć, że to on dowodził armiami, rządził prowincjami, dzierżył władzę równą monarszej i że do ostatniego tchnienia będzie wciąż, nawet w tej ciemnicy, wielkim mistrzem rycerskiego zakonu templariuszy.

Spostrzegł, że przez nadmiar okrucieństwa, czy też na pośmiewisko, wyznaczono mu na więzienie niską salę w wielkiej wieży pałacu Temple, macierzystej siedzibie zakonu.

- I to właśnie ja kazałem odnowić tę wieżę! - wykrzyknął z gniewem wielki mistrz, uderzając pięścią w mur.

Ruch ten wydarł mu okrzyk. Zapomniał, że kciuk zmiażdżono mu na torturach. Ale jakież miejsce na jego ciele nie było raną lub siedliskiem bólu? Krew źle krążyła w członkach, cierpiał z powodu okropnych kurczy, odkąd poddano go torturze hiszpańskich trzewików... Nogi miał wtedy ujęte w dębowe deski, które oprawcy zaciskali, wbijając kliny młotem; słuchał chłodnego, nalegającego głosu Wilhelma de Nogaret, strażnika

królewskich pieczęci, który namawiał go, aby się przyznał. Przyznał do czego?... Zemdłał.

Na poranym, poszarpanym ciele brud, wilgoć, brak pożywienia dokonały swego dzieła.

Lecz ze wszystkich przebytych tortur z pewnością najokropniejsze było „wyciąganie”. Podniesiono go na sznurze od bloku pod powałę, a u prawej nogi miał przywieszony ciężar wagi stu osiemdziesięciu funtów. I wciąż złowrogi głos Wilhelma de Nogaret: „Ależ wyznajcie, panie...” A ponieważ uparcie zaprzeczał, oprawcy ciągnęli coraz silniej, coraz szybciej, od ziemi po sklepienie. Czując, że członki rozstępują się, stawy rozłączają, brzuch i piersi pękają, począł krzyczeć, iż wyzna, tak, wszystko, każdą zbrodnię, wszystkie zbrodnie świata. Tak, templariusze uprawiali sodomie; tak, aby wstąpić do zakonu, musieli pluć na krzyż; tak, wielbili bożka o głowie kota; tak, oddawali się magii, czarom, czci diabła; tak, sprzeniewierzali powierzone im fundusze; tak, podzegli do spisku przeciw papieżowi i królowi... I co jeszcze?

Jakub de Molay zastanawiał się, jak mógł to wszystko przeżyć. Zapewne dlatego, że tortury umiejętnie dawkowano, nigdy nie posuwano ich tak daleko, by spowodować śmierć, ale i dlatego, że stary rycerz, zahartowany w ćwiczeniach z bronią i wojnie, miał więcej odporności, niż sam przypuszczał.

Ukląkł, skierował oczy na jasny promień w okienku.

- Panie mój i Boże - rzekł - dlaczego mniej siły wlałeś w moją duszę niż w powłokę cielesną? Czy byłem godny stać na czele zakonu? Pozwoliłeś mi popaść w tchórzostwo, oszczędź mi, Panie Boże, abym nie popadł w szaleństwo. Już nie potrafię więcej zdzierżyć, już nie potrafię.

Od siedmiu lat zakuty w łańcuchy, wychodził tylko, gdy prowadzono go przed komisje śledcze, gdzie musiał znosić pogróżki legistów, każdy nacisk teologów. Rzeczywiście, przy podobnym trybie postępowania mógł lękać się obłądu. Wielki mistrz często tracił poczucie czasu. Aby się czymś zająć, usiłował oswoić parę szczurów, która co noc przychodziła dojadać resztki chleba. Przechodził od gniewu do łez, od napadów dewocji do żądzy gwałtu, od ośpienia do furii.

- Niech za to szezna, niech za to szezna - powtarzał sobie.

Kto miał szeznać? Klemens, Wilhelm, Filip... Papież, strażnik pieczęci, król. Niech pomrą; Molay nie wiedział, w jaki sposób, ale na pewno w okropnych mękach, aby odpokutować za swoje zbrodnie. I bez ustanku przeżuwał te trzy nienawistne imiona.

Wciąż na klęczkach, brodą uniesioną ku okienku, wielki mistrz wyszeptał:

- Dzięki ci, Panie mój i Boże, żeś mi pozostawił nienawiść. Jedyna to siła zdolna mnie jeszcze podtrzymać.

Z trudem podniósł się i powrócił na kamienną, przytwierdzoną do ściany ławę, która mu służyła jednocześnie za krzesło i łóżko.

Któż mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić, że do tego dojdzie. Bezustannie powracał myślą ku młodości, gdy przed pięćdziesięciu laty jako młodzieniec opuszczał zbocza rodzinnej Jury, aby gonić za wielką przygodą.

Jak wszyscy młodszy synowie szlacheckich rodzin w owym czasie, marzył, że przywdzieje długi, biały płaszcz z czerwonym krzyżem - czcigodny strój zakonu. Sama nazwa - templariusz - przywoływała obraz orientalnej epopei: statków o wydętych żaglach śmigających po zawsze błękitnych morzach, szarż konnych po piaskach pustyni, skarbów Arabii, wykupionych jeńców, szturmem zdobytych i splądrowanych miast, olbrzymich obronnych zamków. Wieść głosiła, że templariusze posiadają ukryte porty, skąd wypływają ku nieznanym lądom...

I Jakub de Molay przeżył swój sen; żeglował, walczył, zamieszkiwał wielkie, pływające fortece; dumnie kroczył po ulicach pachnących korzeniami i kadzidłem, przybrany w przepyszny płaszcz, którego fałdy opadały po złote ostrogi.

Wzniósł się w hierarchii zakonu wyżej, niż śmiał kiedykolwiek zamarzyć, przeszedł przez wszystkie stopnie, aby wreszcie, z wyboru braci, objąć najwyższy urząd wielkiego mistrza Francji oraz krajów zamorskich i dowództwo nad piętnastu tysiącami rycerzy.

I to wszystko kończyło się w lochu, w tej zgniliznie, w tej nędzy. Rzadko los wynosił kogoś tak wysoko, a potem rzucał w tak głębokie poniżenie.

Jakub de Molay rysował właśnie ogniwem łańcucha na pokrywającej mur saletrze niewyraźne kreski, mające oznaczać litery „Jeruzalem”, gdy usłyszał ciężkie kroki i szcęk broni na schodach wiodących do ciemnicy.

Znów ogarnęła go trwoga, lecz teraz już uzasadniona.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem; Molay spostrzegł za dozorcą czterech łuczników w skórzanych tunikach z włóczniami w dłoniach. Oddech otaczał ich twarze białym oparem.

- Przyszliśmy po was, panie - rzekł jeden z nich.

Molay powstał bez słowa. Dozorca zbliżył się i mocnymi uderzeniami młota i dłuta rozerwał ogniwa łączące łańcuch z żelaznymi obręczami, które zaciskały kostki więźnia.

Ten zebrał na ramionach swój chlubny płaszcz - dziś już tylko szarawy łachman; krzyż na ramieniu rozsypywał się w strzępy.

W chwiejącym się, wyczerpanym starcu, który z nogami obciążonymi żelazem wstępował po stopniach wieży, pozostał jeszcze cień wodza, co z Cypru dowodził całym chrześcijaństwem Wschodu.

„Panie mój i Boże, użyż mi siły... - szeptał w duszy. - Użyż mi trochę siły.” I żeby odnaleźć tę siłę, powtarzał imiona trzech wrogów: Klemens, Wilhelm, Filip...

Mgła wypełniała obszerne podwórze Temple, osadzała czapy na wieżyczkach obwodowego muru, wślizgiwała się między blanki, owijała watą strzałę na kościele zakonu.

Stu żołnierzy z bronią u nogi otaczało wielki, kwadratowy, otwarty wóz.

Przez mury docierał zgiełk Paryża, a niekiedy rozlegało się pełne rozdzierającego smutku rżenie konia.

W środku podwórza pan Alain de Pareilles, kapitan królewskich łuczników, człowiek, który asystował przy wszystkich egzekucjach i towarzyszył wszystkim skazańcom na sąd i mękę, chodził wolnym krokiem z wyraźnie znudzoną miną. Włosy koloru stali opadały mu w krótkich kosmykach na kwadratowe czoło. Miał na sobie kolczugę, miecz u boku,

pod pachą trzymał hełm.

Odwrócił się słysząc kroki wielkiego mistrza, który na jego widok uczył, że blednie, o ile jeszcze mógł zblednąć.

Zazwyczaj z okazji przesłuchiwań nie roztaczano tak wielkiej pompy; nie bywało ani wozu, ani tylu zbrojnych. Kilku królewskich sierżantów przychodziło po oskarżonych i najczęściej o zmierzchu przewoziło ich barką na drugi brzeg Sekwany.

- Więc sprawa jest osądzona? - zapytał Molay kapitana łuczników.

- Tak jest, panie - odpowiedział kapitan.

- Czy nie wiecie, mój synu - zapytał Molay po pewnym wahaniu - jaka jest treść wyroku?

- Nie wiem, panie; otrzymałem rozkaz, by przyprowadzić was do Notre-Dame na jego odczytanie.

Zapanowała cisza, potem Jakub de Molay jeszcze zapytał:

- Jaki mamy dziś dzień?

- Poniedziałek po świętym Grzegorzcu.

Oznaczało to dzień 18 marca, 18 marca 1314 roku⁶.

„Czy prowadzą mnie na śmierć”? - rozmyślał Molay.

Drzwi wieży otworzyły się ponownie i pod eskortą straży wyszli trzej inni dostojnicy: generalny wizytator, prowincjał Normandii i komandor Akwitanii.

Włosy ich również były białe, brody zmierzwiłone, a ciała ginęły w strzępach płaszczy; chwilę stali nieruchomo, mrugając oczami, podobni wielkim nocnym ptakom oślepienym przez światło.

Pierwszy, prowincjał Normandii, Galfryd de Charnay, płacząc się w kajdanach, rzucił się do wielkiego mistrza, by go uściskać. Długoletnia przyjaźń łączyła obu mężów; Jakub de Molay wiódł przez wszystkie szczeble hierarchii zakonnej o dziesięć lat młodszego Charnaya i widział w nim swojego następcę.

Charnay miał czoło przecięte głęboką blizną i skrzywiony nos - pozostałość dawnej potyczki, gdy cios szablą rozwalił mu hełm. Ten twardy człowiek, o twarzy wojną rzeźbionej, wtulił czoło w ramię wielkiego mistrza, aby ukryć łzy.

- Odwagi, mój bracie, odwagi - rzekł ściskając go w ramionach Molay. - Odwagi, moi bracia - powtórzył ściskając dwóch następnych dostojników.

Zbliżył się dozorca.

- Przysługuje wam prawo zdjęcia kajdan, panowie - powiedział.

Wielki mistrz rozłożył ręce znużonym, gorzkim gestem.

- Nie mam denara - odpowiedział.

Przy każdym bowiem wyjściu za zdjęcie kajdan templariusze musieli dawać denara z wypłacanego im na każdy dzień solda; z reszty obowiązani byli opłacać nędzne pożywienie, słomę w piwnicy, pranie koszul. Dodatkowe okrucieństwo, doskonale dopasowane do stylu postępowania Nogareta! ...Byli oskarżeni, ale nie skazani; zatem przysługiwało im strawne, lecz tak obrachowane, że pościli cztery dni na tydzień, spali na kamieniu i gnili w brudzie.

Galfryd de Charnay wyjął ze starej skórzanej sakwy, zawieszanej u pasa, dwa denary, jakie mu jeszcze pozostały, i rzucił je na ziemię, jeden za

swoje kajdany, drugi za wielkiego mistrza.

- Bracie! - zawołał Jakub de Molay, odmawiając gestem.

- Na co mi się może przydać teraz... - odpowiedział Charnay - zgódźcie się, bracie; nawet na to nie zasłużyłem.

- Rozkuwają nas, może to dobry znak - powiedział generalny wizytator. - Być może papież postanowił nas ułaskawić.

Przez resztki wybitych zębów słowa dobywały się ze świstem. Obrzmiałe ręce drżały.

Wielki mistrz wzruszył ramionami i wskazał na stu łuczników stojących w szeregu.

- Przygotujmy się na śmierć, mój bracie - powiedział.

- Patrzcie, patrzcie, co mi zrobili - odchylając rękaw, jęknął komandor Akwitanii.

- Wszyscy byliśmy katowani - rzekł wielki mistrz.

Odwrócił oczy jak zawsze, gdy przypominano mu tortury. Załamał się, podpisał fałszywe zeznania i tego sobie nie wybaczył.

Przebiegł wzrokiem olbrzymi obszar, który był siedzibą i symbolem potęgi zakonu.

„Po raz ostatni...” - pomyślał.

Po raz ostatni ogląda ten potężny zespół budowli z basztą, kościołem, pałacami, domami, podwórcami i sadami, prawdziwą fortecę w sercu Paryża⁷.

To tu od dwóch wieków żyli templariusze, tu modlili się, spali, sądzili, liczyli, decydowali o dalekich wyprawach; tu długo spoczywał Skarb królestwa Francji, powierzony ich pieczy i zarządowi; i tu także powrócili po nieszczęsnych wyprawach Świętego Ludwika, po utracie Palestyny, wiodąc za sobą giermków, jeźdźców na koniach arabskich, czarnych niewolników, muły obciążone złotem.

Jakub de Molay miał w oczach ten powrót zwyciężonych, który zachował jeszcze blask epopei.

„Staliśmy się już niepotrzebni, a nie wiedzieliśmy o tym - myślał wielki mistrz. - Wciąż mówiliśmy o nowych wyprawach krzyżowych i odzyskaniu... Może mieliśmy zbyt wiele pychy i nieuzasadnionych przywilejów.”

Ze stałej milicji chrześcijaństwa przeistoczyli się we wszechwładnych bankierów Kościoła i królów. Łożąc na wielu dłużników, stwarza się wielu wrogów.

Ach! Z pewnością król dobrze przeprowadził manewr! Zaprawdę, można było ustalić początek dramatu na dzień, w którym Filip Piękny poprosił o przyjęcie do zakonu z oczywistym zamiarem objęcia urzędu wielkiego mistrza. Kapituła odpowiedziała odmową, wyniosłą i bezapelacyjną.

„Czy popełniłem błąd? - po raz setny zapytywał siebie Jakub de Molay. - Czy nie byłem zazdrosny o władzę? Ależ nie; nie mogłem postąpić inaczej. Nasza religia była wyraźna, zabraniała przyjmowania do komandorii panujących książąt.”

Król Filip nigdy nie zapomniał tej porażki. Zaczął działać podstępem, w dalszym ciągu okazując Jakubowi de Molay życzliwość i przyjaźń. Czyż wielki mistrz nie był podporą królestwa?

Wkrótce z polecenia króla Skarb przeniesiono z wieży Temple do wieży Luwru. W tym samym czasie zmontowano skrytą, jadowitą kampanię oszczerczą przeciw templariuszom. Opowiadano i kazano powtarzać w miejscach publicznych i na rynkach, że to oni spekulują na ziarnie, że to oni są odpowiedzialni za klęski głodowe, że więcej myślą o powiększaniu dóbr niż odebraniu poganom grobu Chrystusa. Ponieważ używali prostego żołnierskiego języka, oskarżono ich o bluźnierstwa. Przyjęło się nawet powiedzenie „klnie jak templariusz”. Krótka droga dzieli bluźniercę od heretyka. Twierdzono, że ich obyczaje są niezgodne z naturą, a ich czarni niewolnicy uprawiają czary.

„Zapewne, nie wszyscy nasi bracia żyli jak święci, bardzo wielu szkodziła bezczynność.”

Opowiadano zwłaszcza, że podczas ceremonii przyjmowania do zakonu zmuszano neofitów, aby zapierali się Chrystusa i pluli na krzyż, oraz poddawano ich sprośnym praktykom.

Pod pozorem stłumienia tych pogłosek Filip zaproponował wielkiemu mistrzowi wszczęcie śledztwa w obronie czci zakonu.

„I ja się zgodziłem... - myślał Molay. - Haniebnie nadużyto mojej dobrej wiary, zostałem oszukany.”

Bowiem pewnego październikowego dnia 1307... Ach, jak dobrze Molay pamiętał ten dzień... „To był piątek 13... Jeszcze w przeddzień ścisnął mnie i nazywał swym bratem, wyznaczył pierwsze miejsce na pogrzebie swojej bratowej cesarzowej Konstantynopola...”

Tak więc w piątek 13 października 1307 król Filip, przygotowawszy uprzednio potężną oblawę, kazał zagarnąć o świcie, w imieniu Inkwizycji, pod zarzutem herezji, wszystkich templariuszy Francji. A strażnik pieczęci Nogaret osobiście przyszedł pojmać w macierzystej siedzibie Jakuba de Molay i stu czterdziestu rycerzy...

Wielki mistrz zadrżał usłyszawszy rzucony rozkaz. Łucznicy zwarli szeregi. Pan Alain de Pareilles włożył hełm; żołnierz trzymał jego konia i podawał mu strzemie.

- Chodźmy - rzekł wielki mistrz.

Popchnięto więźniów do wozu. Molay wsiadł pierwszy. Komandor Akwitanii, rycerz, który odparł Turków spod Saint-Jean-d’Acre, zdawało się, popadł w otepienie. Trzeba go było wsadzić na wóz. Generalny wizytator bez przerwy poruszał wargami. Kiedy z kolei Galfryd de Charnay wdrapał się na wóz, gdzieś od strony stajni zawył z ukrycia pies.

Później ciężki wóz, szarpnięty przez ustawione rzędem cztery konie, ruszył. Otworzyła się wielka brama i rozległ straszliwy wrzask. Kilka setek osób - wszyscy mieszkańcy dzielnic Temple i sąsiednich dzielnic - tłoczyło się przy murach. Łucznicy ze szpicy musieli otworzyć drogę uderzeniami rękojeści włóczni.

- Miejsce dla ludzi króla! - krzyczeli łucznicy.

Alain de Pareilles na koniu, wyprostowany, z miną obojętną i niezmiennie znudzoną, górował nad tłumem.

Ale gdy ukazali się templariusze, wrzask z nagłą opadł. Widok tych czterech starych, wychudzonych mężczyzn, których obroty pełnych kół rzucały jednych na drugich, wprawiał paryżan w nieme osłupienie,

wywołując nagłe współczucie.

Zaraz potem rozległy się okrzyki: „Na śmierć! Na śmierć heretyków!”, rzucane przez królewskich sierzantów⁸ wmieszanych w tłum. A lizusy, zawsze gotowi krzyczeć na rozkaz i burzyć się, gdy nic im nie grozi, zaczęli chórem gardłować:

- Na śmierć!

- Złodzieje!

- Bałwochwalcy!

- Widzicie ich! Dziś już nie tacy dumni, ci poganie. Na śmierć!

Obelgi, szyderstwa, pogroźki biegły wzdłuż pochodu. Wściekłość jednak osłabła. Ogromna większość tłumu nadal wciąż milczała, a to milczenie, choć ostrożne, było przecież wymowne.

W ciągu siedmiu lat bowiem zmieniły się uczucia ludu. Wiedział, jak prowadzono proces. Wiedział, jak templariusze u bram kościelnych pokazywali przechodniom kości połamane na torturach. W wielu miastach Francji widział rycerzy umierających dziesiątkami na stosach. Wiedział, że niektóre komisje kościelne odmówiły wydania wyroków skazujących i dla ukończenia dzieła trzeba było mianować nowych prałatów, jak na przykład brata pierwszego ministra Marigny'ego. Opowiadano, że nawet sam papież Klemens V ustąpił wbrew własnej woli, gdyż był zależny od króla i lękał się, że spotka go los jego poprzednika Bonifacego, spoliczkowanego na tronie. Wreszcie w ciągu siedmiu lat ziarna nie przybyło, chleb jeszcze podrożał i musiano przyznać, że nie była to już wina templariuszy.

Dwudziestu pięciu żołnierzy z przewieszonymi łukami i włóczniami na ramieniu postępowało przed wózkiem, po dwudziestu pięciu szło z każdej jego strony i tyłuż zamykało pochód.

„Ach, gdyby mieć jeszcze trochę siły w mięśniach” - myślał wielki mistrz. Mając dwadzieścia lat skoczyłby na żołnierza, wyrwał mu włócznię i usiłował umknąć albo biłby się do ostatniego tchu.

Za jego plecami brat wizytator mruczał przez wybite zęby:

- Oni nas nie skażą. Nie mogę uwierzyć, aby nas skazali. Już nie jesteśmy niebezpieczni.

Komandor Akwitanii zaś, ocknąwszy się z otępienia, mówił:

- Jak to przyjemnie wyjść. Jak przyjemnie oddychać świeżym powietrzem. Nieprawdaż, bracie?

Prowincjał Normandii dotknął ramienia wielkiego mistrza.

- Mój panie bracie - rzekł cicho - widzę, jak ludzie płaczą i czynią znak krzyża. Nie jesteśmy osamotnieni w naszej kalwarii.

- Ci ludzie mogą nas nawet żałować, lecz nie mogą nic zrobić, by nas ocalić - odpowiedział Jakub de Molay. - Innych szukam twarzy.

Prowincjał pojął ostatnią, nieuzasadnioną nadzieję, której czepiał się wielki mistrz. Instynktownie sam jął bacznie śledzić tłum.

Albowiem z piętnastu tysięcy rycerzy zakonnych znaczna część uszła przed aresztowaniami 1307 roku. Jedni schronili się w klasztorach, inni zrzucili habit i żyli w ukryciu po wsiach i miastach; jeszcze inni dotarli do Hiszpanii, gdzie król Aragonii, wbrew rozkazom króla Francji i papieża, pozostawił templariuszom ich komandorie i założył dla nich nowy zakon. Byli i tacy, których nieliczne, względnie wyrozumiałe sądy oddały pod

straż szpitalnikom. Wielu z tych dawnych rycerzy, utrzymując między sobą łączność, utworzyło rodzaj tajnej sieci.

I Jakub de Molay mówił sobie, że może...

Może zawiązał się spisek... Może gdzieś na trasie, na rogu ulicy Blancs-Manteaux lub ulicy Bretonnerie, albo koło klasztoru Saint-Merry pojawi się grupa ludzi i dobywając broń spod poły runie na łuczników, a inni sprzysiężeni, stojąc w oknach, rzucą pociski. Wózek postawiony w poprzek drogi zablokuje przejście i wywoła ostateczny popłoch...

„I po cóż by dawni bracia mieli to robić? - myślał Molay. - Aby uwolnić swego wielkiego mistrza, który ich zdradził, zaparł się zakonu, załamał na torturach...”

Mimo to uporczywie obserwował tłum, lecz jak sięgnąć wzrokiem widział tylko ojców z dziećmi na ramionach, z dziećmi, które później słysząc słowo templariusz przypomną sobie tylko czterech brodatych i trzęsących się starców, otoczonych zbrojnymi jak złoczyńcy.

Wizytator generalny świszcząc mówił coś do siebie, a bohater spod Saint-Jean-d’Acre powtarzał, jak to przyjemnie przechadzać się rankiem.

Wielki mistrz czuł, że budzi się w nim ten sam na wpół obłąkany gniew, który tak często ogarniał go w więzieniu, każąc wyć i walić w mur. Na pewno popełni coś gwałtownego i strasznego... nie wiedział co... ale musi czegoś dokonać.

Przyjmował swoją śmierć prawie jak wyzwolenie; lecz nie chciał umierać wbrew sprawiedliwości ani tak zbezczeszczonej. Dawny rycerski nawyk po raz ostatni ożywiało jego starą krew. Chciał umrzeć walcząc.

Poszukał ręki Galfryda de Charnay, przyjaciela, towarzysza broni, ostatniego dzielnego człowieka, jakiego miał u boku, i ucisnął jego dłoń.

Prowincjał Normandii dostrzegł, jak na zapadłych skroniach wielkiego mistrza nabrzmiewają tętnice podobne błękitnym wężykom.

Pochód dotarł do mostu Notre-Dame.





III

Synowe króla

Smakowity zapach rozgrzanego masła, mąki i miodu unosił się nad plecioną tacą.

- Gorące placki, gorące! Dla wszystkich nie starczy! Chodźcie, zacni mieszczanie! Zjadajcie! Gorące placki! - wołał handlarz, uwijając się koło stojącego na świeżym powietrzu pieca.

Robił wszystko naraz: wałkował ciasto, wyciągał z ognia upieczone placki, wydawał pieniądze, pilnował, aby wyrostki nie ściągały ciastek.

- Gorące placki!

Tak był zajęty, że nie zauważył klienta, który białą ręką wsunął miedziaka, płacąc za złocisty, chrupiący, zwinięty w rożek naleśnik. Ujrzał tylko, jak ta sama ręka odkłada rożek z odgryzionym jednym kęsem.

- Patrzcie, jaki delikacik - rzekł handlarz podsycając ogień. - Daje się takim czystą pszeniczkę i maselko z Vaugirard...

Nagle wyprostował się, otworzył usta i ostatnie słowa utkwily mu w gardle na widok klienta, do którego przemawiał. Ten bardzo wysoki mężczyzna o bladych i ogromnych oczach, odziany w białą opończę i półdługą tunikę...

Nim handlarz zdążył zgnać się w ukłonie lub wyjąkać przeprosiny, człowiek w białej opończy już się oddalił, więc z bezwładnie zwisającymi rękami, nie bacząc, że przypala się blacha pełna placków, patrzył, jak tamten znika w tłumie.

Zdaniem podróżnych, którzy zwiedzili Afrykę i Wschód, handlowe ulice Cité przypominały bardzo bazyry miast arabskich. To samo mrowie ludzi, takie same przytulone do siebie malutkie kramiki, te same zapachy smażonego tłuszczu, korzeni i skóry i ten sam powolny krok kupujących, który tamował przejście osłom i tragarzom. Każda ulica, każdy zaułek miały swoją specjalność, swoje odrębne rzemiosło: tu tkacze, których warsztaty stały na tyłach sklepików, tam szewcy stukali w żelazne kopyta, trochę dalej siodlarze ciągnęli dratwę po szydle, a jeszcze dalej stolarze wytaczali nóżki do stołków.

Była ulica Ptasia, ulica Zielarska i Warzywna, ulica Kowalska, rozbrzmiewająca stukiem kowadeł. Złotnicy pracowali przy swych tygielkach na nadbrzeżu, które nosiło ich imię.

Pomiędzy domami i lepiankami o nachylonych ku sobie dachach widać było wąskie pasma nieba. Ziemię pokrywało cuchnące błoto, z którego ludzie zależnie od stanu wyciągali boscie nogi, drewniaki lub skórzane trzewiki.

Wysoki mężczyzna w białej opończy powoli posuwał się naprzód w ciżbie, z rękami założonymi do tyłu, jakby nieświadom, że go potrącają. Wielu przechodniów zresztą ustępowało mu z drogi i witało ukłonem.

Odpowiadał lekkim skinieniem głowy. Miał postawę atlety; rudoblond lśniące włosy, na końcach zwinięte w loki, spadały mu prawie na kołnierz, okalając twarz o regularnych, rzadkiej piękności rysach.

Trzech królewskich sierżantów w niebieskiej odzieży, trzymając pod pachą kije zakończone kwiatem lilii, postępowało w pewnej odległości za tym przechodniem, nie tracąc go nigdy z oczu, zatrzymując się kiedy przystawał, i ruszając w ślad za nim.

Nagle młody człowiek w bogato szamerowanym, wciętym w pasie kaftanie, pociągnięty przez trzy wielkie charty, które prowadził na smyczy, wypadł z uliczki i zderzając się z przechodniem omal go nie obalił. Charty splątały się, zaczęły szczeakać.

- Ależ uważajcie, dokąd idziecie! - wykrzyknął młodzieniec z wyraźnym włoskim akcentem. - Mały włos, a wpadlibyście na moje psy. Cieszyłbym się, gdyby was pogryzły.

Niskiego wzrostu, zgrabny, miał najwyżej osiemnaście lat, czarne oczy i subtelny podbródek; wysilał głos, aby uchodzić za dorosłego.

Rozplątując smycz ciągnął:

- *Non si puo vedere un cretino peggiore...**

Ale już otoczyło go trzech sierżantów; jeden z nich ujął go za ramię i szepnął coś do ucha. Natychmiast młodzieniec zdjął czapkę i zgiął się w pełnym szacunku ukłonie.

Na uboczu zebrała się milcząca grupka.

- Jakie piękne psy gończe. Do kogo należą? - zapytał przechodzień, przyglądając się chłopcu wielkimi, chłodnymi oczami.

- Do mego wuja, bankiera Tolomei... do waszych usług - odpowiedział młodzieniec, kłaniając się po raz drugi.

Człowiek w białym kapturze bez słowa ruszył dalej. Gdy już się nieco oddalił, a za nim sierżanci, ludzie zebrani wokół młodego Włocha wybuchnęli śmiechem. Chłopak nie ruszał się z miejsca i jakby z trudem trawił swój nietakt; nawet psy stały cicho.

- Doskonale! Jak mu zrzędła mina! - podśmiewali się ludzie.

- Patrzenie! O mało nie obalił króla na ziemię, a na dodatek go skłął.

- Przygotuj się na nocleg w więzieniu, chłopaczku, i na trzydzieści batów.

Włoch obruszył się na szyderców.

- Wielka rzecz! Nigdy go nie widziałem, jakże go mogłem rozpoznać? I zrozumcie, poczciwi ludzie, pochodzę z kraju, gdzie nie ma króla, któremu trzeba schodzić z drogi. W mojej rodzinnej Sienie każdy obywatel może zostać królem. A kto chce się zmierzyć z Gucciem Baglionim, niech tylko powie słówko.

Swoje nazwisko rzucił jak wezwanie. Łatwa do zdraśnięcia duma Toskańczyka przyćmiła mu wzrok. U boku miał rzeźbiony sztylet. Nikt nie nalegał, młodzieniec strzelił palcami, żeby popędzić psy, i ruszył dalej, już mniej pewny siebie, niż chciał to okazać, rozmyślając, czy jego głupota nie pociągnie za sobą przykrych następstw.

Bo oto popchnął samego króla, Filipa Pięknego. Monarcha ten, z którym

* Trudno spotkać większego kretyna...

zaden król nie mógł się równać, lubił przechadzać się po swoim mieście jak zwykły mieszczanin, pytać o ceny, kosztować owoców, macać tkaniny, przysłuchiwać się pogwarkom. Mierzył tętno swego ludu. Czasem cudzoziemcy zwracali się do niego, pytając o drogę. Pewnego dnia zatrzymał go żołnierz, żądając wypłaty zaległego żołdu. Ponieważ tak samo oszczędzał słów jak pieniędzy, rzadko zdarzało się podczas przechadzki powiedzieć więcej niż trzy zdania i wydać więcej niż trzy soldy.

Kiedy król przechodził przez targ mięsny, począł bić wielki dzwon z Notre-Dame, a jednocześnie podniosła się głośna wrzawa.

- Oto oni! Oto oni! - rozległy się krzyki na ulicy.

Wrzawa zbliżała się; przechodnie pobiegli w jej kierunku.

Gruby rzeźnik wyszedł z jatki z ogromnym tasakiem w ręku i wrzasnął w ślad za innymi:

- Śmierć heretykom!

Żona wczepiła mu się w rękaw.

- Heretycy? Nie gorsi niż ty - powiedziała. - Zostań i obsługuj, więcej będzie z tego pożytku. Co za hultaj!

Zaczęli na siebie pyskować. Natychmiast wokoło zrobiło się zbiegowisko.

- Przyznali się przed sędziami! - ciągnął rzeźnik.

- Sędziowie? - ktoś odparł. - Znamy te typki. Sądzą na rozkaz tych, co im płacą.

Każdy chciał wtrącić swoje zdanie.

- Templariusze to ludzie święci. Zawsze dawali hojną jałmużnę.

- Pieniądze zabrać warto było. Ale katować?

- Król jest ich największym dłużnikiem. Nie ma templariuszy, nie ma długu.

- Król przednio zrobił.

- Król czy templariusze - powiedział jakiś czeladnik - na jedno wychodzi. Niech wilki gryzą się między sobą, a wtedy nie będą nas pożerać.

W tym momencie jakaś kobieta odwróciła się, zbladła i dała znak, by ucichli. Za nimi stał Filip Piękny i obserwował ich lodowatym wzrokiem. Sierzanci nieznacznie przybliżyli się, gotowi wkroczyć. W sekundzie zbiegowisko rozpięzchło się, a gapie pobiegli galopem wołając co sił:

- Niech żyje król! Śmierć heretykom!

Król, zdawało się, nic nie dosłyszał. Nic w jego twarzy nie drgnęło, nic z niej nie można było wyczytać. Jeśli rad był zniecka zaskoczyć ludzi, była to radość skryta.

Hałas wciąż narastał. Pochód templariuszy przesunął się u wylotu ulicy i król mógł dojrzeć przez chwilę, w przerwie między domami, wóz i jego czterech pasażerów. Wielki mistrz stał wyprostowany; wyglądał na męczennika, lecz nie na zwyciężonego.

Usuwanie się przed tłumem, który pędził na widowisko, Filip Piękny równym krokiem powrócił do pałacu przez z nagła opustoszałe ulice.

Lud może trochę poprzeklinać, a wielki mistrz prostować stare skatowane ciało. Za godzinę wszystko się skończy, a wyrok na ogół będzie dobrze przyjęty. Za godzinę dzieło siedmiu lat zostanie dopełnione,

zakończone. Sąd biskupi rozstrzygnął; łuczników nie brakowało; sierżanci strzegli ulic. Za godzinę sprawa templariuszy zostanie wymazana z trosk publicznych, a władza królewska zyska na sile i blasku.

„Nawet moja córka Izabela będzie rada. Zadośćuczyniłem jej prośbie i w ten sposób zadowolilem wszystkich. Już był czas to zakończyć” - mówił sobie król Filip.

Powracał do swej siedziby przez Galerię Kramarzy.

Filip całkowicie odnowił i znacznie powiększył pałac, wielokrotnie już w ciągu wieków przebudowywany na starych rzymskich fundamentach.

Epoka lubowała się w budownictwie, a książęta współzawodniczyli między sobą. Prace budowlane w Westminster trwały jeszcze, ale już zostały ukończone w Paryżu.

Z dawnych gmachów Filip zachował nietkniętą tylko Sainte-Chapelle, zbudowaną przez jego dziada Ludwika Świętego. Nowy zespół Cité, którego białe wieże przeglądały się w Sekwanie, stał dumny, imponujący, potężny.

Król Filip, bardzo skrupulatny w drobnych wydatkach, nie szczędził kosztów, gdy chodziło o podkreślenie potęgi państwa. Nigdy jednak nie zaniedbywał okazji do wyciągnięcia zysku i nadał kramarzom, za roczną opłatą, przywilej handlu w wielkiej pałacowej galerii, zwanej stąd Galerią Kramarzy. Później otrzymała ona nazwę Galerii Handlowej⁹.

Olbrzymia sień, wysoka i szeroka niby katedra o dwóch nawach, budziła podziw podróżnych. Na pilastrach stało czterdzieści posągów czterdziestu królów, którzy poczynając od Faramonda i Meroweusza kolejno zasiadali na królewskim tronie Franków. Naprzeciw wizerunku Filipa Pięknego umieszczono podobiznę Enguerranda de Marigny, koadiutora i rektora królestwa, inspiratora i kierownika prac budowlanych¹⁰.

Każdy miał wolny wstęp do Galerii, która stała się miejscem przechadzek, targów i romantycznych spotkań. Można tu było poczynić zakupy, a jednocześnie otrzeć się o książąt. Tu kształtowała się moda. Pod wielkimi posągami królów, między stoiskami, wciąż się przechadzał tłum ludzi. Hafty, koronki, jedwabie, aksamity i wielbłądzie wełny, pasmanteria, ozdoby i drobna biżuteria piętrzyły się, lśniły, migotały na dębowych ladach, podnoszonych i przyhaczanych wieczorem. Towary leżały na blatach ustawionych na kozłach lub zwisały na tykach. Damy dworu, mieszczki, służące przechodziły od jednego stoiska do drugiego. Przechodnie dotykali, dyskutowali, marzyli, wałęsali się. Hala szumiała od rozmów, targów, śmiechów, a nad tym górowało zachwalanie towarów przez sprzedawców zachęcających do zakupu. Rozlegały się liczne głosy o akcencie cudzoziemskim, najczęściej włoskim lub flamandzkim.

Wesołek o zapadłym brzuchu zachwalał haftowane chusteczki do nosa, rozłożone na konopnej płachcie bezpośrednio na ziemi.

- Aż budzi litość, piękne damy - wołał - jak smarkacie w palce lub w rękaw, kiedy na to macie te płócienka tak delikatnie ozdobione i możecie je wdzięcznie obwiązać koło ręki lub trzosika.

O kilka kroków dalej inny żartowniś zonglował pasmami koronek z Malines, podrzucając je tak wysoko, aż białe arabeski sięgały kamiennych ostróg Ludwika Grubego.

- Okazja, za darmo! Sześć denarów łokieć! Któraż z was nie ma sześć denarów, żeby wypiąć piersi!

Filip Piękny przeszedł wzdłuż całą Galerię. Gdy ich mijał, większość mężczyzn chyliła się przed nim, a kobiety gięły się w ukłonach. Chociaż tego nie okazywał, król lubił ożywioną atmosferę Galerii Kramarzy i oznaki szacunku, które zbierał.

Wielki dzwon z Notre-Dame bił dalej, ale głos jego docierał tu głuchy i przytłumiony.

W końcu Galerii, nie opodal stopni głównych schodów, stała grupka złożona z trzech osób, dwóch młodziutkich kobiet i młodzieńca, których uroda, wytworność, a także pewność siebie ściągały dyskretną uwagę przechodniów.

Młodymi kobietami były dwie synowe króla, które nazywano „siostrami z Burgundii”. Nie były do siebie zbyt podobne. Starsza, Joanna, poślubiona drugiemu synowi Filipa Pięknego, hrabiemu de Poitiers, miała zaledwie dwadzieścia jeden lat. Była wysoka, smukła, o popielatoblond włosach, podłużnych ukośnych oczach charta i nieco sztucznych manierach. Ubierała się z niemal wyszukaną prostotą. Tego dnia miała na sobie suknię z jasnoszarego aksamitu o obcisłych rękawach, na którą narzuciła *surcot*, rodzaj płaszczyka bramowanego gronostajami, sięgającego bioder.

Jej siostra Blanka, małżonka Karola Francuskiego, najmłodszego z książąt królewskiego rodu, była niższa, krągła, bardziej różowa, bardziej bezpośrednia. Skończyła niedawno osiemnaście lat i zachowała na policzkach dziecięce dołeczki. Miała blond włosy o ciepłym odcieniu, bardzo błyszczące oczy barwy jasnych kasztanów i drobne olśniewające ząbki. Strojenie się było dla niej więcej niż zabawą - była namiętnością. Oddawała mu się z ekstrawagancją, nie zawsze świadczącą o dobrym smaku. Ozdabiała czoło, kołnierz, rękawy, pasek możliwie największą ilość klejnotów. Suknia jej haftowana była perłami i złotą nicią. Blanka miała jednak tyle wdzięku, wydawała się tak z samej siebie zadowolona, że chętnie jej wybaczano tę naiwną rozrzutność.

Towarzyszący księżniczkom młodzieniec był ubrany jak przystoi królewskiemu dworzaninowi.

Mała grupka rozprawiała o sprawie jakichś pięciu dni, dyskutując półgłosem z hamowanym ożywieniem.

- Czy to warto wpadać w taką rozpacz z powodu pięciu dni? - mówiła hrabina de Poitiers.

Król wychylił się zza kolumny, kryjącej jego postać.

- Dzień dobry, moje córki - rzekł.

Młodzi nagle zamilkli. Piękny młodzieniec uklonił się bardzo nisko i odstąpił o krok z oczami wbitymi w ziemię. Obie młode kobiety, pod którymi ugięły się kolana, stały oniemiale, splonione i zakłopotane. Wyglądali, jakby złapano ich na gorącym uczynku.

- A więc, moje córki - zapytał król - czy nie przeszkadzam wam w pogawędce? O czym mówiliście?

Nie zadziwiła go wcale ich reakcja, przyzwyczał się bowiem, że jego obecność onieśmiela ludzi, nawet domowników i najbliższą rodzinę. Dzielił go od nich rodzaj lodowatego muru. Nie dziwił się temu, ale się

martwił. Sądził, że czyni wszystko, aby okazać się miłym i uprzejmym.

Młodziutka Blanka pierwsza odzyskała pewność siebie.

- Należy nam wybaczyć, Sire - rzekła - ale słowa nasze niełatwo powtórzyć...

- A to dlaczego?

- Bo... ponieważ... obmawialiśmy was.

- Czy rzeczywiście? - powiedział Filip Piękny, niezdecydowany, jak ma przyjąć żart.

Zatrzymał wzrok na młodzieńcu, który stał opodal, i wskazał nań ruchem głowy.

- Kim jest ten kawaler? - zapytał.

- Pan Filip d'Aunay, giermek stryja Valois - odpowiedziała hrabina de Poitiers.

Młody człowiek ponownie się skłonił.

- Czy nie macie brata? - spytał król, zwracając się do giermka.

- Tak, Sire, brat służy na dworze Dostojnego Pana de Poitiers - odpowiedział niepewnym głosem, czerwieniąc się d'Aunay.

- Otóż to! Zawsze was myślę - rzekł monarcha. Następnie zwrócił się do Blanki:

- Więc cóż złego mówiłyście o mnie, moja córko?

- Joanna i ja, obie mamy do was wiele żalu, Sire, mój ojciec, bo przez pięć nocy z rzędu nasi mężowie nie mogą pełnić przy nas służby, tak długo ich zatrzymujecie na Radzie, albo też wysyłacie daleko w sprawach królestwa.

- Moje córki, moje córki, o takich sprawach nie mówi się głośno - powiedział król.

Był z natury wstydliwy, a opowiadano, że od dziewięciu lat, odkąd owdowiał, zachowuje ścisłą czystość.

Z jego wyglądu można było wnioskować, że nie okaże surowości wobec Blanki. Jej żywość, wesołość, śmiałość, z jaką wszystko mówiła, zupełnie go rozbijały. Był zarazem rozbawiony i zgorszony. Uśmiechnął się, co mu się nie zdarzało nawet raz na miesiąc.

- A trzecia co mówi? - dorzucił.

Mówiąc o trzeciej, miał na myśli Małgorzatę Burgundzką, kuzynkę Joanny i Blanki, małżonkę następcy tronu, Ludwika króla Nawarry.

- Małgorzata? - wykrzyknęła Blanka. - Zamyka się, dąsa i mówi, że jesteście równie piękny jak niedobry.

Również i tym razem król stał niezdecydowany, jakby rozważał, jak się ma zachować wobec takiej wypowiedzi. Ale spojrzenie Blanki było tak czyste, tak niewinne. Była jedyną osobą, która śmiała z nim rozmawiać podobnym tonem i nie drżała w jego obecności.

- Dobrze więc! Upewnijcie Małgorzatę i wy, Blanko, bądźcie pewne, że dziś wieczór moi synowie, Ludwik i Karol, dotrzymają wam towarzystwa. Dzień dzisiejszy jest pomyślny dla królestwa - powiedział Filip Piękny. - Dziś wieczorem nie będzie Rady. A wasz małżonek, Joanno, udał się do Dôle i Salins w sprawach waszego hrabstwa, nie sądzę, aby był nieobecny dłużej niż tydzień.

- Przygotuję się więc, aby uczcić jego powrót - pochylając piękną szyję,

rzekła Joanna.

Rozmowa, którą prowadził, była zbyt długa dla króla Filipa. Zrobił nagły zwrot i bez słowa pożegnania wstąpił na główne schody wiodące do jego apartamentów.

- Chwała Bogu! - powiedziała z ręką na sercu Blanka, patrząc, jak znika.
- Udało nam się wymigać.

- Myślałam, że zasłabnę ze strachu - rzekła Joanna.

Filip d'Aunay był czerwony po korzonki włosów, ale teraz już nie ze zmieszania, lecz z gniewu.

- Wielkie dzięki - oschle zwrócił się do Blanki. - Miłe rzeczy usłyszałem z waszych ust.

- A co chcieliście, żebym zrobiła? - wykrzyknęła Blanka. - Cóżecie wy sami wymyślili lepszego? Po prostu staliście, jękając się. Nadchodzi znienacka, nim go się dostrzeże. Ma najczulszy słuch w królestwie. Jeżeli pochwycił przypadkiem naszą rozmowę, tylko w ten sposób mogliśmy zmylić jego czujność. Zamiast mnie oskarżać, Filipie, lepiej uczynicie składając mi gratulacje.

- Nie zaczynajcie na nowo - rzekła Joanna. - Chodźmy, zbliżmy się do kramów; poniechajmy min spiskowców.

Poszli naprzód, odpowiadając na składane im głębokie ukłony.

- Panie - podjęła półgłosem Joanna - zwracam wam uwagę, że to wy, przez waszą głupią zazdrość, spowodowaliście ten alarm. Gdybyście nie zaczęli tak gwałtownie uskarżać się na Małgorzatę, nie ryzykowalibyśmy, że król nas usłyszy.

Filip d'Aunay wciąż był chmurny.

- Naprawdę - rzekła Blanka - wasz brat jest miłszy od was.

- Bez wątpienia jest lepiej traktowany i to mnie cieszy - odpowiedział młody człowiek. - W istocie jestem ostatnim głupcem pozwalając, aby kobieta mnie upokarzała i taktowała jak pachółka, wzywała do swego łóża, gdy przyjdzie jej ochota, oddalała, gdy ochota minie, całymi dniami nie dawała znaku życia, a spotykając udawała, że mnie nie poznaje. W końcu, jaką ona prowadzi grę?

Filip d'Aunay, giermek Dostojnego Pana de Valois, był od czterech lat kochankiem Małgorzaty Burgundzkiej, najstarszych z synowych Filipa Pięknego. Ośmielał się w ten sposób przemawiać wobec Blanki Burgundzkiej, małżonki Karola Francuskiego, gdyż z kolei Blanka była kochanką jego brata, Gautiera d'Aunay, giermka hrabiego de Poitiers. Filip mógł tak zwierzać się przed Joanną Burgundzką, hrabiną de Poitiers, bo choć ta nie była jeszcze niczyją kochanką, sprzyjała jednak wespół przez słabość, wespół dla zabawy miłostkom dwóch innych synowych króla, układała schadzki i ułatwiała im spotkania.

Tak więc, w to przedwiośnie 1314 roku, w dzień, gdy miał się odbyć sąd nad templariuszami, a sprawa ta była główną troską Korony, dwaj synowie króla Francji, Ludwik - najstarszy - i Karol - najmłodszy - nosili rogi dzięki zasługom dwóch giermków, z których jeden należał do dworu ich stryja, zaś drugi do dworu brata; a wszystkiemu patronowała ich bratowa Joanna, wierna małżonka, ale dobrowolna rajfurka, czerpiąca niezdrową rozkosz z przeżywania cudzych miłostek.

- W każdym razie dziś wieczorem nie ma wieży Nesle - powiedziała Blanka.

- Dla mnie ten dzień nie różni się niczym od poprzednich - odrzekł Filip d'Aunay. - Ale szaleję na samą myśl, że tej nocy Małgorzata w ramionach Ludwika Nawarry wypowie te same słowa...

- O mój przyjacielu, przekraczacie wszelką miarę - powiedziała bardzo wyniośle Joanna. - Przed chwilą oskarżaliście Małgorzatę, że ma innych kochanków, a teraz chcielibyście zabronić jej posiadania małżonka. Łaski, którymi was obdarza, widać każą wam aż nadto zapominać, kim jesteście. Myślę, że jutro doradzę naszemu stryjowi, aby wysłał was na kilka miesięcy do hrabstwa Valois, gdzie leżą wasze włości. Powinniście trochę ochłonać.

Piękny Filip d'Aunay od razu się uspokoił.

- O pani - wyszeptał. - Myślę, że umarłbym wtedy.

Zmartwiony wyglądał bardziej uwodzicielsko, niż kiedy się gniewał. Dla zwykłego kaprysu warto było go straszyć, po to tylko, by zobaczyć, jak opadają długie, jedwabiste rzęsy i lekko drży biały podbródek. Stał się naraz tak nieszczęśliwy i tak godny litości, że obie młode niewiasty, zapominając o własnych obawach, nie mogły powstrzymać uśmiechu.

- Powiedzcie waszemu bratu Gautierowi, że będę za nim wzdychała dziś wieczór - w najśłodszy w świecie sposób powiedziała Blanka.

Trudno było zgadnąć, czy mówi szczerze.

- Czy nie trzeba by... - rzekł z wahaniem d'Aunay - uprzedzić Małgorzaty o tym, czegośmy się dowiedzieli, na wypadek gdyby na dziś wieczór przewidywała...

- Niech decyduje Blanka; ja niczym się już nie zajmuję - rzekła Joanna. - Dość się strachu najadłam. Nie chcę się już mieszać w wasze sprawy. To się kiedyś źle skończy. Nie chcę ciągle i bez powodu narażać się na kompromitację.

- To prawda - powiedziała Blanka - że nigdy nie korzystasz z okazji. Z naszych trzech mężów twój najczęściej bywa nieobecny. Gdybyśmy z Małgorzatą miały takie szczęście...

- Brak mi chęci - odparła Joanna.

- Albo odwagi - rzekła Blanka.

- To prawda, że gdybym nawet chciała, nie potrafiłabym maskować się tak zręcznie jak ty, siostrze, i na pewno natychmiast bym się zdradziła.

Mówiąc to Joanna zamyśliła się na chwilę. Nie, z pewnością nie miała ochoty zdradzić Filipa de Poitiers, lecz nużyło ją, że uchodzi za cnotliwą...

- Pani - przemówił do niej Filip - czy nie raczylibyście dać mi... jakiegoś zlecenia do waszej kuzynki?

Joanna spojrzała na młodego człowieka z ukosa, z tkliwą wyrozumiałością.

- Więc nie możecie już żyć bez pięknej Małgorzaty? - zapytała. - No więc postaram się być dobra. Kupię Małgorzacie jakąś ozdobę do sukni i zaniesiecie jej to ode mnie. Ale już ostatni raz.

Zbliżyli się do stoiska. Podczas gdy obie naradzały się, a Blanka przebierała najdroższe drobiazgi, Filip d'Aunay rozmyślał o nagłym pojawieniu się króla.

„Ilekcroć mnie widzi, pyta o moje nazwisko. To już szósty raz. I zawsze robi aluzję do mego brata.”

Odczuwał głuchą obawę i rozważał, dlaczego zawsze w obecności monarchy ogarnia go tak wielka niemoc. Zapewne z powodu jego spojrzenia, z powodu tych zbyt wielkich, nieruchomych oczu o osobliwej nieokreślonej barwie, wahającej się między szarą a bladawym błękitem, podobnej do koloru lodu na stawach w zimowe poranki, kto raz ujrzał te oczy, widział je wciąż przed sobą całymi godzinami.

Nikt z trojga młodych nie zauważył możnego pana o potężnej postawie, w czerwonych butach; zatrzymał się on w połowie wielkich schodów i obserwował ich od dłuższej chwili.

- Panie Filipie, nie mam przy sobie dość pieniędzy; czy raczycie zapłacić?

Słowa Joanny przerwały rozmyślenia Filipa d'Aunay. Giermek z pośpiechem wykonał polecenie. Joanna wybrała dla Małgorzaty aksamitny pasek, na którym naszyty był filigranowy wzór ze srebra.

- Och! Ja też bym chciała mieć taki - powiedziała Blanka.

Ale ona także nie miała przy sobie pieniędzy i Filip zapłacił również za jej sprawunek.

Działo się tak zawsze, gdy im towarzyszył. Zapewniały, że zwrócą mu dług, ale natychmiast zapominały, zaś on był zbyt rycerski, aby o tym przypominać.

- Uważaj, mój synu - powiedział pewnego dnia pan Gautier d'Aunay ojciec - najbogatsze kobiety kosztują najdrożej.

Stwierdził to, przeglądając jego wydatki. Ale kpił z nich. D'Aunayowie mogli sobie pozwolić na rozrzutność; ich dobra: Vémars i Aunay-les-Bondy, między Pontoise a Luzarches, zapewniały im świetne dochody.

Teraz Filip d'Aunay miał już pretekst, aby pobiec do pałacu Nesle, gdzie na drugim brzegu rzeki mieszkali król i królowa Nawarry. Przechodząc przez most Saint-Michel mógł dotrzeć tam za kilka minut.

Pożegnał obie księżniczki i skierował się ku bramie Galerii Kramarzy.

Możny pan w czerwonych butach śledził go wzrokiem myśliwego. Panem tym był Robert d'Artois, który przed kilku dniami powrócił z Anglii. Zdawał się namyślać; później zeszedł ze schodów i z kolei znalazł się na ulicy.

Na dworze wielki dzwon z Notre-Dame już zamilkł i na wyspie Cité panowała niezwykła, zastanawiająca cisza. Co działo się w katedrze Notre-Dame?





IV

Katedra Notre-Dame była biała

Kordon łuczników nie dopuszczał tłumu na placyk przed kościołem. We wszystkich oknach cisnęły się zaciekawione twarze.

Mgła podniosła się i blade słońce oświetlało białe kamienie katedry Notre-Dame w Paryżu. Budowę katedry ukończono zaledwie przed siedemdziesięciu laty i wciąż jeszcze trwały prace nad jej zdobieniem. Zachowała jeszcze połysk nowości, a światło uwypuklało wygięcie ostrołuków, koronkę środków rozety, podkreślało mrowie figur ponad przedsionkiem.

Straż odepchnęła pod ściany domów handlarzy drobiu, kupujących co rano pod kościołem. Wrzask ptactwa, duszącego się w klatkach, rozdzierał ciszę, tę niezwykłą ciszę, która zaskoczyła hrabiego d'Artois przy wyjściu z Galerii Kramarzy.

Kapitan Alain de Pareilles stał nieruchomo na czele żołnierzy.

U szczytu schodów, wiodących z placyku do katedry, czterej dygnitarze zakonu stali tyłem do tłumu, a twarzą do sądu kościelnego, który zasiadał między szeroko otwartymi podwojami głównego portalu. Biskupi, kanonicy, pisarze siedzieli obok siebie w dwóch rzędach.

Ciekawość tłumu skierowana była przede wszystkim na trzech kardynałów, specjalnie wysłanych przez papieża, aby wyraźnie podkreślić, że wyrok będzie ostateczny, bez prawa odwołania się do Stolicy Apostolskiej, a także w stronę młodego arcybiskupa Sens, brata rektora królewskiego, Dostojnego Pana Jana de Marigny, który wspólnie z wielkim inkwizytorem Francji prowadził proces.

Brazowe i białe habity około trzydziestu mnichów jawiły się za członkami sądu. Jedyna świecka osoba w tym zgromadzeniu, prewot Paryża Jan Ploybouche, przysadzisty mężczyzna około pięćdziesiątki, o twarzy wykrzywionej grymasem, zdawał się niezbyt zachwycony swoją tu obecnością. Reprezentował władze królewską i był odpowiedzialny za utrzymanie porządku. Oczy jego biegały od tłumu do kapitana łuczników i od kapitana do arcybiskupa Sens.

Blade słońce igrało na mitrach, pastorałach, purpurze szat kardynalskich, amarancie kap biskupich, gronostajach peleryn, na złocie pectorałów, stali kolczug, hełmów i broni. To migotanie, te barwy, ten blask stanowiły jaskrawy kontrast z wyglądem oskarżonych, z powodu których roztoczono tak ogromny przepych. Czterej starzy okryci łachmanami templariusze stali przytuleni do siebie, tworząc grupę jakby rzeźbioną w popiele.

Przewielebny Arnold d'Auch, kardynał Albano, pierwszy legat, stojąc czytał uzasadnienie wyroku. Czynił to powoli, z emfazą, rozkoszując się własnym głosem, rad z siebie i ze swej roli w widowisku rozgrywającym

się przed audytorium ludowym. Chwilami udawał człowieka przerażonego ogromem zbrodni, które miał wymienić; później przybierał postawę pełną namaszczonego majestatu, aby ujawnić nowy grzech, nowe przestępstwo.

- ...Po wysłuchaniu braci Geralda du Passage i Jana de Cugny, którzy po wielu innych zeznali, iż w chwili przyjmowania do zakonu zmuszano ich siłą, aby pluli na krzyż, bo - jak im mówiono - to tylko kawał drzewa, a Bóg prawdziwy jest w niebie... Po wysłuchaniu brata Wita Dauphin, któremu nakazano, aby godził się na wszystko, czego od niego zażądają, gdyby któregoś ze starszych braci dręczyła żądza cielesna i chciał ją na nim zaspokoić... Po wysłuchaniu wielkiego mistrza, który w wymienionej sprawie potwierdził i wyznał...

Tłum musiał nadstawić ucha, aby pochwycić słowa zniekształcone pompatyczną wymową. Legat nadużywał patosu i rozwlekał wyraz. Lud począł się niecierpliwić.

Przy relacji oskarżeń, fałszywych dowodów, wymuszonych siłą zeznań Jakub de Molay mruzczał do siebie:

- Łgarstwo... łgarstwo... łgarstwo

Wciąż wzrastał w nim gniew, który ogarnął go w czasie drogi. Krew coraz mocniej pulsowała w zapadłych skroniach.

Nic po drodze nie zaszło. Nic nie przerwało koszmaru. Nie pojawiła się wśród tłumu żadna grupa dawnych templariuszy.

- ...Po wysłuchaniu brata Hugona de Payraud, który przyznał się, iż zmuszał nowicjuszy do zaparcia się po trzykroć Chrystusa...

Generalny wizytator zwrócił do Jakuba de Molay zboląłą twarz, mówiąc:

- Bracie, mój bracie, czy ja to kiedykolwiek powiedziałem?

Czterej dostojnicy byli osamotnieni, opuszczeni przez niebo i ludzi, ujęci niby w olbrzymie kleszcze między zbrojnych a sąd, między moc króla a moc Kościoła. Każde słowo kardynała legata zaciskało żelazny uchwyt.

Dlaczego komisje śledcze, mimo iż tłumaczono im to setki razy, nie chciały uznać za słuszne, nie chciały zrozumieć, że tę próbę zaparcia się narzucono nowicjuszom po to tylko, aby wzmocnić ich hart na wypadek, gdyby pojmani przez muzułmanów przymuszani byli do wyrzeczenia się wiary?

Wielki mistrz miał szaloną chęć skoczyć do gardła prałata, spoliczkować go, zadusić. I nie tylko legata chciałby wypatroszyć, ale także i młodego Marigny, tego fircyka w mitrze przybierającego niedbałe pozy. Przed wszystkim jednak chciałby dosięgnąć swoich trzech prawdziwych wrogów, których tu nie było: króla, strażnika pieczęci, papieża.

Wściekłość płynąca z niemocy rozpościerała mu przed oczami czerwoną płachtę. Coś musiało się zdarzyć... Poczul gwałtowny zawrót głowy i zląkł się, że padnie na kamienie. Nie spostrzegł, że takie samo szaleństwo ogarnęło jego towarzysza, Galfryda de Charnay. Blizna na szkarłatnym czole prowincjała Normandii całkiem zbieleła.

Legat przerwał deklamację, opuścił wielki pergamin, lekko skłonił głowę ku asesoram na prawo, na lewo, przybliżył pergamin do twarzy i dmuchnął, jakby chciał strząsnąć pył.

- ...Biorąc pod uwagę, że oskarżeni przyznali się i uznali swe winy, skazujemy ich... na mur i milczenie na resztę ich dni, aby dzięki łzom

skruchy uzyskali odpuszczenie grzechów. *In nomine Patris...*

Legat uczynił powoli znak krzyża i usiadł pełen pychy; zwinął pergamin, a następnie podał go skrybie.

W pierwszej chwili tłum stał bez ruchu. Po wyliczeniu takich zbrodni kara śmierci była tak oczywista, że skazanie na mur - to jest na dożywotnie więzienie, ciemnicę, łańcuchy, chleb i wodę - wydawały się szczytem miłosierdzia.

Filip Piękny dobrze wyważył cios. Lud bez oporu przełknął i uznał za sprawiedliwy finał tragedii, która trawiła go przez siedem lat. Pierwszy legat i arcybiskup Sens wymienili niedostrzegalny, porozumiewawczy uśmiech.

- Moi bracia, moi bracia - wyjąkał generalny wizytator - czy dobrze słyszałem? Nie zabijają nas! Ułaskawiają!

Miał oczy pełne łez, a usta o wyszczerbionych zębach rozwarły się jakby w uśmiechu.

Ta okropna radość wszystko rozpętała.

Nagle ze szczytu schodów rozległ się głos:

- Protestuję!

Głos był tak potężny, że w pierwszej chwili nikt nie uwierzył, że należy do wielkiego mistrza.

- Protestuję przeciw nikczemnemu wyrokowi i oświadczam, że zbrodnie, którymi się nas obarcza, to zbrodnie wymyślone!

Jakby olbrzymie westchnienie wydobyło się z tłumu. Sąd się ożywił. Oślupiali kardynałowie spojrzeli po sobie. Nikt tego nie oczekiwał. Jan de Marigny zerwał się wielkim susem. Omdlewająca poza znikła. Był blady i trząsał się z gniewu.

- Łżecie! - krzyknął do wielkiego mistrza. - Zeznaliście przed komisją.

Łucznicy oczekując rozkazu odruchowo zwarli szeregi.

- Tym tylko zawiniłem - odpowiedział Jakub de Molay - że uległem pod wpływem waszych pochlebstw, gróźb i tortur. Oświadczam przed Bogiem, który nas słyszy, że zakon bez zmyśli jest i nie winien.

I Bóg rzeczywiście zdawał się go słyszeć, bo głos wielkiego mistrza, rzucony do wnętrza katedry, odbijał się od sklepienia i powracał echem, jak gdyby jakiś inny, o wiele głębszy głos powtarzał z głębi nawy każde słowo.

- Przyznaliście się do sodomii! - rzekł Jan de Marigny.

- Na torturach! - odparł Molay.

„...na torturach...” - odpowiedział głos, który zdawał się rodzić w tabernakulum.

- Wyznaliście grzech herezji!

- Na torturach!

„...na torturach...” - powtarzało tabernakulum.

- Cofam wszystko! - rzekł wielki mistrz.

„...wszystko...” - zagrzmiała cała katedra.

Nowy uczestnik wkroczył w ten dziwny dialog. Galfryd de Charnay nacierał z kolei na arcybiskupa Sens.

- Wykorzystano naszą słabość - mówił. - Jesteśmy ofiarami waszych spisków i waszych fałszywych przyrzeczeń. To wasza nienawiść i wasza zemsta nas gubią. Lecz oświadczam, i to również przed Bogiem, jesteśmy

niewinni, a ci, co powiadają inaczej, kłamią swymi usty.

Wtedy mnisi stojący za sądem poczęli krzyczyć:

- Heretycy! Na stos! Na stos heretyków!

Ich inwektywy nie odniosły jednak zamierzonego skutku. Lud w większości ujął się za templariuszami w odruchu szlachetnego oburzenia, które niejednokrotnie wiedzie go na pomoc nieszczęsnym śmiałkom.

Wygrazano sędziom pięściami. We wszystkich zakątkach placu wybuchały bójki. Z okien rozległo się wycie. Sytuacja groziła przerodzeniem się w bunt.

Na rozkaz Alaina de Pareilles połowa łuczników trzymając się za ramiona utworzyła łańcuch, aby powstrzymać napór tłumu, pozostali obrócili się doń twarzą ze zniżonymi włóczniami.

Królewscy sierzanci walili na oślep w ciżbę kijami zakończonymi kwiatem lilii. Wywrócono klatki handlarzy kurcząt, a wrzask deptanego drobiu mieszał się z wrzaskiem ludzi.

Sąd powstał. Jan de Marigny naradzał się z prewotem Paryża.

- Byle co, Dostojny Panie, postanówcie byle co - mówił prewot - lecz nie można ich tak pozostawić. Oni nas rozniosą. Nie widzieliście zbuntowanych paryżan.

Jan de Marigny podniósł pastorał biskupi na znak, że będzie przemawiał. Lecz nikt nie chciał go słuchać. Obrzucono go obelgami.

- Oprawca! Fałszywy biskup! Bóg cię pokarze!

- Mówcie, Dostojny Panie, mówcie - powtarzał prewot.

Bał się o stanowisko i o własną skórę; pamiętał zamieszki w 1306 roku, kiedy to splądrowane zostały domy mieszczan.

- Dwaj skazańcy popadli w grzech! - rzekł arcybiskup, próżno podnosząc głos. - Ponownie popadli w herezję. Odrzucili sprawiedliwość Kościoła; Kościół ich odrzuca i powierza sprawiedliwości króla.

Jego słowa utonęły we wrzawie. Później cały sąd, jak stado oszalałych perliczek, pomknął do katedry Notre-Dame. Natychmiast zatrzaśnięto podwoje.

Gdy prewot dał znak Alainowi de Pareilles, oddział łuczników pośpieszył ku schodom; sprowadzono wóz i rękojeściami włóczni wepchnięto do środka skazańców.

Uśluhali z wielką pokorą. Wielki mistrz i prowincjał Normandii czuli się wyczerpani, a zarazem odprężeni. Nareszcie byli w zgodzie z własnym sumieniem. Dwaj pozostali templariusze nic nie pojęli.

Łucznicy utorowali drogę przed wozem, zaś prewot Ployebouche wydawał polecenia sierzantom, aby co rychlej oczyścili plac. Sytuacja go przerastała i miotał się bez sensu.

- Odprawdźcie więźniów do Temple! - krzyknął do Alaina de Pareilles.
- Ja biegnę powiadomić króla.





V

Małgorzata Burgundzka królowa Nawarry

W tym czasie Filip d'Aunay przybył do pałacu Nesle. Poproszono go, aby zaczekał w przedpokoju, wiodącym do apartamentów królowej Nawarry. Minuty dłużyły się bez końca. Filip rozważał, czy jacyś natręci zatrzymują Małgorzatę, czy też po prostu przyjemność jej sprawia zadawanie mu cierpień. Miewała tego rodzaju wybryki. Może po godzinie dreptania w kółko, siadania, wstawania usłyszy, że nie może go przyjąć. Wściekał się.

Przed czterema laty, kiedy rozpoczynał się ich romans, nie postąpiłaby w ten sposób. A może tak. Już nie pamiętał. Wtedy oczarowany rozpoczynającą się przygodą, w której tyleż było próżności co miłości, chętnie wyczekiwałby pięć godzin z rzędu, żeby tylko ujrzeć kochankę, musnąć jej palce, usłyszeć wyszeptane słówko, obietnicę nowego spotkania.

Czas wszystko zmienił. Miłość trwająca już cztery lata nie może ścierpieć przeszkód, które ongiś nadawały uroku budzącemu się uczuciu. Namiętność często umiera z tych samych powodów, które ją zrodziły. Ciągła niepewność, czy się zobaczą, odwołane spotkania, dworskie obowiązki, wreszcie kaprysy Małgorzaty wtrącały Filipa w rozpacz, która znajdowała ujście już tylko w gniewie i pragnieniu odwetu.

Małgorzata na pozór lepiej znosiła tę sytuację. Rozkoszowała się podwójną przyjemnością zdradzania męża i drażnienia kochanka. Należała do tych kobiet, których żądzę odnawia jedynie widok zadawanych cierpień, dopóki ten widok nie zacznie ich nużyć.

Nie było dnia, żeby Filip nie mówił sobie, że wielka miłość nie może znaleźć zaspokojenia w cudzołóstwie, i nie przysięgała, że zerwie więź, która stała się tak ponizająca.

Był jednak słaby, był lękliwy, spętany uczuciem. Jak gracz, co goniąc za wygraną rzuca się na miecze, tak on w pogoni za miłością ranił się o dawne marzenia, nadaremne dary, roztrwoniony czas i szczęście, które umknęło. Nie starczyło mu odwagi, aby wstać od stołu i rzec: „Dość przegrałem”.

Więc stał tutaj znużony, gniewny, rozżalony, czekając, aż raczą go wpuścić.

Usiadł na kamiennej ławie we wnęce okna i aby pokonać zniecierpliwienie, patrzył na krzątanicę koniuchów, którzy wyprowadzali wierzchowce, aby pobiegały po łące Petit-Pré-aux-Clers, przyglądał się tragarzom, obładowanym ćwierciami mięsa i koszami jarzyn.

Pałac Nesle składał się z dwóch przylegających do siebie, lecz różnych budowli; z niedawno wzniesionego właściwego pałacu i starszej o dobry wiek wieży, która należała niegdyś do systemu murów obronnych Filipa

Augusta. Filip Piękny przed sześciu laty nabył całość od hrabiego Amalryka de Nesle i ofiarował ją na rezydencję królowi Nawarry, swemu najstarszemu synowi¹¹.

Wieża służyła niegdyś jako kordegarda albo rupieciarnia. Dopiero ostatnio Małgorzata postanowiła przenieść tam własne pokoje oświadczając, że musi w zaciszu rozmyślać nad modlitewnikiem. Twierdziła, że potrzebuje samotności. Ludwik Nawarry nie zdziwił się, gdyż Małgorzata znana była ze swych dziwactw. W rzeczywistości zdecydowała się na tę zmianę, aby swobodnie przyjmować pięknego d'Aunaya.

Ten ostatni wbił się w bezgraniczną dumę. Dla niego królowa przeobraziła fortecę w miłosną komnatę.

Później, gdy jego starszy brat Gautier został kochankiem Blanki, wieża stała się również azylem nowej pary. Pretekst był prosty: Blanka przychodziła w odwiedziny do swej kuzynki i szwagierki; Małgorzacie zależało zaś, aby usłużyć Blance, a jednocześnie pozyskać w niej współpracowniczkę.

Ale teraz Filip, spoglądając na wielki ciemny gmach o karbowanym dachu, o wąskich, wysokich, z rzadka osadzonych oknach, nie mógł powstrzymać się od myśli: może i inni mężczyźni spędzali przy jego kochance równie burzliwe noce. Czyż do niepokoju nie upoważniało tych pięć dni, które upłynęły bez żadnej wiadomości, choć wieczory tak bardzo sprzyjały schadzkom?

Drzwi otwarły się i pokojowa poprosiła Filipa, aby udał się za nią. Tym razem postanowił nie dać się oszukać. Minął kilka sal; później pokojowa znikła, a Filip wszedł do niskiej, przeładowanej meblami izby, gdzie unosił się dobrze mu znany, uparty zapach esencji jaśminowej, którą kupcy sprowadzali ze Wschodu.

Filip potrzebował dobrej chwili, aby przyzwycząić się do półmroku i gorąca. Na kamiennym kominku paliły się grube bierwiona.

- Pani... - rzekł.

Z głębi izby odezwał się głos trochę ochrypły, jakby zaspany.

- Zbliźcie się, panie.

Czyżby Małgorzata ośmieliła się przyjmować go w swojej komnacie bez świadków? Filip d'Aunay szybko uspokoił się i rozczarował; królowa Nawarry nie była sama. Wpółukryta za kotarą osłaniającą łożo dama dworu pochylała się nad haftem; podbródek i włosy miała ujęte w białą, wdowią podwikę. Małgorzata leżała na łożu, w domowej, podbitej futrem sukni, spod której wystawały jej małe i pulchne stopy. Przyjmować mężczyznę w podobnym stroju i w podobnej pozie samo przez się było zuchwałstwem.

Filip zbliżył się i przybierając dworski ton, sprzeczny z wyrazem twarzy, powiedział, że przysłała go hrabina de Poitiers, by przyniósł jej nowiny od królowej Nawarry, przekazał pozdrowienia oraz doręczył podarunek.

Małgorzata słuchała nieruchoma, nawet na niego nie patrząc.

Była mała, czarnowłosa, o złocistej cerze. Opowiadano, że ma najpiękniejsze na świecie ciało, a ona nie zaniedbywała okazji, żeby to podkreślić.

Filip patrzył na pełne, zmysłowe usta, krótki, przedzielony dołeczki

podbródek, jędrną szyję, unoszący się rąbek dekoltu i zgiętą, wysoko obnażoną rękę, widoczną w szerokim rękawie. Filip zastanawiał się, czy Małgorzata jest zupełnie naga pod futrem.

- Połóżcie podarunek na stole - rzekła - za chwilę go obejrzę.

Przeciagnęła się, ziewnęła, pokazując krótkie białe zęby, wydłużony języczek, prążkowane, różowe podniebienie; ziewała jak kotka.

Ani razu jeszcze nie spojrzała na młodzieńca. Na odwrót, on czuł, że obserwuje go dama dworu. Wśród dwórek Małgorzaty nie zauważył tej wdowy o długiej twarzy i zbyt blisko osadzonych oczach. Z trudem hamował wciąż wzrastające rozdrażnienie.

- Czy mam przekazać odpowiedź pani de Poitiers? - zapytał.

Małgorzata raczyła wreszcie spojrzeć na Filipa. Miała prześliczne oczy, ciemne i aksamitne; spojrzenie jej jakby pieściło przedmioty i żywe istoty.

- Powiedźcie mojej szwagierce de Poitiers... - zaczęła.

Filip, cofnąwszy się nieco, zrobił nerwowy ruch końcami palców, aby skłonić Małgorzatę do usunięcia wdowy. Lecz Małgorzata zdawała się nie pojmować gesty; uśmiechała się, ale nie do Filipa; uśmiechała się w pustkę.

- Albo nie - podjęła. - Napiszę do niej list, który oddacie.

Później rzekła do damy dworu:

- Moja miła, już czas, abym się ubrała. Sprawdźcie, proszę, czy przygotowano mi suknię.

Wdowa przeszła do sąsiedniej izby, ale nie zamknęła drzwi.

Małgorzata wstała odsłaniając piękne, gładkie kolano i przechodząc koło Filipa szepnęła jednym tchem:

- Kocham cię.

- Dlaczego nie widziałem cię od pięciu dni? - odpowiedział w ten sam sposób.

- Och, jakie to śliczne! - wykrzyknęła rozwijając pasek, który jej przyniósł. - Joanna ma naprawdę dobry gust. Jak mi się ten prezent podoba!

- Dlaczego cię nie widziałem? - powtórzył cicho Filip.

- Cudownie się nadaje do mojej nowej jałmużniczki - podjęła bardzo głośno Małgorzata. - Panie d'Aunay, czy macie chwilę czasu, by poczekać, aż napiszę słówko podziękowania?

Usiadła przy stole, wzięła gęsie pióro, kartkę papieru¹² i nakreśliła jedno słowo. Dała znać Filipowi, aby się zbliżył i mógł przeczytać na kartce słowo: „Ostrożnie”.

Następnie zawołała w kierunku sąsiedniej izby:

- Pani de Comminges, proszę przyprowadzić moją córkę, jeszcze jej dziś rano nie uściskałam.

Usłyszeli, jak dama dworu wychodzi.

- Ostrożność - powiedział wtedy Filip - to dobra wymówka, aby oddalić kochanką i przyjmować innych. Wiem dobrze, że kłamiesz.

Na twarzy jej malowało się znużenie, a jednocześnie zdenerwowanie.

- A ja doskonale widzę, że nic nie rozumiesz - odparła. - Proszę, abyś zwracał większą uwagę na swoje słowa, a nawet na spojrzenia. Kiedy dwoje kochanków zaczyna się kłócić albo nużyć sobą, wtedy zawsze zdradzają przed otoczeniem swoją tajemnicę. Panuj więc nad sobą.

Mówiąc to Małgorzata nie żartowała. Od kilku dni czuła wokół siebie

niejasną atmosferę pełną podejrzeń. Ludwik Nawarry zrobił przytyk do jej podbojów i namiętności, jakie wzbudza; śmiech brzmiał nieszczerze w żartach męża. Czy ktokolwiek zauważył niecierpliwość Filipa? Odźwiernemu i pokojowej z pałacu Nesle, sługom z Burgundii, których terroryzowała, jednocześnie obsypując złotem, mogła ufać jak samej sobie. Ale każdemu może wymknąć się jakieś nieostrożne słowo. Wreszcie była jeszcze pani de Comminges, która jej narzucono, aby przypodobać się Dostojnemu Panu de Valois, a ta krążyła wszędzie w swoich smętnych strojach...

- Przyznajesz więc, że jesteś mną znudzona? - rzekł Filip d'Aunay.

- Och, sam jesteś nudny - odparła. - Kochają cię, a ty wciąż zrzedzisz.

- Dobrze, dziś wieczór nie będę miał okazji cię nudzić - odparł Filip. - Nie będzie Rady; sam król nam to powiedział. Będziesz więc mogła do woli zapewniać małżonka o swojej miłości.

Gdyby Filip nie był tak zaślepiony gniewem, mógłby z jej twarzy wyraźnie wyczytać, że jego zazdrość, przynajmniej gdy chodzi o męża, nie była uzasadniona.

- A ja pójde do ladacznicy! - dorzucił.

- Bardzo pięknie - rzekła Małgorzata. - W ten sposób dowiem się przynajmniej, jak one sobie poczynają. To mi sprawi przyjemność.

Wzrok jej zabłyśł; koniuszką języka oblizywała z ironią wargi.

„Dziwka! Dziwka! Dziwka!” - myślał Filip. Nie wiedział, jak ją ugodzić; wszystko spływało po niej jak woda po szkło.

Podeszła do otwartej skrzyni i wyjęła sakiewkę, której Filip u niej jeszcze nie widział.

- Będzie cudownie wyglądać - rzekła Małgorzata i, przesuwając pasek przez sprzączki, stanęła przed wielkim cynowym zwierciadłem, przymierzając sakiewkę do talii.

- Kto ci dał tę jałmużniczkę? - spytał Filip.

- To jest...

Zamierzała naiwnie powiedzieć prawdę, lecz widząc jego zniecierpliwienie i nieufność, nie mogła oprzeć się pokusie, aby z niego nie pożartować.

- No... ktoś...

- Kto?

- Zgadnij.

- Król Nawarry.

- Mój małżonek nie jest tak hojny.

- Więc kto?

- Szukaj.

- Chcę wiedzieć, mam prawo wiedzieć - unosząc się powiedział Filip. - To dar mężczyzny, i to mężczyzny bogatego, mężczyzny rozkochanego... bo ma po temu powody. Oto, co myślę..

Małgorzata w dalszym ciągu przeglądała się w lustrze, przymierzając jałmużniczkę to przy jednym biodrze, to przy drugim, później pośrodku pasa, a w tym rozkołysanym ruchu podbita futrem suknia odsłaniała i zasłaniała jej nogę.

- Dostojny Pan d'Artois - rzekł Filip.

- Och! O jaki zły gust mnie posądzasz, mój panie - powiedziała. - Ten wielki gbur, którego zawsze czuć zwierzyną...

- To może pan de Fiennes, który kręci się koło ciebie jak koło każdej kobiety? - podjął Filip.

Małgorzata przechyliła głowę na bok jakby w zamyśleniu.

- Pan de Fiennes? - powtórzyła. - Nie zauważyłam, aby się mną interesował, lecz jeśli mi to mówisz... Dziękuję za informację.

- Dowiem się o tym w końcu.

- Kiedy wymienisz cały dwór królewski we Francji.

Zamierzała dorzucić: „Może pomyślałbyś również o dworze angielskim”, ale przeszkodził jej powrót pani de Comminges, która popychała przed sobą księżniczkę Joannę. Trzyletnia dziewczynka szła wolno, zgarbiona, w szytej perłami sukni. Po matce odziedziczyła tylko wypukłe, okrągławe, jakby uparte czoło. Była jednak blondynką, nos miała cienki, długie rzęsy trzepotały nad jasnymi oczami i równie dobrze mogła być córką Filipa d’Aunaya jak króla Nawarry. Filip w żaden sposób nie zdołał dojść prawdy, a Małgorzata była zbyt zręczna, aby zdradzić się w sprawie aż tak poważnej.

Za każdym razem, gdy Filip widział dziecko, zapytywał siebie: „Czy moje ono?” Przypominał sobie daty, szukał wskazówek i myślał, że w przyszłości będzie musiał bardzo nisko kłaniać się księżniczce, która być może była jego córką i być może kiedyś zasiądzie na dwóch tronach: i Nawarry, i Francji, bo Ludwik i Małgorzata na razie nie mieli innego potomstwa.

Małgorzata podniosła małą Joannę, ucałowała ją w czoło, stwierdziła, że zdrowo wygląda, i oddała damie dworu mówiąc:

- Już ją pocałowałam, możecie ją odprowadzić.

Wyczytała w oczach pani de Comminges, że ta nie dała się wyprowadzić w pole. „Muszę pozbyć się tej wdowy” - powiedziała do siebie.

Weszła inna dama dworu, pytając, czy zastała króla Nawarry.

- Zazwyczaj o tej porze nigdy u mnie nie bywa - odpowiedziała Małgorzata.

- Szukamy go w całym pałacu. Król kazał go natychmiast wezwać.

- Czy wiadomo, z jakiego powodu?

- Wydaje mi się, Miłościwa Pani, że templariusze odrzucił wyrok. Lud burzy się koło Notre-Dame i wszędzie zdwojono strażę. Król wezwał Radę...

Małgorzata i Filip wymienili spojrzenia. Przyszła im do głowy ta sama myśl, nie mająca nic wspólnego ze sprawami królestwa. Wypadki być może zatrzymają w pałacu Ludwika Nawarry przez część nocy...

- Możliwe, że dzień nie zakończy się tak, jak przewidywano - rzekł Filip.

Małgorzata obserwowała go chwilę i uznała, że już dosyć cierpiał. Przyjął znów pełną szacunku postawę, zachowywał dystans, lecz jego wzrok zebrał o szczęście. Wzruszyła się i czuła, że go pożąda.

- Być może, panie - powiedziała. Porozumienie między nimi zostało odnowione.

Wzięła papier, na którym napisała „ostrożnie”, i wrzuciła w ogień

dodając:

- Nie odpowiada mi ten list. Później prześlę hrabinie de Poitiers inny; spodziewam się, że przekaże jej pomyślniejsze wiadomości. Żegnam pana.

Filip d'Aunay opuszczając pałac Nesle był zupełnie innym człowiekiem, niż kiedy doń wchodził. Jedno słowo nadziei przywróciło mu ufność do kochanki, do siebie samego, do całego życia, a koniec poranka wydał mu się promienny.

„Wciąż mnie kocha; byłem dla niej niesprawiedliwy” - myślał. Przechodząc przez kordegardę, natknął się na Roberta d'Artois. Można by sądzić, że olbrzym śledził młodego giermka. Nic podobnego. D'Artois miał na razie inne problemy.

- Czy dostojny król Nawarry jest u siebie? - zapytał Filipa.

- Wiem, że wzywają go do króla na Radę - rzekł Filip.

- Czyście go o tym już powiadomili?

- Tak - odpowiedział zaskoczony Filip.

I natychmiast pomyślał, że popełnił głupstwo, bo kłamstwo było aż nazbyt łatwe do sprawdzenia.

- Po to go właśnie szukam - rzekł d'Artois. - Dostojny Pan de Valois chciałby z nim wpierw porozmawiać.

Rozstali się. Lecz to przypadkowe spotkanie obudziło czujność olbrzyma. „Czyżby to był on?” - zastanawiał się przecinając wielkie, brukowane podwórze. Przed godziną spostrzegł Filipa w Galerii Kramarzy w towarzystwie Joanny i Blanki. Teraz spotkał go u drzwi Małgorzaty... „Czy ten młokos służy im za posłańca, czy też jest kochankiem jednej z trzech? Jeśli tak, wnet się o tym dowiem.”

Bo pani de Comminges nie omieszka go poinformować. Prócz tego jeden z jego ludzi miał nadzorować nocą wybrzeże u stóp wieży Nesle. Sieci były zaciągnięte. Tym gorzej dla tego ptaszka o pięknych piórkach, jeśli się da złowić.





VI

Rada królewska

Gdy prewot Paryża przybył zadyszany do króla, zastał go w świetnym humorze. Filip Piękny podziwiał trzy wielkie charty, przysłane mu z następującym listem, w którym bez trudu można było rozpoznać włoskie pióro:

Wielce umiłowany i potężny Królu, nasz Panie!

Mój siostrzan, szczerze żałując za popełniony przez siebie występpek, wyjawiał mi, że trzy psy gończe, które prowadził, potraciły w przejściu Wasz Majestat. Jakkolwiek zbyt są nikczemne, aby Mu zostać ofiarowane, nie czuję się na tyle godny, aby je teraz dłużej zatrzymać, skoro potraciły tak dostojną i wszechwładną osobę jak Wasza Królewska Mość. Świeżo zostały mi one przesłane przez kupców z Wenecji. Przeto błagam o łaskę Wasz Majestat, aby raczył je przyjąć i zachować, dopóki Mu się spodoba, jako dowód najpokorniejszej czci.

*Spinello Tolomei
Sieneńczyk*

- Zręczny człowiek, ten Tolomei! - powiedział Filip Piękny.

On, który odrzucał wszystkie dary, nie mógł oprzeć się pokusie przyjęcia psów. Posiadał najpiękniejsze na świecie psiarnie i Tolomei celnie schlebził jego jedynej namiętności, ofiarowując mu te wspaniałe psy, które teraz miał przed oczyma.

Kiedy prewot wyjaśniał, co zaszło pod katedrą Notre-Dame,

Filip Piękny w dalszym ciągu zajmował się trzema chartami, otwierał im pyski, by przyjrzeć się białym kłom i czarnemu podniebieniu, poklepywał po piersi pokrytej sierścią o barwie piasku. Niewątpliwie te bestie przysłano bezpośrednio ze Wschodu.

Jakieś milczące i tajemne porozumienie rodziło się natychmiast między królem a zwierzętami, zwłaszcza zaś psami. Oto już największy z trzech chartów podszedł i położył głowę na kolanie swego nowego pana.

- Bouville! - zawołał Filip Piękny.

Zjawił się Hugo de Bouville, pierwszy szambelan dworu, mężczyzna około pięćdziesiątki, o włosach dziwacznie podzielonych na pasma białe i czarne, co upodabniało go do srokiego konia.

- Bouville, trzeba natychmiast zwołać ścisłą Radę.

Następnie Filip Piękny odprawił prewota, dając mu do zrozumienia, że o ile w mieście nastąpią najmniejsze rozruchy, odpowiada głową; sam zaś rozmyślał dalej w towarzystwie psów.

- Więc cóż poczniemy, mój Lombardzie? - szepnął, pieszcząc łeb wielkiego charta i nadając mu nowe imię.

Lombardami bowiem zwano powszechnie wszystkich bankierów i kupców rodem z Włoch. Ponieważ zaś pies był darem jednego z nich, słowo to samo narzuciło się królowi jako imię dla charta.

Obecnie ścisła Rada zbierała się nie w wielkiej Izbie Sprawiedliwości, mogącej pomieścić ponad sto osób, ale w małej przyległej komnacie, gdzie płonął ogień.

Wokół długiego stołu zajęli miejsca członkowie ścisłej Rady, aby stanowiąc o losie templariuszy. Król zasiadał na pierwszym miejscu, z łokciem opartym o poręcz fotela, a podbródkiem wspartym na dłoni. Po jego prawicy siedzieli: Enguerrand de Marigny, koadiutor i rektor królestwa, za nim Wilhelm de Nogaret, strażnik pieczęci, Raul de Presles, przewodniczący Parlamentu¹³, oraz trzej inni juryści: Wilhelm Dubois, Michał de Bourdenai i Mikołaj Le Loquetier; po lewej stronie - najstarszy syn, król Nawarry, którego w końcu odszukano, Hugo de Bouville, wielki szambelan, oraz osobisty sekretarz Maillard. Dwa miejsca były puste: hrabiego de Poitiers, przebywającego w Burgundii, oraz księcia Karola, najmłodszego królewskiego syna, który rankiem udał się na polowanie i nie mógł być powiadomiony o Radzie. Brakowało jeszcze Dostojnego Pana de Valois, którego szukano w jego pałacu, ale zapewne musiał tam spiskować, jak zwykł to czynić przed każdą Radą. Król zdecydował rozpocząć obrady bez niego.

Pierwszy zabrał głos Enguerrand de Marigny. Ten wszechwładny minister - a wszechwładny, bo świetnie rozumieli się z monarchą - nie był „szlachetnie urodzony”. Zanim stał się panem de Marigny, był zwykłym normandzkim mieszczańcem i nazywał się Le Portier; zrobił zawrotną karierę, wzbudzającą tyleż zazdrości co podziwu. Stanowisko koadiutora, czyli współrządcy, ustanowione specjalnie dla niego, uczyniło go *alter ego* króla. Miał czterdzieści dziewięć lat, barczystą postawę, podbródek szeroki i dziobatą cerę. Żył wystawnie, czerpiąc fundusze ze zdobytej przez siebie olbrzymiej fortuny. Uchodził za najrzęczniejszego mówcę w królestwie i posiadał zmysł polityczny znacznie przewyższający współczesną mu epokę.

Potrzebował zaledwie kilku minut, aby nakreślić pełny obraz sytuacji; wysłuchał kilku raportów, między innymi raportu swego brata, arcybiskupa Sens.

- Wielki mistrz i prowincjał Normandii zostali przekazani przez komisję kościelną w wasze ręce, Sire - rzekł. - Odtąd możecie swobodnie nimi rozporządzać, nie odwołując się do nikogo, nawet do papieża. Czyż mogliśmy się spodziewać czego lepszego?

Przerwał. Drzwi się otworzyły i jak wicher wpadł Dostojny Pan de Valois, brat króla i eks-cesarz Konstantynopola. Ledwie skinął głową w stronę monarchy i nie zadając sobie trudu, aby się dowiedzieć, o czym mówiono pod jego nieobecność, wykrzyknął:

- Cóż słyszę, Sire, mój bracie? Mości pan Le Portier de Marigny - mocno zaakcentował „Le Portier” - uważa, że wszystko jest w najlepszym porządku? Doskonale, mój bracie, wasi doradcy zadowolają się byle czym. A ja pytam, którego dnia dostrzegą, że wszystko idzie jak najgorzej?

Dwa lata młodszy od Filipa Pięknego, lecz wyglądający starzej, równie

ruchliwy, jak jego brat opanowany, Karol de Valois miał gruby nos, policzki pożyłkowane na skutek pijatyk i przebywania w obozach wojskowych i toczył przed sobą okazały brzuch, ubierał się zaś ze wschodnim przepychem, który na kimś innym wydawałby się śmieszny. Ongiś był piękny.

Urodził się w cieniu francuskiego tronu i nie mógł odżalować, że go nie zajmuje. Ten książę wichrzyciel przebiegał wszystkie kraje, starając się gorliwie znaleźć jakiś tron, na którym mógłby zasiąść. W młodości otrzymał koronę Aragonii, ale nie zdołał jej zachować. Później bezskutecznie próbował restaurować królestwo w Arles. Następnie pretendował do korony Niemiec, lecz podczas elekcji doznał porażki w godny politowania sposób. Kiedy zmarła jego pierwsza żona, księżniczka z rodu Andegawenów Sycylijskich, ożenił się po raz wtóry z Katarzyną de Courtenay, dziedziczką Łatyńskiego Cesarstwa Wschodu, i stał się cesarzem Konstantynopola, ale tylko tytułarnym cesarzem, bo prawdziwy władca, Andronik II Paleolog, władał wtedy Bizancjum. Na skutek powtórnego wdowieństwa w ubiegłym roku wymknęło mu się nawet i to iluzoryczne berło, które przeszło w ręce jednego z jego zięciów, księcia Tarentu.

Największym tytułem do sławy były dlań błyskawiczna kampania w Gujennie w 1297 roku oraz kampania w Toskanii w 1301 roku, kiedy to popierając gwelfów przeciw gibelinom splądrował Florencję i wygnał z niej poetę Dantego. Papież Bonifacy VIII mianował go za to hrabią Romanii.

Valois żył jak król, posiadał swój dwór i własnego kanclerza. Nie cierpiał Enguerranda de Marigny z tysiąca powodów: za jego gminne pochodzenie, za godność koadiutora, za statuetkę wzniesioną wśród posągów królów Francji w Galerii Kramarzy, za politykę wrogą wielkim feudałom, w ogóle za wszystko. Valois, wnuk Ludwika Świętego, nie mógł ścierpieć, aby królestwem rządził człowiek z pospólstwa.

Tego dnia Valois przyodziany był w błękit i złoto, od kaptura aż po trzewiki.

- Czterech na pół żywych starców - podjął - których los, jak nas zapewniano, został rozstrzygnięty... mniejsza o to, w jaki sposób, niestety! trzyma w szachu królewski autorytet i wszystko jest w najlepszym porządku. Lud płwa na sąd... Jaki sąd! Zgódźmy się, zwerbowany dla ukończenia tej sprawy, lecz ostatecznie to przedstawiciele Kościoła... i wszystko jest w porządku. Motłoch wrzeszczy do utraty tchu, lecz na kogo? Na prałatów, na prewota, na łuczniczków, na was, mój bracie... i wszystko układa się jak najlepiej. Doskonale! Niech i tak będzie, radujmy się: wszystko jest w porządku.

Podniósł piękne, upierścienione ręce i zasiadł, ale nie na miejscu dla niego przeznaczonym, lecz na pierwszym z brzegu krześle, u końca stołu, jakby chciał tym wyłączeniem się potwierdzić swój sprzeciw.

Enguerrand de Marigny wciąż stał, a ironiczna fałda okalała jego szeroki podbródek.

- Dostojny Pan de Valois zapewne jest mylnie poinformowany - rzekł spokojnie. - Z czterech starców, o których mówi, tylko dwaj założyli

protest przeciw wyrokowi skazującemu. Co zaś do ludu, wszystkie moje raporty zapewniają, że jego opinia jest wyraźnie podzielona.

- Podzielona? - wykrzyknął Karol de Valois. - Ależ skandalem jest to, że może być podzielona! Kto pyta lud o zdanie? Wy, panie de Marigny, i zrozumiałe dlaczego. Oto wynik waszego pięknego wynalazku zwoływania mieszczan, chłopów i innych prostaków, aby aprobowali królewskie postanowienia. Teraz lud przywłaszcza sobie prawo do wydawania wyroków.

W każdej epoce, w każdym kraju zawsze istniały dwa stronnictwa: reakcji i postępu. Dwa kierunki ścierały się w Radzie Królewskiej. Karol de Valois, uważając się za powołanego na wodza wielkich baronów, był wcieleniem reakcji feudalnej. Jego polityczna ewangelia opierała się na kilku zasadach, których zazarcie bronił: na prawie możnowładców do prowadzenia prywatnych wojen, na prawie wielkich feudałów do bicia własnej monety na swoim terytorium, zachowaniu kodeksu etyki oraz praw rycerskich, uznaniu Stolicy Apostolskiej jako najwyższego rozjemcy. Cały ten system oraz zwyczaje zostały odziedziczone po ubiegłych wiekach, ale Filip Piękny, pod wpływem Marigny'ego, albo już je obalił, albo dążył do ich obalenia.

Enguerrand de Marigny reprezentował postęp. Jego ideami przewodnimi były: centralizacja władzy i administracji, ujednoczenie monety, uniezależnienie rządu od Kościoła, pokój z obcymi państwami dzięki ufortyfikowaniu kluczowych miast i osadzeniu w nich stałych garnizonów wojskowych, pokój wewnątrz kraju dzięki wzmocnieniu królewskiego autorytetu, zwiększenie produkcji przez zapewnienie kupcom warunków bezpiecznej wymiany handlowej. Nazywano te zarządzenia, już wprowadzone względnie przyobiecane, „nowinkami”. Lecz każdy medal posiada odwrotną stronę. Drogo kosztowało żywienie wciąż liczniejszej policji i drogo kosztowała budowa twierdz.

Enguerrand, atakowany ze wszystkich stron przez partię feudalną, starał się zapewnić królowi poparcie mieszczaństwa - stanu, który, rozwijając się, począł uświadamiać sobie własne znaczenie. W kilku trudnych sytuacjach, a zwłaszcza w okresie konfliktów ze Stolicą Apostolską, zwoływał on do pałacu na wyspie Cité nie tylko baronów i prałatów, ale i paryskich mieszczan. Czynił to również w miastach prowincjonalnych. Za wzór służyła mu Anglia, gdzie już od pół wieku regularnie urzędowała Izba Gmin.

Oczywiście nie było jeszcze mowy o tym, by francuskie zgromadzenia dyskutowały królewskie postanowienia, chodziło tylko o wysłuchanie, z jakich powodów zostały powzięte, oraz o ich aprobatę¹⁴.

Valois, jakkolwiek warchoł do szpiku kości, był przeciwnieństwem głupca. Wykorzystywał każdą okazję, aby zdyskredytować Marigny'ego. Opozycja między nimi, długi czas utajona, w ostatnich miesiącach przerodziła się w otwartą walkę.

- Jeśliby wielcy baronowie, wśród których wy, Dostojny Panie, jesteście najwyższym - rzekł Marigny - chętniej dawali posłuch królewskim zarządzeniom, nie potrzebowalibyśmy opierać się na ludzie.

- W istocie, piękne poparcie! - krzyczał Valois. - Rozruchy w 1306 roku,

kiedy król i wy sami w obawie przed zbuntowanym Paryżem musieliście schronić się w Temple... niczego was nie nauczyły. Przepowiadam wam, że niebawem, o ile nie zmienicie swego postępowania, mieszczanie obejdą się bez króla, a wasze zgromadzenia same będą wydawać zarządzenia.

Król milczał, wsparłszy podbródek na dłoni patrzył prosto przed siebie szeroko rozwartymi oczami. Mrugał bardzo rzadko; rzęsy tkwiły jakby nieruchomo przez długie minuty i to właśnie nadawało dziwną uporczywość jego spojrzeniu, które tak bardzo przerażało ludzi.

Marigny zwrócił się ku niemu, jakby prosząc, aby użył swego autorytetu i wstrzymał dyskusję wkraczającą na błędne tory.

Filip Piękny podniósł lekko głowę i rzekł:

- Mój bracie, dzisiaj nie zajmujemy się zgromadzeniami, ale templariuszami.

- Niech i tak będzie - powiedział Valois, stukając palcami po stole. - Zajmujmy się templariuszami.

- Nogaret! - mruknął król.

Strażnik pieczęci powstał. Od początku narady płonął gniewem i oczekiwał tylko odpowiedniej chwili, aby wybuchnąć. Był fanatykiem dobra publicznego i racji stanu, sprawa templariuszy była jego sprawą, włożył w nią pasję bez granic i wytchnienia. Zresztą Wilhelm de Nogaret procesowi templariuszy zawdzięczał, od dnia świętego Maurycego roku 1307, swoje wysokie stanowisko w państwie.

Właśnie owego dnia, podczas narady w Maubuisson, arcybiskup z Narbonne, Gilles Aucelin, wówczas strażnik pieczęci królewskich, zrozpaczony odmówił przyłożenia ich pod nakazem aresztowania templariuszy. Filip Piękny bez słowa zabrał pieczęcie z rąk arcybiskupa i położył je przed Nogaretem, czyniąc z tego legisty drugą osobistość w królewskiej administracji.

Nogaret był gorliwy, surowy, nieubłagany jak kosa śmierci. Kościsty, czarny, o podłużnej twarzy, bez przerwy miętosił jakąś część swego ubrania lub obgryzał paznokiec na którymś z płaskich palców.

- Sire, wydarzyła się rzecz potworna, okropna do pomyślenia, straszliwa do usłyszenia - zaczął emfaticznie i szybko - dowodzi ona, że cała pobłażliwość, cała łaskawość okazana tym poplecznikom diabła jest słabością, która zwróciła się przeciwko nam.

- To prawda - rzekł Filip Piękny odwracając się do Karola de Valois. - Okazanie łaski, do czego wyście mnie zachęcali, bracie, i o co w liście prosiła moja córka z Anglii, zdaje się wcale nie wydało dobrych owoców... Proszę dalej, Nogaret.

- Darowuje się tym zgnojonym psom życie, na które nie zasługują, a oni zamiast błogosławić sędziów, natychmiast wykorzystują to dla zniewagi i Kościoła, i króla. Templariusze są heretykami...

- Byli... - wtrącił Karol de Valois.

- Co powiadacie, Dostojny Panie? - zapytał niecierpliwie Nogaret.

- Powiedziałem byli, panie, bo jeśli dobrze pamiętam, z tysięcy, jakie liczyła Francja, a których wyście wygnali albo uwięzili, albo łamali kołem, albo upiekli na stosie, pozostało w waszych rękach tylko czterech... dość kłopotliwych, przyznaję, bo po siedmiu latach procesu jeszcze głoszą swoją

niewinność. Zdaje się, panie de Nogaret, że ongiś szybciej umieliście uporać się z robotą, skoro jednym uderzeniem w policzek zdołaliście zdmuchnąć papieża z tronu.

Nogaret drgnął i twarz jego pociemniała pod niebieskim śladem zarostu. Bo właśnie to on wiódł do serca Lacjum ponurą wyprawę, mającą na celu złożenie z tronu sędziwego Bonifacego VIII, u kresu której spoliczkował osiemdziesięcioośmioletniego papieża w pontyfikalnej tiarze. Nogaret po powrocie został obłożony klątwą i Filip Piękny musiał użyć całego swego wpływu na Klemensa V, drugiego z kolei następcy Bonifacego, aby zdjął tę klątwę. Owa przykra sprawa nie była stosunkowo tak dawną; upłynęło od tego czasu jedenaście lat, zaś przeciwnicy Nogareta nigdy nie zaniechali okazji, aby mu ją wypomnieć.

- Wiemy, Dostojny Panie - odparł - że zawsze popieraliście templariuszy. Niewątpliwie liczyliście na ich pomoc, aby odzyskać, choćby za cenę całkowitej ruiny Francji, ten urojony tron w Konstantynopolu, na którym, zdaje się, wcale nie zasiedliście.

Odplacił obelgą za obelgę i twarz jego odzyskała zwykłą barwę.

- Do pioruna! - krzyknął de Valois, wstając i wywracając za siebie krzesło.

Spod stołu rozległo się szczekanie, wszyscy obecni, prócz Filipa Pięknego, drgnęli, a Ludwik Nawarry wybuchnął nerwowym śmiechem. To zaszczekał wielki chart, którego król zatrzymał przy sobie, a pies jeszcze nie zdążył się oswoić z tego rodzaju wybuchami.

- Ludwiku... zamilczcie - rzekł Filip Piękny, kierując na syna lodowate spojrzenie.

Następnie klasnął w dłonie mówiąc: „Lombard... cicho”, i przycisnął głowę psa do uda.

Ludwik Nawarry, którego poczęto nazywać Kłótliwym albo Swarliwym i Mętym, Ludwik Warchoł spuścił nos, aby zdusić histeryczny śmiech. Miał dwadzieścia pięć lat, ale jego rozum nie osiągnął piętnastu. Rysy miał trochę podobne do ojca, ale oczy uciekały mu w bok, a włosy nie miały połysku.

- Sire - rzekł uroczyście Karol de Valois, gdy wielki szambelan podniósł jego krzesło - Sire, mój bracie, Bóg mi świadkiem, że miałem na myśli tylko wasze dobro i waszą sławę.

Filip Piękny zwrócił ku niemu oczy i Karol de Valois poczuł się mniej pewny w słowach. Ciągnął jednak dalej:

- Przecież o was tylko myślę, bracie, nawet wtedy gdy widzę, jak bezkarnie niszczy się potęgę królestwa. Jak bez zakonu, ostoi rycerstwa, będziecie mogli podjąć nową wyprawę krzyżową, gdyby zaszła tego potrzeba?

Marigny przejął na siebie odpowiedź.

- Pod mądrymi rządami naszego króla - rzekł - nie przedsiębraliśmy wypraw krzyżowych właśnie dlatego, że rycerstwo zachowywało się spokojnie, Dostojny Panie, i nie trzeba go było wieść za morze, aby dać upust jego zapałom.

- A wiara, panie?

- Złoto odebrane templariuszom bardziej wzbogaciło skarb, Dostojny

Panie, niż cały ten wielki handel prowadzony pod sztandarami wiary; a towary krążą równie dobrze i bez wypraw krzyżowych.

- Panie, mówicie jak niedowiarek.

- Mówię jako sługa królestwa, Dostojny Panie!

Król lekko uderzył w stół.

- Bracie... dziś chodzi o templariuszy... Proszę o waszą radę.

- Moja rada... moja rada? - powtórzył zaskoczony Valois. Był zawsze gotów przebudowywać świat, ale nigdy nie wyraził sprecyzowanego zdania.

- A więc, mój bracie, niechaj ci, co tak pięknie prowadzili sprawę - wskazał na Nogareta i Marigny'ego - natchną was, jak ją zakończyć. Co do mnie...

I wykonał gest Piłata.

- Ludwiku... wasza rada?

Ludwik Nawarry drgnął i odczekał chwilę, nim odpowiedział.

- A gdyby powierzyć tych templariuszy papieżowi? - rzekł wreszcie.

- Ludwiku... zamilczcie - rzekł król.

I wymienił z Marignym pełne politowania spojrzenie.

Odesłać wielkiego mistrza przed sąd papieski znaczyło rozpocząć wszystko od początku, wszystko na nowo uzasadniać, tak pod względem treści jak i formy, zrzec się zdobytcy wydartych z trudem kilku koncyliom, zniweczyć siedem lat wysiłków, utorować drogę wszystkim sprzecznościom.

„Trzebaż tego, aby ten dureń, ten niedowarzony przygłup wstąpił po mnie na tron - myślał Filip Piękny. - Ostatecznie, miejmy nadzieję, że do tego czasu zmądrzeje.”

Marcowa ulewa zabębniła po oprawnych w ołów szybach.

- Bouville? - spytał król.

Wielki szambelan był wcieleniem przywiązania, posłuszeństwa, wierności, chęci przypodobania się, lecz inicjatywa nie była cechą jego charakteru. Zastanawiał się, jakiej odpowiedzi życzył sobie monarcha.

- Rozważam, Sire, rozważam... - odpowiedział.

- Nogaret... wasza rada?

- Niechaj ci, co popadli w herezję, poniosą karę wyznaczoną heretykom, i to niezwłocznie - odparł strażnik pieczęci.

- Lud?... - zapytał Filip Piękny, przenosząc spojrzenie na Marigny'ego.

- Jego podniecenie, Sire, opadnie natychmiast, gdy sprawcy przestaną istnieć - rzekł koadiutor.

Karol de Valois pokusił się o ostatnią próbę ratunku:

- Mój bracie - rzekł - zważcie, że wielki mistrz miał rangę panującego księcia, a tknąć jego głowy to targnąć się na szacunek, który chroni głowy królów.

Wzrok króla uciał jego słowa.

Zapanowało przytłaczające milczenie, po czym Filip Piękny powiedział:

- Jakub de Molay i Galfryd de Charnay dziś wieczór zostaną spaleni na Wyspie Żydowskiej naprzeciw pałacowego ogrodu. Bunt był publiczny; kara będzie publiczna. Pan de Nogaret zredaguje wyrok. Rzekłem.

Wstał, a za nim wszyscy obecni.

- Polecam, szlachetni panowie, abyście wszyscy, jak tu jesteście, asystowali przy kaźni i niech nasz syn Karol stawi się również. Zawiadomić go - dorzucił.

Następnie zawołał:

- Lombard!

Wyszedł, a pies w ślad za nim.

Na tej naradzie, w której uczestniczyli dwaj królowie, jeden eks-cesarz, jeden wicekról i kilku dostojników, skazano na śmierć na stosie dwóch wielkich panów, przynależnych tak do stanu rycerskiego, jak i duchownego. Lecz ani na chwilę nie pojawiło się uczucie, że toczy się sprawa o życie i ciała ludzkie; chodziło tylko o zasady.

- Mój bratanku - rzekł Karol de Valois do Ludwika Kłótliwego - dziś będziemy asystować przy zgonie rycerstwa.





VII

Wieża miłości

Zapadła noc. Łagodny wiatr unosił zapach wilgotnej ziemi, mułu, nabrzmiewających pąków i rozpędzał ciężkie, czarne chmury na bezgwiezdnym niebie.

Na wysokości wieży Luwru barka odbiła od brzegu i sunęła Sekwaną, po wodzie lśniącej jak dobrze natłuszczona tarcza.

Na tyłach barki siedziało dwóch pasażerów. Poły płaszczy zarzucili na ramiona.

- Nie do wiary dziś pogoda - mówił przewoźnik, powoli zanurzając wiosła. - Rano budzi się człowiek we mgle i nic nie widać na dwa sążnie. Później o tercji¹⁵ pokazuje się słońce; wtedy myśli - zbliża się wiosna. Ledwie to człek powiedział, a już pada deszcz ze śniegiem i tak trwa przez całe nieszpory. A teraz zrywa się wiatr, na pewno będzie dał jeszcze silniej... Pogoda nie do wiary.

- Szybciej, człowieku - rzekł jeden z pasażerów.

- Robi się, co można. Przecie jestem już stary; będę miał pięćdziesiąt trzy na świętego Michała. Nie jestem już taki silny, szlachetni panowie, jak wy młodzi - odpowiedział przewoźnik.

Ubrany był w łachmany i zdawał się lamentować z jakąś lubością.

W pewnej odległości na lewo widać było, jak na Wyspie Żydowskiej podskakują ogniki, a trochę dalej błyszczą oświetlone okna Pałacu na wyspie Cité. Ożywiony ruch panował po tamtej stronie rzeki.

- Więc, szlachetni panowie, nie pójdziecie popatrzeć, jak smażą się templariusze? - podjął przewoźnik. - Mówią, że będzie tam król z synami. Czy to prawda?

- Podobno - rzekł pasażer.

- A czy księżniczki także tam będą?

- Nie wiem... zapewne - odparł pasażer odwracając głowę, aby zaznaczyć, że już chce zakończyć rozmowę.

Później zwrócił się szeptem do swego towarzysza:

- Nie podoba mi się ten człowiek, za dużo gada.

Drugi pasażer obojętnie wzruszył ramionami. Po chwili milczenia szepnął:

- Jak cię powiadomiono?

- Jak zawsze przez Joannę.

- Kochana hrabina Joanna, ileż łask jej zawdzięczamy.

Każde uderzenie wiosłem przybliżyło wieżę Nesle, wysoki czarny masyw sterczący na tle czarnego nieba.

- Gautier - podjął pierwszy pasażer, kładąc rękę na ramieniu sąsiada - dziś wieczór jestem szczęśliwy. A ty?

- Ja też, Filipie, czuję się doskonale.

Tak rozmawiali dwaj bracia d'Aunay, udając się na spotkanie, które wyznaczyły im Blanka i Małgorzata, gdy tylko dowiedziały się, że ich małżonkowie będą wieczorem nieobecni. Sprzyjając tym miłośnikom, hrabina de Poitiers raz jeszcze podjęła się pośrednictwa.

Filip d'Aunay z trudem hamował wybuchy radości. Zniknęły wszystkie poranne obawy, wszystkie podejrzenia okazały się płonne; Małgorzata go wezwała; Małgorzata go oczekuje; za kilka minut będzie trzymał Małgorzatę w ramionach. Przysięgał sobie, że będzie najtkliwszym, najweselszym, najzarliwszym kochankiem, jakiego można sobie wyobrazić.

Barka przybiła do pagórka, w którym tkwił fundament wieży. Ostatni wylew rzeki pozostawił na nim warstwę mułu.

Przewoźnik podał ramię obu młodzieńcom i pomógł im wysiąść na brzeg.

- Więc, mój człowieku, uzgodniliśmy - powiedział Gautier d'Aunay - będziesz na nas tu czekał, nie oddalaj się i niech nikt cię nie dojrzy.

- Będę czekał choćby całe życie, młody szlachetny panie, jeśli tylko mi za to zapłacicie - odparł przewoźnik.

- Połowa nocy wystarczy - rzekł Gautier.

Dał mu srebrnego solda, dwanaście razy tyle co kosztował przejazd, i przyrzekł tyleż za powrót. Przewoźnik pokłonił się nisko. Uważając, by się nie pośliznąć i za bardzo nie ochlapać błotem, obaj bracia przeszli kilka kroków, które dzieliły ich od furty, i zastukali w umówiony sposób. Otworzyły się drzwi. Pokojowa z ogarkiem w ręku usunęła się z przejścia i, zabarykadowawszy drzwi, powiodła ich po krętych schodach.

Wielką, okrągłą komnatę, do której ich wprowadziła, oświetlały jedynie błyski ognia płonącego w kominku z okapem. Błyski te gubiły się w ostrołukach sklepionego sufitu.

Tu, podobnie jak w pokoju Małgorzaty, unosił się zapach jaśminowej esencji; wszystko było nią przesiąknięte - rozpięte na ścianach przetykane złotem tkaniny, dywany, płowe futra, na wschodnią modłę rozrzucone obficie na niskich łóżach.

Księżniczka nie było. Pokojowa wyszła mówiąc, że zaraz je powiadomi.

Zrzuciwszy płaszcze, obaj młodzieńcy zbliżyli się do kominka i wyciągnęli machinalnie ręce do ognia.

Gautier d'Aunay, o dwadzieścia miesięcy starszy od swego brata Filipa, był do niego bardzo podobny, chociaż niższy, bardziej barczysty i jaśniejszy. Miał mocną szyję, różowe policzki i życie brał na wesoło. Nie wpadał jak Filip na przemian w rozpacz i podniecenie z powodu namiętności. Był żonaty, i to dobrze ożeniony, z panną Montmorency, i miał już troje dzieci.

- Wciąż się zastanawiam - mówił grzejąc się przy ogniu - dlaczego Blanka wzięła mnie sobie za kochanka, i w ogóle po co jej kochanek? Jasne, dlaczego zrobiła to Małgorzata. Aby zrozumieć, wystarczy popatrzeć na Kłótliwego, na jego spojrzenie spode łba, zapadłą klatkę piersiową, i porównać go z tobą. Wreszcie to wszystko, o czym wiemy...

Była w tym aluzja do tajemnic alkowy, do nikłego temperamentu młodego króla Nawarry i do głuchej niechęci, która istniała między

małżonkami.

- Ale Blanka, nic nie pojmuję - podjął Gautier d'Aunay. - Jej mąż jest o wiele ode mnie piękniejszy... Ależ nie, bracie, nie zaprzeczaj; Karol jest piękny, bardzo podobny do Filipa. Kocha Blanke, i jestem pewien, że ona go także kocha, cokolwiek by nie mówiła. Więc dlaczego? Rozkoszuję się moim szczęściem, ale nie dostrzegam przyczyny. Czyżby po prostu dlatego, że Blanka chce we wszystkim naśladować swoją kuzynkę?

Usłyszeli szmer kroków i szepty na galerii łączącej wieżę z pałacem; zjawily się obie księżniczki.

Filip rzucił się ku Małgorzacie, lecz nagle stanął jak wryty. Przy pasku kochanki dostrzegł jałmużniczkę, która tak go rozdrażniła rano.

- Co tobie, mój śliczny Filipie? - spytała Małgorzata wyciągając ramiona i podając mu usta. - Czyż nie jesteś szczęśliwy?

- Jestem, o Pani - odparł chłodno.

- Co znowu zaszło? Jaka nowa mucha...

- Czy to... aby sztydzić ze mnie? - mówił Filip, wskazując na jałmużniczkę.

Roześmiała się ciepło, prześlicznie.

- Jakiś ty głupi, jaki zazdrosny, jak mi się podobasz! Więc nie zrozumiałeś, że żartowałam? Ależ daruję ci tę sakiewkę, jeśli to ma cię uspokoić.

Odpięła zręcznie jałmużniczkę od paska. Filip zaprotestował gestem.

- Patrzcie na tego szaleńca - ciągnęła - byle co wprawia go w złość.

I zniżając głos, naśladowała żartobliwie gniew Filipa:

- Mężczyzna! Kim jest ten mężczyzna? Chcę wiedzieć!... Czy to Robert d'Artois... czy to pan de Fiennes...

I znowu zadźwięczał jej piękny śmiech.

- Krewniaczka mi ją przysłała, panie złośniku, jeśli wszystko chcesz wiedzieć - podjęła. - Blanka otrzymała taką samą i Joanna również. Czy myślałabym, żeby ją tobie podarować, gdyby to był prezent od ukochanego? Teraz jest twoja.

Zakłopotany, a zarazem uszczęśliwiony Filip podziwiał jałmużniczkę, którą Małgorzata prawie siłą wcisnęła mu do ręki.

Zwracając się do kuzynki, Małgorzata dorzuciła:

- Blanko, pokaż Filipowi twoją jałmużniczkę. Ja mu swoją podarowałam.

I szepnęła do ucha Filipa:

- Zapewniam cię, że niebawem twój brat otrzyma ten sam prezent.

Blanka leżała na niskim łożu; Gautier przyklękawszy koło niej okrywał pocałunkami jej szyję i ręce. Wpół unosząc się zapytała głosem przymglonym jakby oczekiwaniem rozkoszy:

- Czy nie postępujesz lekkomyślnie, Małgorzato?

- Ależ nie - odparła Małgorzata. - Nikt nic nie wie, jeszcze ich nie nosiłyśmy. Wystarczy uprzedzić Joannę. A darując sakiewkę, czyż nie odwiedzamy się w najmiłszy sposób zacnym, szlachetnym panom za usługi, jakie nam oddają?

- Jeśli tak - wykrzyknęła Blanka - nie chcę, aby wyglądało, że mniej miłuję mego pięknego kochanka i mniej go obdarowuję niż ty.

Odwiązała swoją jałmużniczkę, a Gautier przyjął ją bez oporu i skrępowania, bo przecież jego brat już to zrobił.

Małgorzata spojrzała na Filipa z miną, która znaczyła: „A nie mówiłam?”

Filip uśmiechnął się do niej. Nigdy nie mógł odgadnąć, co myśli, ani jej zrozumieć. Czy to ta sama kobieta, która dziś rano, okrutna, zalotna, przewrotna, usiłowała doprowadzić go do omdlenia z zazdrości, a teraz ofiarowała mu dar wart dwudziestu liwrow i tuliła się w jego ramionach uległa, tkliwa, prawie drżąca?

- Tak bardzo cię kocham - szeptał - chyba dlatego, że cię nie rozumiem.

Żaden komplement nie mógł bardziej wzruszyć Małgorzaty. Podziękowała Filipowi, wtulając usta w jego szyję. Nagle uwolniła się z jego ramion i nadśluchując wykrzyknęła:

- Słyszycie? Templariusze... wiodą ich na stos.

Z błyszczącym wzrokiem, z twarzą ożywioną niezdrową ciekawością pociągnęła Filipa do okna, wysokiej, wyciętej na ukos w murze strzelnicy, i otworzyła wąski witraż.

Gwar tłumu wtargnął do komnaty.

- Blanko, Gautier, chodźcie zobaczyć! - zawołała Małgorzata. Ale Blanka odparła omdlewającym głosem:

- O nie, nie chcę się stąd ruszać; jest mi zbyt dobrze.

Wszelka wstydlivość między obu księżniczkami a ich kochankami już od dawna została przełamana, przyzwyczaili się w obecności drugiej pary oddawać się wszystkim grom miłosnym. O ile Blanka jeszcze czasem odwracała oczy i kryła własną nagość w cieniu, Małgorzata, na odwrót, pogłębiała rozkosz, patrząc na miłość tamtych i oddając się ich spojrzeniom.

Ale w tej chwili, przyklepiona do okna, pochłonięta była widokiem, jaki roztaczał się na środku Sekwany. Tam na Wyspie Żydowskiej¹⁶ stu łuczników stało kręgiem z zapalonymi pochodniami, a płomień tych wszystkich pochodni, chwiejąc się na wietrze, tworzył grootę światła, w środku której rysował się wyraźnie olbrzymi stos. Pachołkowie kata wdrapywali się po ułożonych w sągi bierwionach. Na wysepce, zwykłej łączce, gdzie zazwyczaj prowadzono na pastwisko krowy i kozy, poza kręgiem łuczników cisnął się z pośpiechem tłum, a rzekę przecinała chmara barek przeładowanych ludźmi, co chcieli przyglądać się kaźni.

Z prawego brzegu odpłynęła cięższa niż inne barka ze stojącymi w niej zbrojnymi i przybiła do wysepki. Wsiadły z niej dwie wysokie, szare postacie w dziwacznych kapeluszach. Przed nimi zarysował się krzyż. Wtedy gwar tłumu przybrał na sile i przeszedł we wrzask.

Prawie w tej samej chwili rozświetliła się loggia wieży zwanej Wieżą Wód, zbudowanej na przyczółku pałacowego ogrodu. Niebawem w tej loggii pojawiły się cienie. Król i jego Rada zajęli miejsca.

Małgorzata wybuchnęła długim, nie kończącym się śmiechem, przechodzącym z jednej tonacji w drugą, spływającym kaskadami.

- Dlaczego się śmiejesz? - spytał Filip.

- Bo Ludwik jest tam - odparła - i gdyby to był dzień, mógłby mnie zobaczyć.

Oczy jej błyszczały, czarne loczki tańczyły na wypukłym czole. Szybkim ruchem wysunęła z sukni piękne białe ramiona i zrzuciła odzież na podłogę, jakby przez dal i noc chciała zadrwić ze znienawidzonego męża. Przyciągnęła do swoich bioder ręce Filipa.

W głębi sali Blanka i Gautier leżeli obok siebie spleceni ciasnym uściskiem, a ciało Blanki miało połysk masy perłowej.

Tam na środku rzeki narastał wrzask. Przywiązywano templariuszy do pala na stosie, który za chwilę miano podpalić. Małgorzata zadrżała pod nocnym podmuchem i zbliżyła się do kominka. Stała chwilę, uporczywie wpatrując się w ognisko, i poddawała się promieniowaniu żaru, aż wreszcie nie mogła już znieść pieczyoty ognia. Czerwone smużki tańczyły po jej skórze.

- Będą się palić, będą się smażyć - mówiła zdyszczanym, ochrypłym głosem - a my w tym czasie...

Oczy jej szukały pośród ognia obrazów piekła, by podsycić własną rozkosz.

Obróciła się gwałtownie i stanąwszy naprzeciw Filipa oddała mu się stojąc, jak legendarne nimfy oddawały się pożądanym faunom.

Na ścianie zarysował się ich cień, olbrzymi, sięgający sklepienia.





VIII

„Powołuję przed sąd Boży”

Wąska odnoga rzeki oddzielała ogród pałacowy od Wyspy Żydowskiej. Stos wzniesiono tak, aby stał na wprost królewskiej loggii w Wieży Wód.

Gapie wciąż napływali na oba błotniste brzegi Sekwany, a samą wysepkę zalał dreptający tłum. W ów wieczór przewoźnicy zbijali majątek.

Łucznicy jednak stali w równym szeregu; sierżanci odpychali napierający tłum; zbrojne pikiety czuwały na mostach i u wylotu ulic prowadzących na brzeg rzeki.

- Marigny, możecie pogratulować prewotowi - rzekł król do swego koadiutora.

Wzburzenie, które rankiem groziło, że przerodzi się w bunt, kończyło się ludowym festynem, zgiełkiem jarmarcznym, tragicznym widowiskiem, jakie król wydał swojej stolicy. Zapanowała atmosfera kiermaszu. Żebracy przemierzali się z tłumem mieszczan, którzy przybyli z całymi rodzinami; „wszetczne dziewczki”, umalowane i z pofarbowanymi włosami, zbiegły się z uliczek na tyłach katedry Notre-Dame, gdzie uprawiały swój proceder. Chłopcy przemykali się między nogami, aby dotrzeć do pierwszych szeregów. Nieliczni Żydzi, z żółtymi kólkami na płaszczach, zbici w nieśmiałe grupki, przybyli przyjrzeć się kaźni, która tym razem nie odbywała się ich kosztem. Piękne damy w podbitych futrem narzutkach, chciwe silnych wrażeń, tuliły się do swoich kawalerów i wydawały ciche, nerwowe okrzyki.

Powietrze było niemal chłodne; wiatr dał w krótkich podmuchach. Blask pochodni rzucał na rzekę czerwone smugi.

Pan Alain de Pareilles, na koniu, w żelaznym hełmie na głowie i z miną jak zawsze znudzoną, stał na czele swoich łuczników.

Stos przekraczał wzrost dorosłego mężczyzny. Dokoła niego krzatali się kaci wraz z pomocnikami w czerwonych kapturach i równali pod sznur bierwiona, szykowali zapas chrustu. Czynili to w poczuciu sumiennie spełnianego obowiązku.

Na szczycie stosu stali już przywiązani obok siebie wielki mistrz templariuszy i prowincjał Normandii. Włożono im na głowy hańbiące papierowe mitry heretyków.

Mnich podnosił ku nim krucyfiks osadzony na długim drzewcu. Udzielał im ostatnich przestroóg. Tłum uciszył się, żeby usłyszeć słowa mnicha.

- Za chwilę staniecie przed Bogiem. Jeszcze czas wyznać grzechy, wzbudzić skruchę... Zaklinam was po raz ostatni...

Tam wysoko, między niebem a ziemią, skazańcy z brodami rozwianymi wiatrem milczeli.

- Odmawiają spowiedzi. Nie żałują za grzechy - szepnął tłum.

Zaległa głucha, grobowa cisza. Mnich ukląkł u stóp stosu i recytował

modlitwy po łacinie. Mistrz katowski wziął z rąk pachołka sporządzoną z kłaków płonąca żagiew. Zakręcił nią kilka razy. Rozniecał płomień.

Jakieś dziecko zapłakało i rozległ się odgłos klapsa.

Alain de Pareilles, jakby pytając o rozkaz, zwrócił się do królewskiej loggii. Wszystkie spojrzenia, wszystkie głowy skierowały się w tę samą stronę. Tłum wstrzymał oddech.

Filip Piękny stał oparty o balustradę. Członkowie Rady stali rzędem po obu jego stronach; w świetle pochodni wyglądali niby płaskorzeźba na ścianie wieży.

Nawet sami skazańcy wzniesli oczy ku loggii. Spojrzenia króla i wielkiego mistrza skrzyżowały się, zmierzyły, szczepiły i zwały. Nikt nie mógł wiedzieć, jakie myśli, jakie uczucia, jakie wspomnienia kłębią się pod czołem dwóch wrogów. Tłum jednak instynktownie odczuł, że w tej właśnie chwili odbywa się jakaś wzniosła, straszliwa, nadludzka rozprawa między dwoma książętami tego świata, jednym dziś wszechwładnym, drugim, co był nim ongiś.

Czy wielki mistrz templariuszy ukorzy się wreszcie i poprosi o litość? A król Filip Piękny, w odruchu najwyższego miłosierdzia, czy ulaskawi skazańców?

Król wykonał ręką gest, zebrani dostrzegli błysk pierścienia na jego palcu. Alain de Pareilles powtórzył gest w stronę kata, a ten wsadził w chrust pochodnię z kłaków. Z tysięcy piersi wyrwało się olbrzymie westchnienie. Mieszały się w nim ulga i groza, niezdrowa radość i przerażenie, cierpienie, wstręt i rozkosz.

Kilka kobiet zawyło. Dzieci skryły głowy w odzieży rodziców. Jakiś męski głos wykrzyknął:

- A mówiłem ci, żeby nie przychodzić!

Dym począł wznosić się gęstą spiralą. Gwałtowny podmuch wiatru przygnał go do królewskiej loggii.

Dostojny Pan de Valois zakaszał. Uczynił to z największą ostentacją, na jaką mógł się zdobyć. Cofnął się między Wilhelma Nogareta i Marigny'ego mówiąc:

- Jeśli to dłużej potrwa, zadusimy się, zanim spalą się wasi templariusze. Moglibyście przynajmniej kazać podłożyć suchego drzewa.

Odpowiedziało mu milczenie. Nogaret, z napiętymi mięśniami i palającym wzrokiem, smakował gorzki triumf. Ten stos był uwieńczeniem siedmiu lat walki, wyczerpujących podróży, tysięcy słów wypowiedzianych, aby przekonać, tysiący stron napisanych, aby dowieść. „Dalej, smaźcie się, palcie się - myślał. - Dość długo trzymaliście mnie w szachu. Ja miałem rację, a wy jesteście pokonani.”

Enguerrand de Marigny naśladował postawę króla, starając się zachować obojętność i spoglądać na męczarnię jak na konieczność wypływającą z racji stanu. „Trzeba było, trzeba było” - powtarzał sobie widząc, jak umierają ci ludzie; nie mógł przecież uniknąć myśli o śmierci, o własnej śmierci. Nareszcie ci dwaj skazańcy przestali być polityczną abstrakcją.

Hugo de Bouville modlił się skrycie.

Wiatr zakręcił się, a dym, z sekundy na sekundę coraz gęstszy i wyższy, otoczył skazańców, kryjąc ich przed oczyma tłumu. Usłyszano, jak przy

słupach obaj starcy kaszłą i krztuszą się.

Ludwik Nawarry począł się głupio śmiać, pocierając zaczerwienione oczy.

Brat jego Karol, najmłodszy z królewskich synów, odwracał głowę. Widowisko wyraźnie było dlań przykre. Miał dwadzieścia lat; był wysoki, jasny, różowy, a ci, co znali jego ojca w tym samym wieku, mówili, że jest do niego uderzająco podobny, lecz pozbawiony tej siły i dostojności, niby słaba odbitka imponującego modelu. Miał ten sam wygląd, ale zabrakło mu hartu, a także zalet umysłu.

- Zauważyłem, że pojawiło się światło u ciebie w wieży Nesle - rzekł półgłosem do Ludwika.

- Zapewne strażnicy także chcą ucieszyć wzrok.

- Ustąpiłbym im chętnie swego miejsca - mruknął Karol.

- Co? Nie bawi cię widok, jak piecze się chrzestny ojciec Izabeli? - rzekł Ludwik Nawarry.

- To prawda, pan Jakub był chrzestnym ojcem naszej siostry... - szepnął Karol.

- Ludwiku... zamilczcie - powiedział król.

Młody książę Karol, chcąc pokonać ogarniającą go niemoc, starał się myśleć o czymś pokrzepiającym. Począł marzyć o swojej żonie Blance, wyobrażał sobie czarujący uśmiech Blanki, zwinne ramiona Blanki, w których za chwilę postara się zapomnieć o przerażającym widowisku. Lecz wciąż nasuwało mu się nieszczęsne wspomnienie, którego nie mógł odsunąć, wspomnienie dwojga dzieci, które dała mu Blanka, zmarłych prawie natychmiast po urodzeniu. Widział znów nieruchome istotki w haftowanych pieluszkach. Czy los zgodzi się dać jemu i Blance inne dzieci i czy będą żyły?

Wstrząsnął nim ryk tłumu. Płomienie buchnęły ze stosu. Na rozkaz Alaina de Pareilles łucznicy zgasili w trawie pochodnie i noc rozświetlał już tylko stos.

Ogień dosięgnął najpierw prowincjała Normandii. Gdy płomień przebiegł po nim, cofnął się patetycznym ruchem i otworzył szeroko usta, jakby próżno usiłował schwytać uciekające powietrze. Ciało, mimo sznura, prawie wpół mu się zgięło; papierowa mitra spadła i spłonęła w jednej chwili. Objął go ogień. Następnie okryła fala dymu. Kiedy dym się rozproszył, Galfryd de Charnay stał w płomieniach, wyjąc i dysząc, starając się oderwać od słupa, który drżał u podstawy. Wielki mistrz pochylił twarz w stronę towarzysza i coś doń przemówił; ale teraz tłum huczał tak głośno, chcąc pokonać przerażenie, że można było usłyszeć tylko słowo „bracie” po dwakroć rzucone.

Pachołkowie kata biegali popychając się, czerpali z zapasu polana, długimi, żelaznymi hakami podsycali płomień.

Ludwik Nawarry, którego umysł pracował powoli, zapytał brata:

- Czy jesteś pewny, że widziałeś światła w wieży Nesle? Ja nic nie dostrzegam.

Przez chwilę wyglądał na stroskanego.

Enguerrand de Marigny przysłonił oczy dłonią, jakby pragnął uchronić się przed blaskiem ognia.

- Zaiste, pokazujecie nam piękny obraz piekła, panie de Nogaret - rzekł hrabia de Valois. - Czy już myślicie o waszym przyszłym życiu?

Wilhelm de Nogaret milczał.

Galfryd de Charnay stał się już tylko czerniejącym kształtem, który wydymał się, skwierczał, wolno przemieniał w popiół, stawał się popiołem.

Część kobiet pomdlała. Inne śpieszyły na brzeg rzeki i wymiotowały do wody prawie pod nosem króla. Tłum zmęczony własnym wrzaskiem uciszył się, ale już niebawem poczęto wołać, że stał się cud, bo wiatr uparcie dał w jednym kierunku, ścieląc pod nogi wielkiego mistrza płomienie, które się go nie imały. Jak mógł się tak długo opierać? Stos po jego stronie zdawał się nietknięty.

Później palenisko nagle się zapadło, a podsycone płomienie skoczyły tuż przed skazańcem.

- Stało się, on także! - wykrzyknął Ludwik Nawarry.

Szeroko rozwarte, zimne oczy Filipa Pięknego nie drgnęły nawet w owej chwili.

Nagle głos wielkiego mistrza przebił się przez ognistą zasłonę i, jakby skierowany do każdego z osobna, uderzał każdego w twarz.

Podobnie jak przed Notre-Dame, Jakub de Molay z przerażającą siłą krzyczał:

- Hańba! Hańba! Patrzcie, jak giną niewinni. Hańba na was wszystkich! Bóg was osądzi.

Płomień go chłostnął. Spalił brodę, zwęglił w jednej sekundzie papierową mitrę i objął białe włosy.

Przeżony tłum zamilkł. Miał wrażenie, że palą szalonego proroka.

Z twarzy w ogniu straszliwy głos wołał:

- Papieżu Klemensie!... Rycerzu Wilhelmie!... Królu Filipie!... zanim rok minie, powołuję was przed sąd Boży po sprawiedliwą karę. Przeklęci! Przeklęci! Wszyscy przeklęci po trzynaste pokolenie waszego rodu!

Płomienie wdarły się w usta wielkiego mistrza, zdusiły w nim ostatni krzyk. Później, przez czas, który zdawał się nie mieć końca, walczył ze śmiercią.

Wreszcie zgiął się wpół. Sznur pękł, a on zapadł się w palenisko. Widziano jego dłoń, wzniesioną wśród płomieni. Tak trwała, zanim szerniała doszczętnie.

Tłum tkwił w miejscu, zaskoczony i przerażony, głucho pomrukiwał. Zwalił się nań cały ciężar nocy i grozy; wstrząsał nim trzask dogorywających polan. Ciemności ogarniały dogasający stos.

Łucznicy chcieli odepchnąć ludzi, lecz nie byli oni skłonni odejść. Szeptali:

- To nie nas on przeklął, to króla, nieprawdaż, to papieża... Nogareta...

Spojrzenia skierowały się ku loggii. Król wciąż stał przy balustradzie. Patrzył na czarną rękę wielkiego mistrza sterczącą z czerwonego popiołu. Spalona ręka - oto co pozostało ze sławnego rycerskiego zakonu templariuszy. Ale ta ręka znieruchomiała w geście klątwy.

- I cóż, mój bracie? - zapytał ze złośliwym uśmiechem Dostojny Pan de Valois. - Myślę, że jesteście zadowoleni?

Filip Piękny odwrócił się.

- Nie, bracie - rzekł. - Wcale nie. Popełniłem błąd.
Valois nadał się, gotów zatriumfować.
- Naprawdę? Więc przyznajecie się do tego?
- Tak, bracie - odparł król. - Powinienem był przedtem kazać im wyrwać język.

Wyszedł, a w ślad za nim Nogaret, Marigny, Bouville. Zszedł ze schodów wieży i udał się do swoich apartamentów.

Teraz stos był szary, kilka ognistych gwiazdek jeszcze podskakiwało, ale i one rychło zgasły. Przykry swąd spalonego ciała napełniał loggię.

- To cuchnie - rzekł Ludwik Nawarry. - Naprawdę uważam, że to bardzo cuchnie, chodźmy stąd.

Młody książę Karol zastanawiał się, czy zdoła o tym zapomnieć nawet w ramionach Blanki.





IX

Rzezimieszki

Bracia d'Aunay wyszli z wieży Nesle i brodzili niezdecydowani w błocie, wpatrując się w ciemność.

Przewoźnik znikł.

- Tak i myślałem. Ten przewoźnik wcale mi się nie podobał. - rzekł Filip. - Trzeba się było mieć na baczności.

- Dałem mu za dużo pieniędzy. Łajdak uważał, że zarobił dniówkę, i poszedł przyglądać się kaźni.

- Byłoby dobrze, gdyby tylko o to szło.

- A ty myślisz, że o co chodziło?

- Nie wiem. Ten człowiek sam się zaofiarował nas przewieźć jęcząc, że nic nie zarobił przez cały dzień. Mówimy, żeby zaczekał, a on sobie idzie.

- A co mogłeś zrobić? Nie mieliśmy wyboru. On jeden tylko był.

- Właśnie - rzekł Filip - i coś za dużo pytał.

Nadstawił ucho śledząc, czy dosłyszysz szmer wioseł; lecz nic nie było słychać prócz plusku rzeki i dalekiego gwaru ludzi powracających do swych domów w Paryżu. Tam na Wyspie Żydowskiej, która od jutra miała przybrać nazwę Wysepki Templariuszy, wszystko zgasło. Swąd dymu mieszał się z mdłą wonią Sekwany.

- Nie pozostało nam nic innego, jak wracać piechotą - powiedział Gautier. - Zabłocimy pludry po uda. Ale niewielka to przykrość za dużą przyjemność.

Podali sobie ramiona, żeby się nie pośliznąć, i szli wzdłuż fosy Nesle.

- Zastanawiam się, od kogo je otrzymały - rzekł nagle Filip.

- Co otrzymały?

- Jałmużniczki.

- Jeszcze o tym rozmyślasz? - odparł Gautier. - Ja się o to wcale nie troszczę. Co mnie obchodzi, skąd pochodzi podarunek, jeżeli mi się podoba.

Jednocześnie gładził wiszącą u pasa jałmużniczkę i czuł pod palcami wypukłość cennych kamieni.

- Krewniaczka... Niepodobna, żeby to był ktoś z królewskiego dworu - podjął Filip. - Małgorzata i Blanka nie ryzykowałyby, żeby ktoś rozpoznał u nas trzosiki. Albo... albo udają, że je dostały, a w rzeczywistości zapłaciły za nie z własnej szkatuły.

Skłonny był teraz przypisywać Małgorzacie wszelkie subtelności.

- Co wolisz? - rzekł Gautier. - Wiedzieć czy mieć?

W tej chwili w pobliżu ktoś zagwizdał. Skoczyli i jednocześnie chwycili za sztylety. Spotkanie o podobnej godzinie, w tym miejscu, według wszelkich danych groziło niebezpieczeństwem.

- Kto idzie? - zawołał Gautier.

Znów usłyszeli gwizd i zabrakło im nawet czasu, by przyjąć obronną postawę.

Sześciu mężczyzn wyskoczyło z mroku i rzuciło się na nich. Trzech napastników atakując Filipa przyparło go do muru, chwyciło go jednocześnie za ręce, by nie mógł posłużyć się bronią. Trzej pozostali nie tak łatwo poradzi sobie z Gautierem. Powalił na ziemię jednego z napastników, a właściwie jeden z nich sam się rzucił na ziemię, by uniknąć ciosu sztyletem. Ale dwaj inni opasali Gautiera wykręcając mu nadgarstek, by zmusić do wypuszczenia sztyletu.

Filip uczuł, że napastnicy usiłują odebrać mu jałmużniczkę. Niepodobna wołać o pomoc. Odsiecz mogła nadbiec tylko z pałacu Nesle. Obaj bracia odruchowo milczeli. Trzeba albo wyswobodzić się własnym fortem, albo ulec. Wygięty do tyłu w łuk, opierając się o mur, Filip walczył zawzięcie. Nie mógł pozwolić na odebranie jałmużniczki. Rzecz ta stała się dlań najcenniejszą na świecie i był gotów na wszystko, byle ją zachować. Gautier był skłonniejszy do ustępstw. Niechaj ich okradną, lecz pozostawia przy życiu. Tylko czy je darują, czy obrabowawszy nie wrzucą ich trupów do Sekwany?

W tejże chwili nowy cień wyłonił się z ciemności. Jeden z napastników wrzasnął: „Uwaga, kamraty, uwaga!”

Nowy przybysz wmieszał się w bójkę. Zabłysło ostrze krótkiego miecza.

- Ach! Łotry! Wisielcy! Chłystki! - krzyczał potężnym głosem, rozdając ciosy na prawo i lewo.

Żłodzieje rozpięchli się jak muchy przed rozpędzonym wiatrakiem. Kiedy jeden z rzezimieszków przebiegał w zasięgu ręki, schwycił go za kołnierz i cisnął nim o mur. Cała banda uciekła o nic nie pytając, a tupot galopady ucichł wzdłuż fosy. Później zapanowała cisza.

Filip d'Aunay zwrócił się dysząc do brata:

- Ranny? - spytał.

- Nie - odrzekł również bez tchu Gautier pocierając ramię. - A ty?

- Też nie. Ale zaiste wyszliśmy cudem.

Razem zwrócili się do wybawcy, który powrócił do nich i chował miecz do pochwy. Był bardzo wysoki, barczysty, potężny. Ciężko sapał.

- Panie - zwrócił się do niego Gautier - winniśmy postawić za pana piękną świecę. Bez was niechybnie płynęlibyśmy brzuchem do góry. Komu jesteśmy winni...

Człowiek śmiał się donośnym, grubym, trochę wymuszonym śmiechem. Wiatr pędził chmury i pod tarczą księżycy rwał je w strzępy. Obaj bracia poznali hrabiego Roberta d'Artois.

- Ależ, na Boga, to wy, Dostojny Panie! - wykrzyknął Filip.

- A do diabła, kawalerowie - odparł mężczyzna - i ja was poznaję! Bracia d'Aunay! - wykrzyknął. - Najładniejsi chłopcy na dworze. Do licha, jeśli oczekiwałem... Przechodzę brzegiem i słyszę tam jakiś hałas. Mówię sobie: „Na pewno rabują jakiegoś spokojnego mieszczanina”. Co prawda Paryż zaśmiecony jest rzezimieszkami, a ten przewot Ployebouche... powinni nazwać go Ployecul* ... bardziej jest zajęty lizaniem pięt Marigny'emu niż

* Nieprzetłumaczalna gra słów: *Ployebouche* - kuli usta, *Ployecul* - kuli zadek

oczyszczaniem własnego miasta.

- Dostojny Panie - rzekł Filip - nie wiemy, jak was zapewnić o naszej wdzięczności.

- Głupstwo! - rzekł Robert d'Artois, waląc łapą po ramieniu Filipa, aż ten się zachwiał. - Cała przyjemność po mojej stronie. To zwykły odruch każdego rycerza spieszyć na ratunek napastowanemu. Lecz przyjemność jest podwójna, skoro chodzi o pomoc szlachetnym panom, a na dodatek dobrym znajomym, więc rad jestem, że ocalałem najlepszych giermków moim kuzynom Valois i Poitiers. Żałuję tylko, że tak ciemno. Ach! gdyby księżyc pokazał się wcześniej, chętnie bym rozpruł kilku z tych opryszków. Nie śmiałem kłuć na serio, bojąc się was przedziurawić. Ale powiedzcie mi, kawalerowie, za czym wędzycie w tym bagnistym zakątku?

- My... my przechadzaliśmy się - odparł zmieszany Filip d'Aunay.

Olbrzym wybuchnął śmiechem.

- Przechadzaliście się! Piękne miejsce i piękna godzina na przechadzkę! Przechadzaliście się w błocie po pośladki. Niezły dowcip! I chcę, żeby im uwierzyć! Ach! młodość! - mówił jowialnie, przygniatając ramię Filipa. - Wciąż w pogoni za miłością, a pluderki w ogniu! Dobrze to być w waszym wieku.

Nagle spostrzegł połyskujące jałmużniczki.

- Psiakrew! - zawołał. - Pludry w ogniu, ale pięknie przystrojone! Piękna ozdoba, moi kawalerowie, piękna ozdoba.

Ważył w rękę jałmużniczkę Gautiera.

- Zręczna robota... cenna tkanina. I błyszczą jak nowa. To nie żołąd giermka pozwala na zakup takich sakiewek. Rzezimieszki nieźle by się obłowiły.

Kręcił się, gestykulował, ryżawy w półmroku, olbrzymi, hałaśliwy, sprośny. Zaczął naprawdę grać na nerwach obu braciom. Lecz jak powiedzieć komuś, kto przed chwilą ocalił wam życie, żeby się nie mieszał do nie swoich spraw?

- Miłość popłaca, moi najmilsii - ciągnął wciąż chodząc między nimi. - Zaprawdę, wasze kochanki to damy bardzo wysokiego rodu i bardzo szczodre. Młodzi d'Aunayowie! I kto by w to uwierzył?

- Dostojny Pan się myli - rzekł dość chłodno Gautier. - Te sakiewki darowała nam rodzina.

- Właśnie, tego byłem pewny - mówił d'Artois. - Rodzina którą odwiedza się koło północy pod murami wieży Nesle! ...Dobrze, dobrze, zamilczmy. W imię czci waszych ślicznotek. Pochwalam was, moi najmilsii. Trzeba bronić czci dam, które się pieści. Niech was Bóg strzeże, kawalerowie. I nie wychodźcie w nocy z całą waszą biżuterią.

Wybuchnął śmiechem, zderzył obu braci serdecznie ich ściskając i pozostawił zaniepokojonych i podrażnionych, nie dając im nawet czasu raz jeszcze podziękować. Już szedł przez mostek przerzucony przez fosę, już oddalał się przez pola w kierunku Saint-Germain-des-Prés. Bracia d'Aunay wrócili do bramy Buci.

- Dobrze by zrobił nie rozgłaszając po całym dworze, gdzie nas zastał - rzekł Filip. - Myślisz, że potrafi przymknąć swój wielki pysk?

- Myślę, że tak - odparł Gautier. - To nieźle chłopisko. Już by nas tu nie

było bez jego wielkiego pyska, jak mówisz, i bez jego szerokich barów. Nie okazujemy niewdzięczności, przynajmniej nie tak od razu.

- Przede wszystkim mogliśmy zapytać, co on sam robił w tym zakątku.

- Szukał ladacznic, przysiągłbym na to! A teraz na pewno idzie do jakiegoś burdelu - rzekł Filip.

Mylił się. Robert d'Artois zboczył tylko przez Pré-aux-Clercs. Po chwili wrócił na brzeg w pobliżu wieży. Gwizdnął tym samym lekkim gwizdnięciem, które poprzedziło bijatykę.

Jak poprzednio, sześć cieni wyłoniło się z ciemności i jeszcze dołączył się siódmy, który wyszedł z barki. Ale tym razem cienie zachowały postawę pełną szacunku.

- Świetnie, dobrze wypełniście zadanie - powiedział d'Artois. - Wszystko poszło tak, jak chciałem. Łap Karl-Hans! - dodał wzywając przywódcę łotrzyków. - Podzielcie się.

Rzucił im sakiewkę.

- Wyście mnie potężnie uderzyli w ramię, Dostojny Panie - rzekł rzezimieszek.

- Ba! To zostało włączone do rachunku - odpowiedział ze śmiechem d'Artois. - Teraz wynoście się. Wezwę was, jeżeli kiedykolwiek będę was potrzebował.

Później wsiadł do barki zakotwiczonej przy zbiegu fosi z rzeką; pod jego ciężarem zanurzyła się głębiej w wodę. Ten sam człowiek, który przewiózł braci d'Aunay, ujął za wiosła.

- Czy rad jesteście, Dostojny Panie? - zapytał.

Już nie lamentował, wydawał się młodszy o dziesięć lat i nie szczędził sił.

- Najzupełniej, mój dzielny Lormet! Znakomicie się spisałeś - powiedział olbrzym. - Teraz już wiem, co chciałem wiedzieć.

Zwalił się na dno barki, wyciągnął potężne nogi, a wielką łapę zanurzył w czarnej wodzie.





CZĘŚĆ DRUGA

Wiarołomne księżniczki



I

Bank Tolomei

Messer Spinello Tolomei przybrał wyraz głębokiego namysłu, potem zniżył głos jakby w obawie, że ktoś podsłuchuje pod drzwiami, wreszcie rzekł:

- Dwa tysiące liwrów zadatku? Czy ta suma odpowiada Dostojnemu Panu?

Lewe oko miał zamknięte, a prawe błyszczało spokojnie i niewinnie.

Tolomei, choć od wielu lat mieszkał we Francji, nie mógł pozbyć się włoskiego akcentu. Był to tęgi mężczyzna o podwójnym podbródku i ciemnej cerze. Siwiejące, starannie przycięte włosy opadały mu na kołnierz szaty z cienkiego sukna bramowanej futrem i opiętej na sterzącym brzuchu. Mówiąc unosił w górę pulchne ręce o spiczastych palcach i delikatnie pocierał dłonie. Wrogowie jego twierdzili, że otwarte oko było okiem kłamstwa, a zamknięte okiem prawdy.

Ów bankier, jeden z najmożniejszych w Paryżu, miał maniery biskupa; a przynajmniej miał je w chwili, gdy rozmawiał z dostojnikiem kościelnym.

Był nim Jan de Marigny, szczupły, wytworny młody człowiek. On to poprzedniego dnia na trybunale biskupim przed portalem Notre-Dame wyróżniał się niedbałą pozą, a później tak gwałtownie uniósł się gniewem na wielkiego mistrza. Jako arcybiskup Sens, zwierzchnik paryskiej diecezji i brat Enguerranda de Marigny był doskonale wtajemniczony w poufne sprawy królestwa¹⁷.

- Dwa tysiące liwrów? - powtórzył arcybiskup.

Wymieniona przez bankiera cyfra sprawiła mu miłą niespodziankę, chcąc ją ukryć udawał, że zajęty jest wygładzaniem na kolanie fioletowej szaty z cennej tkaniny.

- Muszę przyznać, że ta suma nawet mi odpowiada - podjął obojętnym głosem. - Chciałbym, aby sprawy załatwione zostały jak najszybciej.

Bankier śledził go, jak tłusty kot śledzi pięknego ptaka.

- Ależ możemy załatwić je od ręki - odparł.

- Doskonale - powiedział młody arcybiskup. - A kiedy chcecie, aby wam dostarczono te...

Przerwał, gdyż wydało mu się, że słyszy szmer za drzwiami. Ale nie, wszędzie panował spokój. Tylko z ulicy Lombardów dochodził zwykły o porannej porze gwar: krzyki szlifierzy noży, sprzedawców wody, ziół, cebuli, rzeżuchy, twarogu i węgla drzewnego. „Mleko, kumy, mleko... mam dobry ser z Szampanii... Węgiel! Cały worek za denara...” Przez okno, na modłę sienneńską o trzech ostrołukach, padało łagodne światło na bogate obicia, dębowe kredensy, wielki, okuty żelazem kufer.

- Te... przedmioty? - rzekł Tolomei, kończąc zdanie wypowiedziane przez arcybiskupa. - Kiedy raczycie, Dostojny Panie, kiedy raczycie...

Otworzył kufer i wyjął dwa worki, które położył na pulpicie zapelnionym gęsiami piórami, pergaminem, tabliczkami i rylcami.

- Tysiąc w każdym - powiedział. - Proszę wziąć je już teraz, jeśli tego sobie życzycie. Przyszykowałem je dla was. Raczcie łaskawie, Monsignore, podpisać to pokwitowanie...

I podał Janowi de Marigny kartkę oraz gęsie pióro.

- Chętnie - rzekł arcybiskup biorąc pióro i nie zdejmując rękawiczki.

Już miał podpisać, gdy nagle zawahał się. Na pokwitowaniu wymienione były „przedmioty”, które miał przekazać bankierowi Tolomei, by ten pośredniczył w ich sprzedaży, a więc: sprzęt kościelny, monstrancje ze szczerego złota, drogocenne krzyże, rzadka broń - wszystkie pochodzące z dóbr ongiś zajętych w komandoriach templariuszy i przechowywanych w archidiecezji. Skarby te powinny były przejść po części na rzecz królewskiego skarbu, a po części na rzecz zakonu szpitalników. Młody arcybiskup, nie tracąc chwili czasu, dopuszczał się sprzeniewierzenia, pięknego oszustwa. Składać swój podpis pod tą listą, kiedy właśnie tej nocy wielkiego mistrza spalono na stosie...

- Wolałbym... - zaczął.

- Aby tych przedmiotów nie sprzedawano we Francji? - dokończył Tolomei. - To się samo przez się rozumie, Dostojny Panie. *Non sono pazzo*, jak mówią w mojej ojczyźnie, nie jestem szaleńcem.

- Chciałem powiedzieć... to pokwitowanie...

- Nikt prócz mnie nigdy go nie zobaczy. Leży to zarówno w moim, jak i waszym interesie. My, bankierzy, jesteśmy trochę podobni do księży, Monsignore. Wy spowiadacie dusze, a my spowiadamy trzosi i tak samo obowiązuje nas zachowanie tajemnicy. Nie szepnę ani słówka, choć wiem, iż te fundusze posłużą do wspomnienia waszego bezgranicznego miłosierdzia. Jedyne w wypadku, gdyby... uchowaj nas, Boże... jednemu z nas zdarzyło się nieszczęście...

Przeżegnał się i natychmiast ułożył pod stołem dwa palce lewej ręki w znak widel.

- Czy to nie będzie za ciężkie? - ciągnął wskazując na worki, jakby sprawa już nie wymagała dyskusji.

- Mam sługi na dole - odparł arcybiskup.

- Zatem... proszę tutaj - rzekł Tolomei, pokazując palcem miejsce na kartce, gdzie miał podpisać się arcybiskup.

Ten już nie mógł się wycofać. Dobierając sobie współników przestępstwa, trzeba im zaufać.

- Zresztą widzicie, Wasza wielbność - podjął bankier - że wcale nie

mogę oczekiwać, aby podobna suma przyniosła mi jakieś korzyści. Będę miał same trudności i nie osiągnę żadnego zysku. Lecz pragnę wam dopomóc, ponieważ jesteście człowiekiem możliwym, a przyjaźń ludzi możliwych jest cenniejsza niż złoto.

Wypowiadał te zdania tonem dobrodusznym, ale lewe oko miał wciąż zamknięte.

„Ostatecznie ten człowiek mówi prawdę” - pomyślał Jan de Marigny. I podpisał pokwitowanie.

- Przy sposobności, Monsignore - rzekł Tolomei - czy nie wiecie przypadkiem, jak król... niech Bóg ma go w swej pieczy... przyjął psy gończe, które mu wczoraj posłałem?

- Ach! tak? To od was otrzymał tego wielkiego charta, którego nazwał Lombardem i który nie odstępował go na krok?

- Nazwał go Lombardem? Rad jestem o tym wiedzieć. Król, nasz Pan, posiada wiele dowcipu - mówił śmiejąc się Tolomei. - Wyobraźcie sobie, Dostojny Panie, że wczoraj rano...

Zamierzał opowiedzieć całą historyjkę, gdy ktoś zapukał do drzwi. Pojawił się urzędnik oznajmiając, że hrabia Robert d'Artois prosi o przyjęcie.

- Dobrze. Zaraz go przyjmę - odparł Tolomei odprawiając gestem urzędnika.

Jan de Marigny spochmurniał.

- Wolałbym... nie spotkać go - rzekł.

- Zapewne, zapewne - odpowiedział łagodnie bankier. - Dostojny Pan d'Artois to wielki gaduła.

Potrząsnął dzwoneczkiem. Natychmiast uchyliła się zasłona i do pokoju wszedł młodzieniec w bogato szamerowanym, wciętym kaftanie. Był to ten sam chłopiec, który poprzedniego dnia o mało nie przewrócił króla Francji.

- Mój siostrzeńce - rzekł do niego bankier - odprowadź Jego Wielbność omijając galerię i uważaj, byście nikogo nie spotkali po drodze. I wynieś to aż na ulicę - dorzucił wręczając mu dwa worki złota. - Do zobaczenia, Monsignore.

Messer Spinello Tolomei pochylił się bardzo nisko, aby ucałować ametyst na palcu arcybiskupa. Później uniósł zasłonę.

Kiedy Jan de Marigny już wyszedł, sieneńczyk powrócił do stołu, wziął kwit i starannie go złożył.

- *Coglione!* - szepnął. - *Vanesio, ladro, ma soprattutto coglione**.

Jego lewe oko otwarło się na chwilę. Schowawszy dokument do kufra i on z kolei opuścił pokój, udając się na przyjęcie nowego gościa.

Zszedł na parter i minął wielką, oświetloną przez sześć okien galerię, gdzie stały jego kontuary; bowiem Tolomei był nie tylko bankierem, lecz także importował i sprzedawał rzadkie towary, od korzeni i kordobańskich skór począwszy po sukna z Flandrii, tkane złotem dywany z Cypru i wonne olejki z Arabii.

Dziesięciu subiektów obsługiwało klientów, którzy bez przerwy wchodzili i wychodzili; rachmistrze dokonywali obliczeń posługując się

* Głupiec... pyszałek... łotr, lecz zwłaszcza głupiec.

specjalnymi szachownicami z przegródkami, gdzie piętrzyły się miedziane żetony. Cała galeria rozbrzmiewała głuchym szmerem handlu.

Idąc szybko dalej, gruby sienneńczyk tu pozdrowił kogoś po drodze, tam poprawił cyfrę, zburczał pracownika lub wycudzonym przez zęby *niente* kazał odmówić kredytu.

Robert d'Artois stał pochylony nad kontuarem i ważył w dłoni ciężki damasceński sztylet.

Kiedy bankier położył mu dłoń na ramieniu, olbrzym nagle odwrócił się i przybrał swoją ulubioną minę na poły gburowatą, na poły dobroduszną.

- Więc, Dostojny Panie - rzekł doń Tolomei - jestem wam potrzebny?

- Ta...ak - odparł olbrzym. - Mam do was dwie prośby.

- Pierwsza, jak sobie wyobrażam, to pieniądze?

- Pst! - syknął d'Artois. - Czy każdy musi wiedzieć, że wypruwacie ze mnie flaki i że jestem wam winien majątek? Chodźmy do was pogadać.

Wyszli z galerii. Już w swoim gabinecie na pierwszym piętrze i przy zamkniętych drzwiach Tolomei powiedział:

- Dostojny Panie, jeśli chodzi o nową pożyczkę, obawiam się, że to nie jest możliwe.

- Dlaczego?

- Drogi szlachetny Panie Robercie - odparł rozważnie Tolomei - kiedy wytoczyliście proces waszej stryjnie Mahaut o dziedzictwo hrabstwa Artois, to ja opłaciłem koszty. Wyście przegrali ten proces.

- Ależ przegrałem go wskutek podłości. Sami to wiecie - wykrzyknął d'Artois. - Przegrałem wskutek intryg tej suki, Mahaut... oby zdechła! ...Dano jej Artois, żeby przez jej córkę powróciło do korony Franche-Comté. Łajdacki targ. Przy sprawiedliwym sądzie byłbym już dawno parem królestwa i najbogatszym baronem Francji. I będę nim, słyszycie mnie, Tolomei, będę nim!

I walił olbrzymim kułakiem w stół.

- Życzę wam tego - rzekł Tolomei nie tracąc nad sobą panowania. - Ale na razie przegraliście proces.

Zaniechał kościelnych manier i był znacznie bardziej poufały z Artois niż z arcybiskupem.

- W każdym razie otrzymałem kasztelanię Conches i obietnicę hrabstwa Beaumont-le-Roger z pięciu tysiącami liwrów dochodu - odparł olbrzym.

- Ale wasze hrabstwo nie jest jeszcze ukonstytuowane i nic mi jeszcze nie zwróciliście. Wprost przeciwnie.

- Nie mogę uzyskać wypłaty moich należności. Skarb zalega mi z wypłatami za dobrych kilka lat...

- ...z których sporą część już u mnie zastawiliście. Trzeba wam było pieniędzy na pokrycie dachu w Conches i na stajnię...

- Spaliły się - przerwał Robert.

- Dobrze. A potem potrzeba wam było pieniędzy na opłacenie waszych stronników w Artois...

- A cóż bym bez nich robił? Właśnie dzięki tym wiernym kompanom z Fiennes, Souastre, Caumont i innym wygram pewnego dnia moją sprawę z bronią w rękę, jeśli będzie trzeba... A teraz powiedzcie mi, messer bankierze...

Olbrzym zmienił ton, jakby miał dość zabawy w besztanego żaka. Chwycił kciukiem i wskazującym palcem za suknię bankiera i zaczął go wolniutko podnosić.

- Powiedzcie no... Opłaciliście mój proces, koszta stajni, moich stronników, zgoda. Ale czy dzięki mnie nie zrobiliście kilku dobrych interesików? A kto wam powiedział przed siedmiu laty, że templariusze będą wyłapani jak króliki w norze? Kto wam doradził zaciągnąć u nich pożyczki, których nigdy nie trzeba będzie zwracać? Kto was uprzedził o podleniu pieniądza, co wam pozwoliło wpakować całe złoto w towary i sprzedać je z jedną trzecią zysku? He! Kto?

Finanse mają odwieczne tradycje i zawsze wielki bank ma własnych informatorów przy rządzie. Głównym informatorem messer Spinella Tolomei był hrabia Robert d'Artois, ponieważ był on przyjacielem i współbiesiadnikiem królewskiego brata, Dostojnego Pana Karola de Valois, który był członkiem ścisłej Rady i wszystko mu opowiadał.

Tolomei wyswobodził się, wygładził fałdę swej szaty, uśmiechnął się i mówił z wciąż opuszczoną lewą powieką:

- Przyznaję, Dostojny Panie, przyznaję. Kilkakroć informowaliście mnie z korzyścią dla mnie, ale niestety...

- Co niestety?

- Niestety! Zyski, które dzięki wam mogłem osiągnąć, dalekie są od pokrycia sum, które wam wyłożyłem.

- Naprawdę?

- To prawda, Dostojny Panie - z najniewinniejszą w świecie i głęboko zrozpaczoną miną mówił Tolomei.

Kłamał. Był pewny, że może to zrobić bezkarnie, bo choć Robert d'Artois umiał zręcznie snuć intrygi, słabo orientował się w pieniężnych rozrachunkach.

- Ach! - rzekł ten ostatni rozczarowany.

Podrapał się w brodę. Pokręcił podbródkiem z prawa na lewo.

- W każdym razie templariusze... Chyba byliście radzi dziś rano? - zapytał.

- Tak i nie, Dostojny Panie, tak i nie. Już od dawna nie przeszkadzali nam w handlu. A teraz za kogo się wezmą?... Mówią, że za nas, za Lombardów... Zawód handlarza złotem to niełatwa sprawa. A jednak bez nas nie można byłoby nic zdziałać... Przy okazji - dorzucił Tolomei - czy Dostojny Pan de Valois nie mówił wam, że ma nastąpić zmiana kursu paryskiego liwra, jak mnie zapewniano?

- Nie, nie, nic takiego... Ale tym razem - mówił d'Artois, idąc w ślad za własną myślą - mam w garści Mahaut. Mam Mahaut, ponieważ mam w garści jej córki i kuzynkę. Ukręcę im szyję... trach... jak tym utrapionym łasiczkom.

Nienawiść zaostrzyła mu rysy, czyniąc jego twarz niemal piękną. Znów przysunął się do Tolomeia. Ów pomyślał: „Ten człowiek dla zemsty jest gotów na wszystko... W każdym razie jestem zdecydowany pożyczyć mu jeszcze pięćset liwrów”. Następnie rzekł:

- O co chodzi?

Robert d'Artois zniżył głos. Oczy mu błyszczały:

- Kurewki mają kochanków. Dziś w nocy dowiedziałem się, kim oni są. Ale cicho! Nie chcę spłoszyć licha... jeszcze nie...

Sieneńczyk rozważał. Mówiono mu już o tym, ale nie wierzył.

- I na co wam się to może przydać? - zapytał.

- Przydać mnie? - wykrzyknął d'Artois. - Ależ bankierze, czy wyobrażacie sobie hańbę? Przyszła królowa Francji i jej szwagierki przydybane jak zwykle ładacznicze ze swoimi gachami... Niebywały skandal! Obie burgundzkie rodziny ubabrane w łajnie po pysk. Mahaut traci cały kredyt na dworze, śluby małżeńskie rozwiązane, zaprzepaszczone dziedzictwa korony. Wtedy żądam wznowienia procesu. I wygrywam.

Chodził tam i z powrotem, a pod jego krokiem trzęsła się podłoga, dygotały meble i sprzęty.

- I to wy - zapytał Tolomei - ujawnicie tę hańbę, wy pójdziecie do króla?

- Ależ nie, messer, nie ja. Kto by mnie tam wysłuchał? Ktoś inny robi to o wiele lepiej... Lecz nie ma go we Francji... Właśnie to jest druga sprawa, którą mam z wami omówić. Potrzeba mi człowieka pewnego i nie wyróżniającego się w tłumie, żeby pojechał do Anglii i zawiózł list.

- Do kogo, Dostojny Panie?

- Do królowej Izabeli.

- Aa!... Ba!... - wyszeptał bankier.

Zapadła cisza, przerywana tylko odgłosem ulicy.

- W istocie, nie wygląda na to, by królowa Izabela bardzo kochała swoje bratowe we Francji - rzekł wreszcie Tolomei, któremu nie trzeba było wiele, żeby zrozumieć, jak d'Artois uknuł spisek. - Jesteście, zdaje się, wielkim jej przyjacielem i byliście tam przed niewielu dniami.

- Wróciłem w przeszłym tygodniu i dość szybko uporałem się z robotą.

- Ale dlaczego nie wyślecie do pani Izabeli waszego człowieka albo gońca Dostojnego Pana de Valois?

- W tym kraju, gdzie każdy ma oko na każdego, moi ludzie są znani, a także ludzie Dostojnego Pana de Valois. Zaraz by spartaczyli moją robotę. Myślałem o kupcu, zaufany kupiec lepiej by mi odpowiadał. Nie brak wam ludzi, którzy podróżują w waszych interesach... Zresztą w liście nie będzie nic, co by mu mogło zaszkodzić.

Tolomei popatrzył w oczy olbrzyma, pomyślał chwilę, wreszcie potrząsnął dzwoneczkiem z brązu.

- Postaram się jeszcze raz oddać wam przysługę - powiedział.

Uchyliła się zasłona i pojawił się ten sam młody człowiek, który wprowadzał arcybiskupa. Bankier go przedstawił.

- Guccio Baglioni, mój siostrzan, świeżo przybyły ze Sieny. Nie sądzę, aby go już zdążyli poznać prewotowie i sierżanci naszego przyjaciela Marigny'ego... Chociaż wczoraj rano - dorzucił Tolomei półgłosem, patrząc na młodzieńca z udaną surowością - wyróżnił się pięknym wyczynem wobec króla Francji... Jak się wam podoba?

Robert d'Artois szacował Guccia.

- Ładny chłopak - rzekł ze śmiechem - dobrze zbudowany, łydka sucha, talia cienka, oczy trubadura. Czy to jego wyślecie, panie Tolomei?

- To moje drugie ja - rzekł bankier - ...tylko młodsze i chudsze. Wyobraźcie sobie, byłem taki jak on, ale już tylko ja jeden to pamiętam.

- Jeśli król Edward go zobaczy, szelma jak wiadomo, ryzykujecie, że ten młokos nigdy już do was nie powróci.

Mówiąc to wybuchnął gromkim śmiechem, do którego przyłączyli się wuj i siostrzeniec.

- Guccio - rzekł Tolomei - poznasz Anglię. Wyjedziesz jutro rano o świcie; udasz się do Londynu, do naszego kuzyna Albizzi...

- Albizzi, znam to nazwisko - przerwał d'Artois. - Ach! Ależ tak, to dostawca królowej Izabeli...

- Widzicie więc, Szlachetny Panie... Udasz się do Albizziego i tam z jego pomocą dotrzesz do Westmoutiers, aby doręczyć królowej, ale tylko jej osobiście, list, który Dostojny Pan napisze. Za chwilę wyjaśnię dokładniej, co masz robić.

- Wolałbym podyktować - rzekł d'Artois - lepiej władam oszczepem niż waszym diabelskim gęsim piórem.

Tolomei pomyślał: „Chłopisko na dodatek nieufne. Nie chce pozostawić śladów”.

- Jak wolicie, Dostojny Panie. Słucham was.

I sam napisał pod dyktando następujący list:

Miłościwa Pani!

Sprawy, któreśmy odgadli, zostały sprawdzone i są jeszcze bardziej haniebne, niż można było sądzić. Znam osoby i tak je sprawnie wykryłem, że o ile się pośpieszymy, nie zdołają nam umknąć. Lecz tylko Wy sama jesteście dostatecznie władna wypełnić to, na co liczymy, i Waszym przyjazdem położyć kres bezceństwu, które wielce plami honor Waszych krewniaków. Pragnę nade wszystko służyć Wam ciałem i duszą.

- A podpis, Dostojny Panie? - spytał Tolomei.

- Oto on - odparł d'Artois wyjmując z trzosu ogromny srebrny pierścień, który podał młodemu człowiekowi.

Na kciuku miał taki sam, ale złoty.

- Oddasz to Pani Izabeli, będzie wiedziała... Ale czy jesteś pewien, trubadurze, że zaraz po przyjeździe uzyskasz audiencję...

- Ba! Dostojny Panie - rzekł Tolomei - nie jesteśmy tak źle uplasowani przy dworze angielskim. Kiedy w ubiegłym roku król Edward wraz z Panią Izabelą przybył do Francji, pożyczył on w naszych kompaniach dwadzieścia tysięcy liwrów, na które wszyscy złożyliśmy się, a których nam jeszcze nie zwrócił.

- On też? - zawołał d'Artois. - Przy sposobności, bankierze, a ta... pierwsza rzecz, o którą was prosiłem?

- Ach! Nigdy nie mogę wam się oprzeć, Szlachetny Panie - westchnął Tolomei.

Podszedł do kufra, wyjął worek, oddał go d'Artois i dorzucił:

- Pięćset liwrów. Wszystko, co mogę. Zaznaczymy to na waszym koncie, ale wraz z kosztami podróży waszego posłańca.

- Ach! bankierze, bankierze! - wykrzyknął d'Artois z radosnym uśmiechem, który rozjaśnił mu twarz. - Tyś prawdziwy przyjaciel! Kiedy odzyskam ojcowskie hrabstwo, zrobię cię moim skarbnikiem.

- Liczę na to, Dostojny Panie - powiedział tamten z ukłonem.

- A jeżeli nie, zabiorę ciebie ze sobą do piekła, żebyś mnie wkupił w łaski diabła.

I olbrzym wyszedł, ledwie mieszcząc się w drzwiach i podrzucając jak piłkę na dłoni worek złota.

- Znowu daliście mu pieniądze, wuju? - zapytał Guccio kręcąc z niezadowolaniem głową. - A przecież mówiliście...

- *Guccio mio, Guccio mio* - odpowiedział łagodnie bankier (teraz miał szeroko otwarte i lewe oko) - zapamiętaj to na zawsze: tajemnice wielkich tego świata to procent od pieniędzy, które im pożyczamy. Dziś rano Wielebny Jan de Marigny i Dostojny Pan d'Artois wręczyli mi listy kredytowe warte więcej niż złoto, a my potrafimy je sprzedać w swoim czasie. Co zaś do złota... odzyskamy je po trosze.

Zamyślił się chwilę i podjął:

- Powracając z Anglii zbczysz z drogi i wstąpisz do Neauphle-le-Vieux.

- Dobrze, wuju - odparł bez entuzjazmu Guccio.

- Nasz tamtejszy przedstawiciel nie może odzyskać wiarygodności, którą mamy na kasztelanii Cressay. Ojciec umarł. Spadkobiercy odmawiają spłaty. Zdaje się, że nic nie mają.

- A cóż można zrobić, jeśli nic nie mają?

- Ba! Mają mury, mają ziemię, może mają krewnych. Niech pożyczą gdzie indziej, żeby nam oddać. Jeżeli nie mogą, zobaczysz się z prewotem w Montfort, każesz zająć, każesz sprzedać. Ja wiem, to twarde postępowanie, ale bankier musi nauczyć się być twardym. Nie ma litości dla małych klientów, inaczej nie moglibyśmy obsłużyć wielkich. O czym myślisz, *figlio mio*?

- O Anglii, wuju - odparł Guccio.

Powrót przez Neauphle wydał mu się pańszczyzną, ale przyjął ją bez niechęci. Cała jego ciekawość, wszystkie młodzieńcze myśli skierowały się już do Londynu. Po raz pierwszy przepłynię morze...

Stanowczo, życie lombardzkiego kupca jest przyjemne i niesie cudowne niespodzianki. Jeździć, przebiegać drogi, zawozić księżtom tajne pisma...

Stary człowiek spoglądał na swego siostrzeńca z głęboką czułością. Guccio był jedynym umiłowaniem tego chytrego i steranego serca.

- Odbędziesz piękną podróż, i naprawdę ci zazdroszczę - mówił. - Mało ludzi w twoim wieku ma sposobność zwiedzić tyle krajów. Ucz się, węż, wścibiaj nos wszędzie, patrz na wszystko, zachęcaj innych do mówienia, ale sam mów mało. Strzeż się tego, kto stawia ci kufel. Nie dawaj dziewczętom więcej pieniędzy, niż są tego warte, i pamiętaj, aby zdejmować czapkę przed procesją... A jeśli spotkasz na drodze króla, tak się zachowuj, żeby tym razem nie kosztowało mnie to konia albo słonia.

- Czy to prawda, wuju - spytał Guccio z uśmiechem - że Pani Izabela jest tak piękna, jak powiadają?



* mój synu



II

Droga do Londynu

Niektórzy ludzie marzą wciąż o podróżach i przygodach tylko po to, by w oczach cudzych, a zwłaszcza swoich, uchodzić za bohaterów. Potem, gdy znajdą się w wirze wypadków i zjawia się niebezpieczeństwo, zaczynają żałować: „Co za głupstwo zrobiłem, że też musiałem koniecznie się w to pakować”. Tak właśnie było w przypadku Guccia Baglioni. Niczego bardziej nie pragnął, jak poznać morze. A teraz, płynąc, dużo by dał, żeby się znaleźć gdzie indziej.

Nastał czas szczególnie burzliwych przyływów i odpływów morza w okresie zrównania dnia z nocą i tego dnia nieliczne tylko statki podnosiły kotwicę. Guccio Baglioni ze sztyletem u boku i płaszczem zarzuconym na ramiona kroczył jak fanfaron po nabrzeżach Calais, aż wreszcie znalazł właściciela statku, który zgodził się zabrać go na pokład. Wyruszyli wieczorem, ale niemal zaraz po wyjściu z portu rozpętała się burza. Guccio zamknęto w małym schowku pod pokładem koło głównego masztu, „w tym miejscu najmniej kołysze” - rzekł szyper. Leżąc na desce, która miała mu służyć za posłanie, Guccio spędzał najgorszą noc w życiu.

Fale waliły w statek jak rogi rozwścieczonego tryka i Guccio czuł, że wszystko kołysze się wokół. Spadł z deski na podłogę i długo szamotał się w zupełnych ciemnościach, uderzając to o drewniane kanty, to o zwoje lin stwardniałych od wody. Zdawało mu się, że kadłub zaraz się rozleci. W przerwie między dwoma nawrotami burzy słyszał, jak klaszczą żagle, a zwały wody przelewają się przez pokład. Rozważał, czy nie zmiotło załogi, czy przypadkiem sam jeden nie pozostał na opuszczonym statku, którym fala miotała w górę ku niebu, to znów rzucała w przepaść.

Na pewno umrę - mówił do siebie Guccio. - Głupio umierać w taki sposób, w moim wieku. Pochłonie mnie morze. Już nigdy nie zobaczę Paryża ani Sieny, ani mojej rodziny, już nigdy nie zobaczę słońca. Gdybym choć zaczekał dzień lub dwa w Calais. Co za głupota! Ale jeżeli z tego wyjdę, na Madonnę, zostaję w Londynie, będę ładował drzewo, będę się łajdaczył, wszystko jedno, co będę robił, ale nigdy moja noga nie postanie na statku.

Wreszcie, klęcząc w ciemnościach, objął ramionami pal wielkiego masztu i tak uczepony, drżący, z chorym żołądkiem, w przemoczonej odzieży, oczekiwał własnej śmierci i obiecywał wota kościołom Santa Maria delle Nevi, Santa Maria della Scala, Santa Maria del Servi, Santa Maria del Carmine, słowem, wszystkim kościołom, jakie znał w Sienie.

O świcie burza uciszyła się. Do cna wyczerpany Guccio rozglądał się dokoła: skrzynie, żagle, płachty, kotwice i liny piętrzyły się w przerażającym nieładzie; na dnie statku, pod szparą w podłodze, chlupotała kałuża wody.

Kłapa w pomoście otworzyła się i ktoś szorstko krzyknął:

- Hola! Signor! Spaliście?

- Spałem? - odparł Guccio głosem pełnym urazy. - Równie dobrze mogłem umrzeć.

Rzucono mu sznurowaną drabinę i z pomocą majtków wylaźł na pokład. Owiał go chłodny wiatr i Guccio zadrżał w przemoczonym ubraniu.

- Nie mogliście mnie uprzedzić, że będzie burza - powiedział Guccio do właściciela statku.

- Ba! Szlachetny panie, to prawda, że mieliśmy przykrą noc. Ale wam się podobno śpieszyło... A dla nas, wiecie, to zwykła rzecz - odparł szyper. - Teraz jesteście blisko brzegu.

Był to stary, barczysty mężczyzna o szpakowatym zaroście. Patrzył kpiąco na Guccia.

Wyciągnął rękę ku bielejącej linii, która wyłaniała się z mgły, i dodał:

- Widać już Dover.

Guccio westchnął i otulił się płaszczem.

- Kiedy tam przybędziemy?

Tamten odparł wzruszając ramionami:

- Za dwie lub trzy godziny najdalej, wiatr dmie od wschodu.

Na pokładzie leżało trzech majtków powalonych zmęczeniem. Czwartym, uczepionym drążka steru, gryźł kawał solonego mięsa i nie spuszczał wzroku z dziobu statku i wybrzeża Anglii.

Guccio usiadł koło starego marynarza pod osłoną małego przepierzenia z desek, które chroniło go od wiatru, i mimo światła, zimna i wzburzonego morza zapadł w sen.

Kiedy się zbudził, miał już przed oczami czworoboczny dok portu Dover, rzędy niskich domków o nie ociosanych ścianach i dachach obciążonych kamieniami. Na prawo od przejścia odcinał się od tła, strzeżony przez uzbrojonych ludzi, dom szeryfa. Nadbrzeże wypełnione towarami, zwalonymi pod osłoną daszków, roiło się od hałaśliwego tłumu. Bryza niosła zapach ryby, smoły i gnijącego drzewa. Rybacy krążyli, wlokąc sieci i niosąc na ramionach ciężkie wiosła. Dzieci ciągnęły większe od siebie worki.

Statek ze zwiniętymi żaglami wszedł do doku.

Młodzi szybko odzyskują i siły, i złudzenia. Przewyciężone niebezpieczeństwa wzmagają ich zaufanie do siebie i pchają do nowych czynów. Wystarczyły Gucciovemu dwie godziny snu, aby zapomnieć o nocnych lękach. Był skłonny przypisywać sobie zasługę powściągnięcia ataków burzy; widział w tym znak swojej dobrej gwiazdy. Stojąc na pomoście w pozie zdobywcy, z dłonią zaciśniętą na linie, spoglądał z namiętną ciekawością, jak zbliża się ku niemu królestwo Izabeli.

List Roberta d'Artois, zaszyty w odzież, i srebrny pierścień, schowany w trzosiku, zdały mu się zaliczką na wielką przyszłość. Spoufali się z władzą, pozna królów i królowe, a także treść najtajniejszych traktatów. W upojeniu wyprzedzał czas. Już widział siebie świetnym ambasadorem, powiernikiem, którego rad słuchają możni tego świata, przed którym kłonią się dostojnicy. Będzie uczestniczył w obradach książąt... Czyż nie miał przed oczami przykładu swych rodaków, Biccio i Musciato Guardich,

dwóch słynnych finansistów toskańskich, których Francuzi nazywali *Biche* i *Mouche*?* i którzy przez ponad dziesięć lat byli skarbnikami, posłami, zausznikami surowego Filipa Pięknego? Zdziała więcej niż oni i oto pewnego dnia ludzie opowiadać będą historię sławnego Guccia Baglioni, który rozpoczął życie omal nie przewracając na rogu ulicy króla Francji... Gwar portu dotarł do niego jak okrzyk uznania.

Stary marynarz przerzucił deskę między statkiem a nadbrzeżem. Guccio zapłacił za przejazd i opuścił morze, schodząc na stały ląd. Nie przewożąc towarów nie musiał przechodzić przez „tratę”, to znaczy komorę celną. Poprosił pierwszego spotkanego chłopaka, aby go zaprowadził do miejscowego Lombarda.

W tej epoce bankierzy i kupcy włoscy posiadali własną organizację pocztową i frachtową. Stowarzyszeni w „kompaniach”, które nosiły nazwę ich założyciela, posiadali kantory we wszystkich ważniejszych miastach i portach. Kantory te były jednocześnie filią banku, biurem prywatnej poczty i agencją podróży.

Lombard z Dover należał do kompanii Albizzich. Był uszczęśliwiony, mogąc gościć siostrzeńca szefa kompanii Tolomei, i podejmował go, jak mógł najlepiej. Guccio umył się u niego; wysuszono mu i odprasowano odzież; zmienił złoto francuskie na złoto angielskie, a podczas gdy siedłano mu konia, zjadł solidny posiłek.

Jedząc Guccio opisał burzę, z której powodu tyle przecierpiał, uwypuklając przy tym swą dzielną postawę.

Znajdował się tam człowiek imieniem Boccaccio albo Boccace, przybyły dnia poprzedniego, a podróżujący na rachunek kompanii Bardich. On również przyjechał z Paryża, a przed odjazdem asystował przy kaźni Jakuba de Molay. Słyszał na własne uszy przekleństwo i opisując tę tragedię posługiwał się wyrafinowaną i makabryczną ironią, która zachwyciła włoskich biesiadników. Był to mężczyzna około trzydziestki, o żywej inteligentnej twarzy, wąskich wargach i spojrzeniu, które zdawało się wszystkim bawić. Ponieważ on także jechał do Londynu, obaj z Gucciem postanowili wspólnie odbyć drogę.

Wyruszyli w południe.

Pamiętając rady wuja, Guccio zachęcał towarzysza do opowiadań, a ten niczego więcej nie pragnął. Signor Boccaccio, jak się wydaje, widział bardzo dużo. Bywał wszędzie, a więc: na Sycylii, w Wenecji, w Hiszpanii, w Niemczech, a nawet na Wschodzie. Wymigał się zrecznie z wielu przygód. Znał obyczaje panujące w tych krajach, miał własne zdanie na temat porównawczej wartości religii, nie szanował mnichów i nienawidził Inkwizycji. Wyglądał na człowieka interesującego się również kobietami; pozwalał się domyślać, że miał z nimi dużo do czynienia i o wielu, zarówno sławnych, jak i całkiem nieznanym, znał mnóstwo ciekawych dykteryjek. Mało co sobie robił z ich cnoty, malował ich portrety nie szczędząc pieprznych słówek, co wprawiało Guccia w zamyślenie. Ten signor Boccaccio ma umysł naprawdę pozbawiony przesądów i całkiem ponad

* Nieprzetłumaczalna gra słów: włoskie *Biccio* - franc. *Biche* - łania, włoskie *Musciato* - franc. *Mouche* - mucha.

przeciętną miarę.

- Gdybym miał czas, chciałbym to wszystko opisać - rzekł do Guccia - cały ten plon historyjek i wniosków, które zebrałem w ciągu moich podróży.

- Czemu nie mielibyście tego zrobić, signor - odparł Guccio.

Tamten westchnął, jakby wyznając niemożliwe do urzeczywistnienia marzenia.

- Za późno. Nikt nie zabiera się do pisania w moim wieku - rzekł. - Jeżeli człowiek obrał sobie za zawód zdobycie złota, po trzydziestu latach nie może już robić nic innego. A zresztą, gdybym opisał to wszystko, co wiem, ryzykowałbym, że spalą mnie na stosie.

Guccio był zachwycony jadąc strzemię w strzemię z tak pełnym uroku towarzyszem przez piękne zielone wsie. Wdychał z przyjemnością wiosenne powietrze; podkowy koni wydzwaniały w jego uszach radosną melodię i nabierał o sobie tak dobrego mniemania, jakby uczestniczył we wszystkich przygodach nowego znajomego.

Wieczorem zatrzymali się w oberży. Przystanki w podróży sprzyjają zwierzeniom. Pijąc przed ogniem kufle godalu, mocnego angielskiego piwa zaprawionego jałowcem, hiszpańskim pieprzem i goździkami, signor Boccaccio wyznał Gucciowi, że miał kochankę Francuzkę, która w ubiegłym roku urodziła mu syna, ochrzczonego imieniem Giovanni.

- Podobno nieślubne dzieci są żywsze i silniejsze niż urodzone w małżeństwie - wypowiedział sentencjonalnie Guccio, mając zawsze w zanadrzu kilka banałów, aby podsycić rozmowę.

- Zapewne Bóg obdarza je zaletami umysłu i ciała, aby wyrównać to, co im zabiera z dziedzictwa i szacunku - odparł signor Boccaccio.

- Wasz syn w każdym razie ma ojca, który będzie go mógł wiele nauczyć.

- O ile nie będzie miał za złe ojcu, że spłodził go w przykrych dlań warunkach - rzekł podróżnik Bardich.

Przenocowali we wspólnym pokoju, a wczesnym rankiem ruszyli w dalszą drogę. Strzępy mgły lgnęły jeszcze do ziemi. Signor Boccaccio milczał; nie był rannym ptaszkiem.

Powietrze było rześkie i niebo wkrótce rozjaśniło się. Guccio odkrywał kraj o porywającym uroku. Drzewa były jeszcze nagie, ale powietrze pachniało wzbierającymi sokami, a ziemia zieleniła się świeżą i delikatną trawą. Niezliczone żywopłoty przecinały pola i wzgórza. Pagórkowaty krajobraz obrębiony lasem, raz zielony, raz niebieski odbłask Tamizy dostrzeganej ze szczytu wzniesienia, sfory psów mknących przez łąki i pędzący za nimi jeźdźcy, wszystko to oczarowało Guccia. „Królowa Izabela ma piękne królestwo”, mówił sobie.

W miarę przebytych mil, królowa zajmowała coraz więcej miejsca w jego myślach. Dlaczego pełniąc swą misję nie miałby postarać się jej spodobać? Historia książąt i królestw podaje rzeczy jeszcze bardziej zadziwiające. „Chociaż jest królową, to przecież jest kobietą, ma dwadzieścia dwa lata, a mąż jej nie kocha. Angielscy panowie na pewno nie śmiają się do niej zalecać z obawy, aby nie narazić się królowi. A oto przybywam ja, tajny posłaniec, w czasie podróży okiełznałem burzę...

Przykłąkam, z rozmachem zamiataam podłogę kapeluszem, całuję kraj jej sukni...”

Już cyzelował słowa, w których odda swe serce w służbę młodej jasnowłosej władczyni... „Pani, nie posiadam herbu, ale jestem wolnym obywatelem Sieny i wart jestem tyleż, co niejeden szlachcic. Mam osiemnaście lat, a moim najgorętszym pragnieniem jest podziwiać waszą urodę i złożyć wam w ofierze własną duszę i własną krew...”

- Już dojeżdżamy - rzekł signor Boccaccio.

Zanim się Guccio spostrzegł, dotarli już do przedmieść Londynu. Domy wzdłuż drogi zbliżyły się do siebie. Znikł przyjemny zapach lasu, powietrze czuć było palonym torfem.

Guccio rozglądał się ze zdziwieniem. Wuj Tolomei opisywał mu wspaniałe miasto, a on tymczasem widział nie kończący się szereg wiosek składających się z lepianek o czarnych ścianach, z brudnych uliczek, przez które przechodziły kobiety obciążone ciężarami, dzieci w łachmanach i żołnierze o podejrzanym wyglądzie.

Nagle podróżni znaleźli się w zbiegowisku ludzi, koni i wozów przed wielkim mostem londyńskim. Dwie kwadratowe wieże strzegły wejścia, wieczorem przeciągano między nimi łańcuchy i zamykano olbrzymie wrota. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył Guccio, była okrwawiona ludzka głowa osadzona na jednej z dzid, którymi były najeżone te wrota. Kruki krążyły wokół twarzy o wylupionych oczach.

- Sąd króla Anglii urzędował dziś rano - powiedział signor Boccaccio. - W ten sposób kończą tu zbrodniarze albo też ci, których podaje się za zbrodniarzy, żeby się ich pozbyć.

- Osobliwe godło wita cudzoziemców - rzekł Guccio.

- To sposób, by ich przekonać, że nie przybyli do miasta, gdzie kwitnie grzeczność i uprzejmość.

W owym czasie był to jedyny most przerzucony przez Tamizę; tworzył prawdziwą ulicę wzniesioną ponad wodą, z drewnianymi, przytulonymi do siebie domkami, gdzie uprawiano wszelaki handel.

Dwadzieścia łuków, wysokich na sześćdziesiąt stóp, podtrzymywało tę niezwykłą budowlę. Trzeba było prawie stu lat, aby ją wznieść, i londyńczycy byli niezmiernie z niej dumni.

Mętna woda kłębiła się wokół łuków; bielizna suszyła się w oknach; kobiety wylewały wiadra wprost do rzeki.

W porównaniu z mostem w Londynie florencki Ponte Vecchio wydawał się zabawką, zaś Arno przy Tamizie - strumykiem. Guccio zwrócił na to uwagę towarzysza.

- W każdym razie to my wszystkiego uczymy inne ludy - odparł Boccaccio.

Potrzebowali prawie jednej trzeciej godziny, by przedostać się na drugą stronę, tak gęsty był tłum, a czepiający się butów żebracy natrętni.

Gdy już znaleźli się na przeciwległym brzegu, Guccio spostrzegł po prawej ręce wieżę Londynu, której olbrzymi białe masyw rysował się na tle szarego nieba; później w ślad za signorem Boccaccio zagłębił się w City. Hałas i ruch, panujące na ulicach, gwar cudzoziemskich głosów, ołowiane niebo, ciężki zapach dymu, jakim przesiąknięte było miasto, krzyki

dobiegające z karczem, bezczelność bezwstydných dziewczek, brutalność wrzaskliwych żołnierzy, wszystko to zaskoczyło Guccia.

Przebywszy trzysta kroków podróżni skręcili na lewo, w Lombard Street, gdzie miały swą siedzibę wszystkie włoskie banki. Domy były na zewnątrz niepozorne, jedno-, najwyżej dwupiętrowe, ale bardzo dobrze utrzymane, o wywoskowanych drzwiach i okratowanych oknach. Signor Boccaccio zostawił Guccia przed drzwiami banku Albizzich. Obaj towarzysze drogi rozstali się bardzo serdecznie, gratulując sobie nawzajem świeżo nawiązanej przyjaźni i przyrzekając co rychlej spotkać się w Paryżu.





III

Westminster

Messer Albizzi był wysokim, szczupłym mężczyzną o podłużnej smagłej twarzy i gęstych brwiach. Kępki czarnych włosów wymykały mu się spod czapki. Przyjął gościa z wielkopańską powściągliwą uprzejmością. Kiedy tak stał w obcisłej, aksamitnej, szafirowej szacie z ręką na pulpicie, Albizzi przywodził na myśl tokańskiego księcia.

Gdy wymieniali zwykle, okolicznościowe pozdrowienia i komplementy, wzrok Guccia krążył od wysokich dębowych krzeseł do obić z adamaszku, od stołków inkrustowanych kością słoniową do przepysznych dywanów, które pokrywały podłogę, od monumentalnego kominka do lichtarzy z masywnego srebra. Młody człowiek nie mógł powstrzymać się od szybkiej wyceny: „te dywany... czterdzieści liwrów, z pewnością... lichtarze, dwa razy tyle... Cały dom, jeżeli każdy pokój jest na miarę tego, wart będzie trzy razy tyle co dom mego wuja...” Bo chociaż Guccio w marzeniach widział już siebie jako tajnego posła i ofiarnego rycerza, był jednak kupcem, synem, wnukiem i prawnukiem kupców.

- Trzeba wam było wsiąść na jeden z moich okrętów... bo jesteśmy również armatorami... i jechać przez Boulogne - mówił messer Albizzi - mielibyście wówczas wygodniejszą przeprawę przez morze.

Kazał podać hypokras, aromatyczne wino, które pili przegryzając osmażonymi w cukrze migdałami. Guccio wyjaśnił cel swej podróży.

- Waszego wuja Tolomei, którego wielce poważam, powiadomiono, żeby przysłał was do mnie - mówił dalej Albizzi, bawiąc się wielkim rubinem, który nosił na prawej ręce. - Hugo Le Despenser jest jednym z moich głównych klientów i ma wobec mnie zobowiązania. Przez niego załatwimy spotkanie.

- Czy to on jest przyjacielem od serca króla Edwarda? - spytał Guccio.

- Kochanką, chcieliście powiedzieć, faworytą, podskubywaczem króla. Nie. Ja mówię o Hugonie Le Despenser ojcu. Jego wpływy są bardziej ukryte, ale równie wielkie. Zręcznie posługuje się rozpustą syna i jeśli sprawy będą toczyć się jak dotąd, obejmie ster królestwa.

- Ależ ja mam zobaczyć królową, a nie króla - rzekł Guccio.

- Mój młody kuzynie - odparł z uśmiechem Albizzi - jak wszędzie, tak i tu są ludzie, którzy nie należą ani do tej partii, ani do tamtej, ale judząc jedną przeciw drugiej, ciągną zyski z obu. Ja wiem, co robię.

Wezwał swego sekretarza, skreślił na papierze kilka linijek i zapieczętował.

- Dziś po obiedzie, kuzynie, pójdziecie do Westmoutiers - powiedział odesławszy sekretarza, który miał zanieść list. - Sądzę, że królowa udzieli wam audiencji. Wobec wszystkich będziecie uchodzić za poleconego przeze mnie kupca, który świeżo przybył z Włoch i handluje drogimi

kamieniami oraz wyrobami ze złota. Pokazując klejnoty królowej będziecie mogli doręczyć jej list.

Podszedł do kufra, otworzył go i wyjął wielkie, płaskie, okute miedzią pudełko z cennego drzewa.

- Oto wasze listy uwierzytelniające - dorzucił.

Guccio podniósł wieko. Na aksamitnej podściółce leżały pierścionki, agrafy i zapinki, perłowe wisiorki, naszyjniki ze szmaragdów i rubinów.

- A jeśli królowa zechce nabyć jeden z tych klejnotów, to co mam zrobić?

Albizzi uśmiechnął się.

- Królowa nic od was bezpośrednio nie kupi, bo nie przyznano jej pieniędzy i nadzoruje się jej wydatki. Jeśli pragnie coś nabyć, powiadamia mnie o tym. W ubiegłym miesiącu kazałem sporządzić dla niej trzy jałmużniczki, za które jeszcze mi jest dłużna.

Po posiłku - Albizzi przeproszał za skromne potrawy, lecz w rzeczywistości nie powstydzili się ich nawet stół barona - Guccio udał się do Westminster. Towarzyszył mu dla osobistej ochrony sługa banku Albizzich, zbudowany jak bawół, niósł on szkatułkę przytwierdzoną do pasa żelaznym łańcuchem.

Guccio szedł przodem zadarłszy podbródek i z dumną miną spoglądał na miasto, jakby nazajutrz miał zostać jego właścicielem. Pałac wprawdzie imponował rozmachem budowy, ale był przeładowany ozdobami i wydał mu się w złym guście w porównaniu z gmachami wznoszonymi w owych latach w Toskanii, a zwłaszcza w Sienie. „Ludziom tu i tak brak słońca, a robią, co mogą, żeby nie wpuścić i tej odrobiny, którą mają” - pomyślał.

Wszedł honorowym wejściem. Ludzie w kordegardzie grzali się przy płonących, grubych polanach. Zbliżył się giermek.

- Signor Baglioni? Oczekują was. Zaraz was zaprowadzę - rzekł po francusku.

Wciąż pod eskortą sługi, który niósł szkatułkę z klejnotami, Guccio udał się za giermkim. Minęli jedno otoczone arkadami podwórze, później drugie, potem wstąpili na szerokie kamienne schody i weszli do apartamentów królewskich. Sklepienia były bardzo wysokie i dziwnie akustyczne. W miarę jak przechodzili przez amfiladę lodowatych i ciemnych sal, Guccio miał wrażenie, że się kurczy, i próżno starał się zachować wrodzoną pewność siebie. Ujrzał grupę młodych ludzi w bogato haftowanej odzieży i przybranych futrem okryciach; u lewego boku błyszczwały im rękojeście mieczy. Była to straż królowej.

Giermek poprosił Guccia, aby zaczekał, i pozostawił go tu wśród dworzan, którzy spoglądali nań kpiąco i wymieniali po cichu uwagi.

Nagle Guccio uczuł, że ogarnia go głuchy niepokój. A jeżeli zdarzy się coś nieprzewidzianego? A jeśli na tym szarpanym intrygami dworze wyda się podejrzanym? A jeśli, nim zobaczy królową, schwytają go, szukają i znajdą list?

Kiedy giermek wróciwszy dotknął jego ramienia, Guccio aż podskoczył. Wziął skrzynkę z rąk służącego Albizzich, w pośpiechu zapomniawszy jednak, że przytwierdzona była do pasa tragarza, który nagle poleciał naprzód. Łańcuch się splątał. Rozległy się śmiechy i rozdrażniony Guccio poczuł, że

się ośmieszył. Kiedy wszedł do królewskiej komnaty, był upokorzony, zmieszany i niezdarny. Nim ujrzał królową, już przed nią się znalazł.

Izabela siedziała. Obok niej stała młoda kobieta o wąskiej twarzy i sztywnej postawie. Guccio przykląkł i na próżno szukał w myśli słów powitania. Obecność trzeciej osoby jeszcze pogłębiła jego zmieszanie. Pod wpływem jakiejś głupiej iluzji wyobraził sobie, że królowa przyjmie go sam na sam?

Królowa przemówiła pierwsza.

- Lady Le Despenser, obejrzyjmy klejnoty, które nam przyniósł ten młody Włoch, i zobaczmy, czy naprawdę są tak cudowne, jak powiadają.

Nazwisko Despenser do reszty skonfundowało Guccia. Jaka mogła być rola tej Despenser u boku królowej?

Powstawszy na skinienie Izabeli, otworzył skrzynkę i pokazał jej zawartość. Lady Le Despenser ledwie rzuciwszy okiem rzekła krótko i oschle:

- Te klejnoty istotnie są bardzo piękne, ale na nic nam się nie przydadzą. Nie możemy ich kupić, Miłościwa Pani.

Królowa odparła w odruchu wzburzenia:

- Dlaczego więc wasz teść nakłaniał mnie do przyjęcia tego kupca?

- Aby zobowiązać Albizziego, myślę, lecz za dużo jesteśmy mu dłużni, aby jeszcze cokolwiek kupować.

- Wiem, pani - rzekła wtedy królowa - że wy, wasz małżonek i wszyscy wasi krewniacy taką troską otaczacie królewskie denary, że można by sądzić, iż są waszą własnością. Ale teraz raczcie zezwolić, abym ja dysponowała moją szkatułą, a przynajmniej tym, co w niej pozostało. Zresztą jest godne podziwu, że gdy w pałacu zjawi się jakiś cudzoziemiec czy kupiec, zawsze oddała się moje francuskie damy dworu, a - co wygląda raczej na kontrolę - towarzystwa dotrzymuje mi wasza teściowa albo wy. Wyobrażam sobie, że gdyby te klejnoty pokazano mojemu lub waszemu małżonkowi, na pewno nie omieszkaliby przystroić jeden drugiego, jak nie śmiałyby tego uczynić kobiety.

Mówiła jednostajnym, chłodnym tonem, ale każde słowo buchało niechęcią Izabeli do tej rodziny, która zniesławiając koronę, jednocześnie rabowała skarb. Nie tylko bowiem oboje Despenserowie, ojciec i matka, wzbogacali się na miłości króla do ich syna, ale nawet sama małżonka godziła się na skandal i przykładła do niego ręki.

Eleonora Le Despenser, dotknięta połajanką, wycofała się w głąb ogromnej komnaty, nadal jednak obserwowała królową i młodego sieneńczyka.

Guccio, odzyskując stopniowo wrodzoną śmiałość, która dziś tak go nieszczęśliwie zawiodła, ośmielił się wreszcie spojrzeć na królową. Teraz albo nigdy należało dać jej do zrozumienia, że współczuje jej w nieszczęściu i pragnie jej służyć. Lecz spotkał się z takim chłodem, z taką obojętnością, że zlodowaciało mu serce. Błękitne oczy Izabeli były równie nieruchome jak oczy Filipa Pięknego. Jakże można oświadczyć takiej kobiecie: „Pani, skazują was na cierpieniu, a ja chcę was kochać”.

Guccio zdołał tylko wskazać ogromny srebrny pierścień, który umieścił w rogu skrzynki, i rzekł:

- Miłościwa Pani, czy raczycie łaskawie obejrzeć ten sygnet i zwrócić uwagę, jak jest wycyzelowany?

Królowa wzięła pierścień, rozpoznała trzy zamki Artois wyryte w metalu i podniosła wzrok na Guccia.

- To mi się podoba - rzekła. - Czy macie też inne rzeczy wypracowane tą samą ręką?

Guccio wyjął z zanadru list mówiąc:

- Tu wypisane są ceny.

- Zbliźmy się do światła, abym je mogła wyraźniej zobaczyć - odpowiedziała Izabela.

Powstała i razem z Gucciem podeszła do framugi okna, gdzie mogła swobodnie przeczytać list.

- Czy wracacie do Paryża? - spytała szeptem.

- Gdy tylko raczycie mi rozkazać - odpowiedział równie cicho Guccio.

- Powiedzcie więc Dostojnemu Panu d'Artois, że w najbliższych tygodniach udam się do Francji i postąpię tak, jak z nim uzgodniłam.

Twarcz jej ożywiła się nieco, ale cała uwaga skierowana była na list, a nie na posłańca.

Troska królów, aby szczerze wynagradzać tych, co im służą, kazała jej jednak dodać:

- Powiedzcie Dostojnemu Panu d'Artois, aby wynagrodził wasz trud lepiej, niż ja to mogę teraz uczynić.

- Zaszczyt, że was widzę i mogę wam być posłuszny, Miłościwa Pani, jest z pewnością najpiękniejszą nagrodą.

Izabela podziękowała lekkim skinieniem głowy, a Guccio zrozumiał, że między prawnuczką Miłościwego Pana Ludwika Świętego a siostrzeńcem tokańskiego bankiera istnieje przepaść nie do przebycia.

Izabela powiedziała bardzo głośno, tak aby to słyszała pani Le Despenser:

- Każę was zawiadomić przez Albizziego, co postanowiłam w sprawie zapinki. Żegnam pana.

I odprawiła go gestem.





IV

Wierzytelność

Mimo kurtuazji Albizziego, który zapraszał go jeszcze na kilka dni, Guccio mocno z siebie niezadowolony już nazajutrz opuścił Londyn. Choć doskonale wypełnił misję i w tym względzie zasługiwał tylko na pochwały, nie mógł sobie wybaczyć, że on, wolny obywatel Sieny, a więc we własnym mniemaniu równy każdemu na świecie szlachcicowi, tak dalece mógł się stropić w obecności królewskiego majestatu. Bo cokolwiek by robił, nigdy nie zdoła zapomnieć, że nie wykrztusił słowa, znalazłszy się przed królową angielską, która nie zaszczyciła go nawet uśmiechem. „Przecież to kobieta jak każda! Czemuż tak się przed nią trząść?” - drwił z siebie. Ale mówił to, kiedy już znalazł się daleko od Westminster.

Tym razem nie spotkał towarzysza, jak w drodze do Londynu, i jechał samotnie przeżywając swoją złość. Nastrój ten nie opuszczał go podczas całej podróży, a nawet rozjątrzał się w miarę mijanych mil.

Ponieważ na dworze angielskim, nie doznał przyjęcia, jakiego oczekiwał, ponieważ na sam jego widok nie oddano mu honorów należnych księciu, już po wylądowaniu we Francji doszedł do wniosku, że Anglicy to barbarzyński naród. A jeśli królowa Izabela jest nieszczęśliwa, jeśli mąż wystawia ją na pośmiewisko, to ma, na co słusznie zasłużyła. „Jak to? Człowiek przepływa morze, naraża dla niej życie, a ona mu za to nawet nie podziękuje, jakby był jakimś pacholkiem! Ci ludzie nauczyli się przybierać wyniosłą postawę, ale nie znają odruchów serca i odtrącają najbardziej oddanych sobie ludzi. Nie powinni się więc dziwić, że otacza ich tak mało miłości, a tak wiele zdrady.”

Młodość nie rezygnuje tak łatwo ze swoich ambicji. Na tej samej drodze, gdzie przed czterema dniami Guccio już widział się ambasadorem i kochankiem królowej, teraz powtarzał ze wściekłością: „Pomszczę się!” Jak? Na kim? Nie wiedział. Ale pragnął odwetu.

Przede wszystkim jeżeli los i wzgarda królów chce utrzymać go w stanie Lombardów, to pokaże im takiego Lombarda, jakiego jeszcze nie widzieli. Bankiera wszechwładnego, odważnego i przebiegłego, wierzyciela nie znającego litości. Wuj polecił mu zajechać do kantoru w Neauphle, aby odzyskać wierzytelność. Doskonale! Dłużnicy nie spodziewają się, jaki piorun uderzy w ich grzbiet.

Guccio minął Pontoise, skręcił w stronę Ile-de-France i przybył do Neauphle-le-Vieux w dzień świętego Hugona.

Kantor Tolomei zajmował dom na rynku w pobliżu kościoła. Guccio wszedł krokiem władcy, kazał sobie pokazać rejestry, zburczał wszystkich. Co był wart główny agent handlowy? Czy koniecznie on, Guccio Baglioni, rodzony siostrzeniec szefa kompanii, musi fatygować się po każdą nie wypłaconą wierzytelność? A przede wszystkim kim są ci kasztelanowie de

Cressay, którzy są winni trzysta liwrów? Otrzymał wyjaśnienie. Ojciec zmarł; tak, o tym Guccio wiedział. I co jeszcze? Pozostali dwaj synowie, dwudziesto- i dwudziestodwuletni. Co robili? Polowali... Jasne, że nieroby. Była też córka szesnastoletnia... Z pewnością brzydka, zdecydował Guccio. Była jeszcze matka, która zarządzała domem po śmierci pana de Cressay. Pochodzili ze starej szlachty, ale nie mieli solda w kieszeni. Ile jest wart ich zamek? Pola? Osiemset, dziewięćset liwrów. Mają młyn i około trzydziestu niewolnych na swych ziemiach.

- I wy nie możecie ich zmusić do spłaty długu? - wykrzyknął Guccio. - Zobaczycie, czy ze mną to tak długo potrwa! Jak nazywa się prewot z Montfort? Portefruit? Doskonale. Jeżeli dziś wieczór nie zwrócą długu, znajdę prewota i każę nałożyć areszt¹⁸. Zobaczycie!

Wskoczył na siodło i ruszył kłusem do Cressay, jakby sam jeden miał zdobyć fortecę. „Moje złoto albo areszt... moje złoto albo areszt. I niech wołają o pomoc do Boga i wszystkich świętych”.

Wioska Cressay, o pół mili od Neauphle, osiadła na zboczu wzgórza, nad brzegiem rzeczki Mauldre, którą można było przesadzić jednym skokiem konia.

Guccio dostrzegł kasztel. Był to w rzeczywistości mały, dość zniszczony zameczek o niskich wieżyczkach i błotnistym dojeździe, bez fosy, bo rzeczka była rowem obronnym. Wszystko wskazywało na ubóstwo i złą gospodarkę. Dachy zapadły się w kilku miejscach; gołębnik zdawał się słabo zaopatrzony; na pokrytych mchem murach widniały szczeliny, a w pobliskich lasach głębokie wyręby.

„Tym gorzej. Moje złoto lub areszt” - wjeżdżając przez bramę powtarzał Guccio.

Lecz już ktoś powziął przed nim podobny zamiar, mianowicie prewot Portefruit.

Na podwórzu panował rozgardiasz. Trzech królewskich sierżantów, trzymając w ręku kije zakończone kwiatem lilii, poganiało rozkazami kilku obdartych niewolnych, każąc spędzać bydło, wiązać parami woły, wnosić z młyna wory z ziarnem i rzucać je na wozy prewota. Krzyki sierżantów, biegania przerażonych chłopów, beczenie dwudziestu owiec, wrzask drobiu tworzyły niezły hałas.

Nikt nie zatroszczył się o Guccia; nikt nie odebrał od niego konia i sam go musiał przywiązać za uzdę do obręczy przy słupie. Stary wieśniak, przechodząc koło niego, powiedział po prostu:

- Niestety nad tym domem. Gdyby pan jeszcze żył, skończyłby po raz wtóry. To niesprawiedliwe!

Z domu, przez otwarte drzwi, dochodził odgłos gwałtownej dyskusji.

„Zdaje się, że przybywam w feralny dzień” - pomyślał Guccio, a jego zły humor jeszcze się wzmógł.

Kierując się dźwiękiem głosów Guccio wszedł po schodach na próg, a stamtąd do ciemnej sali o ścianach z kamienia i belkowanym suficie.

Na spotkanie wyszła mu młoda dziewczyna, na którą nie raczył nawet spojrzeć.

- Przyjechałem w interesie i chciałbym rozmawiać z panami na Cressay - rzekł.

- Jestem Maria de Cressay. Moi bracia, a także matka, są tam - odpowiedziała z wahaniem dziewczyna, wskazując wewnątrz izby. - Lecz na razie bardzo zajęci...

- Nie szkodzi. Zaczekam - powiedział Guccio.

Dla potwierdzenia swoich słów stanął przed kominkiem i wyciągnął but w stronę ognia.

W głębi sali rozległ się krzyk. Dwaj młodzi ludzie, jeden brodaty, drugi gołowąs, ale wielcy i rumiani, stali po obu stronach matki, pani de Cressay, która próbowała stawić czoło czwartej osobie; był nią sam prewot - jak się Guccio wkrótce domyślił.

Pani de Cressay, zwana przez sąsiadów damą Eliabel, miała błyszczące oczy, obfity biust i dobrą czterdziestkę, a jej okazałe ciało okrywały wdowie szaty¹⁹.

- Panie prewocie - krzyczała - mój mążzonek zadłużył się, żeby zdobyć ekwipunek na królewską wyprawę wojenną, i więcej na niej zebrał guzów niż łupów, a gospodarka bez mężczyzny szła byle jak. Zawsześmy opłacali podatki, oddawali posługi i składali ofiary na Kościół. Niech mi powiedzą, kto zaciej żył w całej prowincji? A wy przychodzicie nas rabować, panie Portefruit, żeby utuczyć ludzi waszego pokroju, których dziadowie boso brodzili w strumykach!

Guccio rozglądał się. Kilka wiejskich stołków, dwa krzesła z oparciem, ławki przytwierdzone do ścian, skrzynie i wielka prycza z zasłoną, za którą było widać siennik, składały się na całe umeblowanie. Ponad kominkiem wisiała tarcza herbowa o wyblakłych barwach i wojenny puklerz zmarłego rycerza de Cressay.

- Złożę skargę hrabiemu de Dreux - ciągnęła dama Eliabel.

- Hrabia de Dreux nie jest królem, a ja wykonuję królewskie rozkazy - odparł prewot.

- Nie wierzę wam, panie. Nie mogę uwierzyć, żeby król kazał traktować jak złoczyńców ludzi, którzy od dwustu lat posiadają szlachectwo. Chyba że królestwo rozpada się w gruzy.

- Przynajmniej dajcie nam trochę czasu - wtrącił syn, ten z brodą. - Będziemy spłacać ratami.

- Skończmy z tą gadaniną. Czas już wam dawałem i nic nie zapłaciliście - uciął prewot.

Miał krótkie ręce, okrągłą twarz i ostry głos.

- Moim zadaniem nie jest słuchać waszych żalów, ale ściągać długi - ciągnął. - Jesteście winni skarbowi trzysta liwrów. Jeśli ich nie macie, tym gorzej. Nakładam areszt i sprzedaję.

Guccio pomyślał: „Ten drab przemawia akurat takim samym językiem, jakim ja chciałem mówić, a kiedy odejdzie, nic już nie będę mógł zabrać. Zdecydowanie nieudana podróż. Może trzeba było natychmiast włączyć się w rozgrywkę?”

Czuł, jak wzbiera w nim złość na prewota, który przybył nie w porę i wysadza go z siodła.

Młoda dziewczyna, która go przywitała, stała opodal. Przyjrzał się jej. Miała jasne, falujące włosy, które wymykały się spod czepeczka, alabastrową cerę, smukłe, prężne, pięknie ukształtowane ciało. Guccio

musiał przyznać, że ocenił ją zbyt pochopnie i niesłusznie.

Maria de Cressay naprawdę była bardzo zmieszana, że nieznajomy przysłuchuje się tej scenie. Nie co dzień się zdarza, aby młody kawaler o miłej twarzy i świadczącym o bogactwie stroju przejeżdżał przez wieś; naprawdę nieszczęsny to traf, iż przybył akurat wtedy, gdy rodzina jawi się w najgorszym świetle.

Tam w głębi sali dyskusja trwała nadal.

- Czyż nie dość, że straciłam małżonka, jeszcze muszę płacić sześćset liwrów, aby zachować dach nad głową? Wniosę skargę do hrabiego de Dreux - powtarzała dama Eliabel.

- Zapłaciliśmy wam już dwieście siedemdziesiąt liwrów, które musieliśmy pożyczyć - dodał brodaty syn.

- Nałożyć areszt to wtrącić nas w nędzę, a wyprzedać to życzyć nam śmierci - wtrącił drugi syn.

- Rozkaz jest rozkazem - odparł prewot - znam moje uprawnienia. Nakładam areszt i wystawiam na sprzedaż.

Dotknięty jak aktor, którego pozbawia się roli, Guccio rzekł do dziewczyny:

- Ten prewot budzi we mnie odrazę. Czego on chce?

- Nie wiem i moi bracia też niewiele więcej wiedzą, nie znamy się prawie na tych sprawach - odrzekła. - Chodzi o podatek spadkowy po zgonie naszego ojca.

- I dlatego on żąda sześciuset liwrów?

- Ach, panie, nieszczęście wisi nad nami! - wyszeptała.

Spojrzenia ich spotkały się, zatrzymały na sobie chwilę i Guccio pomyślał, że dziewczyna się rozpłacze. Ale nie; dzielnie opierała się przeciwności losu i jedynie wstydlivość kazała jej odwrócić piękne szafirowe oczy.

Guccio namyślał się. Nagle śmignął przez salę i stanął jak wryty na wprost przedstawiciela władzy.

- Pozwólcie, panie prewocie - rzucił - czy przypadkiem wy nie popełniacie tu kradzieży?

Oślupiały prewot odwrócił się do niego pytając, kim jest.

- Nieważne - odparł Guccio - nie starajcie się dowiedzieć o tym zbyt szybko, o ile, nieszczęsnym trafem, wasze rachunki nie są w porządku. Ja również mam pewne powody interesować się spadkiem po rycerzu de Cressay. Racście mi powiedzieć, na ile szacujecie jego dobra?

Ponieważ prewot usiłował traktować go z góry i groził, że wezwie sierzantów, Guccio ciągnął dalej:

- Strzeżcie się! Rozmawiacie z człowiekiem, który przed kilku dniami był gościem Miłościwej Pani królowej Anglii i ma możliwość powiadomić pana Enguerranda de Marigny, jak sobie poczynają jego prewotowie. Więc powiadacie, panie: ile warte są te dobra?

Jego słowa wywarły natychmiastowy skutek. Nazwisko Marigny'ego wprawiło prewota w zmieszanie; rodzina milczała, czujna i zdziwiona, a Guccio uczył, jakby urósł na dwa cale.

- Według szacunku bajlifa²⁰ wartość Cressay wynosi trzy tysiące liwrów - odpowiedział wreszcie prewot.

- Naprawdę, trzy tysiące? - wykrzyknął Guccio. - Trzy tysiące za ten wiejski zameczek, kiedy pałac Nesle, jeden z najpiękniejszych w Paryżu, siedziba Miłościwego Pana króla Nawarry, figuruje w rejestrach podatkowych jako wart pięć tysięcy liwrów? Wysoko wycenia się w okręgu należącym do waszego bajlifa.

- Jest ziemia.

- Wszystko razem warte jest najwyżej dziewięćset liwrów. Wiem to z pewnego źródła.

Prewot miał na czole nad lewym okiem fioletowe znamię, Guccio mówiąc wpatrywał się w to znamię, co do reszty wyprowadzało prewota z równowagi.

- Czy zechcecie mi teraz powiedzieć - podjął Guccio - jaka jest wysokość podatku spadkowego?

- Cztery soldy od liwra, według przepisów wydanych przez bajlifa.

- Grubo kłamiecie, panie Portefruit. We wszystkich okręgach podatek wynosi dla szlachty dwa soldy. Nie tylko wy jeden znacie się na prawie, znamy je obaj... Ten człowiek korzysta z waszej nieświadomości, aby was okradać jak łajdak - powiedział Guccio zwracając się do rodziny Cressay. - Przestraszył was przemawiając w imieniu króla, ale nie powiedział, że z podatków w gotowiźnie i w naturze odda do skarbu tyle, ile przewidziano w zarządzeniach, a całą nadwyżkę schowa do własnej kieszeni. A jeżeli każe was zlicytować, to kto kupi ten zamek Cressay już nie za trzy tysiące, ale za dziewięćset, za pięćset albo nawet za sam dług? Czy to nie wy przypadkiem, panie prewocie, żywicie ten piękny zamiar?

Rozdrażnienie Guccia, jego rozczarowanie i gniew miały wreszcie na kim się wyładować. Mówiąc zapalał się. Nareszcie mógł okazać się kimś ważnym, nakazać dla siebie szacunek, wystąpić jako dzielny człowiek. Żwawo przeszedł do obozu, który przybył zaatakować, i teraz brał w obronę słabszych i wyrównywał krzywdy.

Tłusta i okrągła twarz prewota zbladła, tylko fioletowe znamię nad okiem zachowało ciemną barwę. Niezdarnie machał przykrótkimi rękami. Zapewniał o swojej uczciwości. On przecież nie prowadził rachunków. Mógł zakraść się błąd... jego urzędników lub bajlifa.

- Dobrze! Poprawimy zaraz wasze rachunki - rzekł Guccio.

W ciągu kilku minut dowiedział, że po dodaniu sumy zasadniczej oraz procentów rodzina de Cressay była dłużna tylko sto liwrów i kilka soldów.

- A teraz rozkażcie waszym sierżantom, żeby odwiązali woły, odnieśli zboże do młyna i zostawili w spokoju uczciwych ludzi.

Pociągnął prewota za rękaw i doprowadził aż do drzwi. Ten uległ i krzyknął do sierżantów, że zaszedł błąd, że trzeba sprawdzić, że powrócą kiedy indziej, a na razie należy wszystko doprowadzić do porządku. Myślał, że zakończył sprawę, ale Guccio wywiódł go na środek sali mówiąc:

- A teraz oddajcie nam sto siedemdziesiąt liwrów.

Guccio z takim przejęciem stanął po stronie rodziny de Cressay, że broniąc ich sprawy zaczął używać słowa „my”.

Prewot dławił się z wściekłości, lecz Guccio szybko go uspokoił.

- Czyż nie słyszałem przed chwilą - zapytał - że niedawno już pobraliście

dwieście siedemdziesiąt liwrów?

Obaj bracia skinęli głowami.

- Więc, panie prewocie... sto siedemdziesiąt - rzekł Guccio wyciągając rękę.

Gruby Portefruit zaczął się kłócić. Co wpłacono, to wpłacono. Trzeba by zobaczyć rachunki urzędowe. Zresztą on nie ma takiej sumy przy sobie. Wróci później.

- Lepiej byłoby, gdybyście mieli to złoto w sakwie. Czy jesteście tak zupełnie pewni, że nic dzisiaj nie pobraliście? Kontrolerzy pana de Marigny działają szybko - oświadczył Guccio. - A wasz własny interes nakazuje natychmiast zakończyć sprawę.

Prewot wahał się chwilę. Czy wezwać sierżantów? Młody człowiek był jednak porywczy i miał ostry sztylet u boku. Poza tym byli tu dwaj solidnie zbudowani bracia Cressay, ich oszczepy do polowania leżały w zasięgu ręki, na kufrze. Chłopi na pewno ujmą się za panami. Przykra sprawa i nie warto było w nią wsadzać nosa, zwłaszcza gdyby miała dojść do uszu Marigny'ego... Poddał się i, wyjąwszy spod poły wypchany trzos, odliczył nadpłatę. Dopiero wtedy Guccio pozwolił mu odejść.

- Będziemy pamiętać wasze nazwisko, panie prewocie - krzyknął do niego na progu.

Powrócił szczerze śmiejąc się i pokazując piękne, białe, gęsto osadzone zęby.

Natychmiast otoczyła go cała rodzina, obsypując błogosławieństwami i traktując jak wybawcę. W ogólnym podnieceniu piękna Maria de Cressay chwyciła Guccia za rękę i pocałowała ją; po czym przestraszyła się własnej śmiałości.

Zachwycony sobą Guccio coraz lepiej czuł się w nowej roli. Postąpił, jak nakazywał cny obyczaj. Był błędnym rycerzem, który przybył do nieznanego zamku, aby ratować zrozwaloną dziewczynę i uwolnić od zbójców wdowę i sierotę.

- Lecz powiedzcie wreszcie, kim jesteście, panie, komu tyle zawdzięczamy? - spytał Jan de Cressay, który nosił brodę.

- Nazywam się Guccio Baglioni, jestem siostrzeńcem właściciela banku Tolomei, a przybyłem w sprawie wierzycelności.

W komnacie zapadła cisza. Cała rodzina zaskoczona spoglądała na siebie z obawą. Guccio miał wrażenie, jakby zdzierano z niego piękną zbroję.

Pierwsza opanowała się dama Eliabel. Zręcznie porwała złoto pozostawione przez prewota i strojąc twarz w uśmiech rzekła uprzejmie, że pragnie przede wszystkim, by ich dobroczyńca przyjął zaproszenie na obiad.

Poczęła krzątać się, wydała swoim dzieciom różne polecenia, a później zgromadziwszy je w kuchni, rzekła:

- Miejcie się na baczności, przede wszystkim jest to Lombard. Nigdy nie można ufać tym ludziom, zwłaszcza gdy oddali wam jakąś przysługę. Naprawdę to godne pożałowania, że wasz biedny ojciec musiał się do nich uciec. Ale my pokażemy temu Lombardowi, który zresztą bardzo przyjemnie wygląda, że nie mamy ani denara. Zróbmy to jednak tak, aby pamiętał, że pochodzimy ze szlacheckiego rodu.

Na szczęście ubiegłego dnia obaj synowie przynieśli sporo upolowanej zwierzyny; ukręcono szyję kilku ptakom i w ten sposób można było przyszykować dwa zestawy dań z czterech potraw każdy, jak nakazywała etykieta rycerska. Na pierwszy zestaw złożyły się: polewka po niemiecku ze smażonymi jajami, gęś, podróbki królicze i pieczony zając; na drugi - ogon dzika w sosie, kapłon, topiona słonina i krem migdałowy.

Był to skromny obiad, ale w każdym razie różnił się od zacierki i omaszczonej soczewicy, którymi najczęściej zadowalała się rodzina. Przygotowanie posiłku wymagało czasu. Z piwnicy przyniesiono miód pitny, jabłecznik, a nawet ostatnie flaszki lekko skwaśniałego wina. Stół na kozłach ustawiono w wielkiej sali przy jednej z ław. Biały obrus spadał aż na ziemię, aby biesiadnicy mogli położyć go na kolanach i otrzeć nim ręce. Ustawiono po jednej miseczce cynowej na dwie osoby. Półmiski stały pośrodku stołu i każdy sięgał do nich ręką.

Do obsługi zostali wezwani trzej chłopci zajmujący się dworską gospodarką. Cuchnęli chlewem i królikami.

- Nasz giermek krajczy - na poły z przeprosinami, na poły z ironią rzekła dama Eliabel, wskazując kulawca, krojącego pajdy chleba mało co cieńsze od młyńskiego koła; nakładano na nie mięsiwo. - Muszę wam powiedzieć, panie Baglioni, że celuje on w rąbaniu drzewa. To wyjaśnia...

Guccio dużo jadł i pił. Podczaszy miał tak szczodłą rękę, jakby poił konie.

Rodzina zachęcała Guccia do rozmowy, co chętnie czynił. Opowiedział tak barwnie o burzy na La Manche, że gospodarze upuścili ogon dzika do sosu. Rozprawiał o wszystkim, a więc: o bieżących wypadkach, o stanie dróg, o templariuszach, o londyńskim moście, o Italii, o administracji Marigny'ego. Ze słów jego wynikało, że był zausznikiem królowej angielskiej, i tak podkreślał poufność swojej misji, że można było sądzić, iż lada moment wybuchnie między obu krajami wojna. „Nie mogę powiedzieć wam więcej, bo to tajemnica królestwa, a jako taka do mnie nie należy”. Popisując się własną osobą przed innymi, człowiek łatwo przekonuje sam siebie i teraz, zapatrując się na wszystko inaczej niż rankiem, Guccio uważał swoją podróż za wielki sukces.

Obaj bracia de Cressay, dzielni, ale niezbyt rozgarnięci młodzieńcy, którzy nigdy nie wychylili nosa poza Dreux, wpatrywali się z podziwem i zazdrością w młodszego od nich chłopca, który już tyle widział i tyle zdziałał.

Dama Eliabel w przyciasnej nieco sukni, zezwoliła sobie na czułe spojrzenia w stronę młodego Toskańczyka i wbrew swym zastrzeżeniom w stosunku do Lombardów uznała, że jego kędzierzawe włosy, olśniewające zęby i czarne oczy, a nawet nieco szepleniący akcent mają dużo uroku. Prawiła mu zręczne komplementy.

„Strzeż się pochlebstw - mawiał często do siostrzeńca Tolomei. - Pochlebstwo to największe niebezpieczeństwo dla bankiera. Człowiek słabnie słuchając pochwał, lepiej dla nas mieć do czynienia ze złodziejem niż z pochlebcą”.

Guccio jednak pił pochwały niby miód. W rzeczywistości mówił tyle z powodu Marii de Cressay, tej młodej dziewczyny, która nie spuszczała zeń

oczu, unosząc w górę piękne, złociste rzęsy. Słuchała z półotwartymi ustami, które przypominały dojrząły granat, i to zachęcało Guccia, by mówić, wciąż mówić.

Oddalenie łatwo uszlachetnia ludzi. Guccio dla Marii był doskonałym wcieleniem podróżującego cudzoziemskiego księcia. Przybył nieoczekiwanie, niespodziewanie jak częstokrotny a niedostępny sen, i oto nagle zastukał do drzwi - wszedł strojny, miał prawdziwą twarz i głos.

Oczarowanie, które czytał w oczach Marii, sprawiło, że Guccio uznał ją za najpiękniejszą, za najbardziej godną pożądania dziewczynę. Przy niej królowa Anglii wydawała mu się zimna jak kamień grobowy. „Gdyby zjawiała się na dworze, odpowiednio ubrana, po tygodniu byłaby najbardziej uwielbianą ze wszystkich dam.”

Gdy zmierzch zapadł i biesiadnicy mieli już dobrze w czubie, opłukali sobie ręce.

Dama Eliabel zdecydowała, że młody człowiek nie może odjechać o tak późnej godzinie, i zaofiarowała mu nocleg, zastrzegając, że będzie bardzo skromny.

Zapewniła również, że jego wierzchowiec został opatrzony i odprowadzony do stajni. Rycerska przygoda trwała nadal, a Guccio uważał, że życie jest pełne uroku.

Wkrótce dama Eliabel oddaliła się wraz z córką. Bracia Cressay zaprowadzili podróżnika do gościnnego pokoju, który zdaje się od dawna nie był użytkowany. Ledwie się Guccio położył, zapadł w sen myśląc o ustach na kształt dojrząłego granatu, z których spijał całą miłość świata.





V

Droga do Neauphle

Zbudziła go dłoń, która łagodnie spoczęła mu na ramieniu. Gotów był ująć tę dłoń i przytulić do twarzy... Otworzywszy jedno oko ujrzał nad sobą obfity biust i uśmiech damy Eliabel.

- Czy dobrze spaliście, panie?

Był już biały dzień. Guccio trochę zakłopotany zapewnił, że spał doskonale, ale teraz chciałby się jak najszybciej ubrać.

- Wstydzę się wobec pani mego wyglądu.

Dama Eliabel wezwała kulawego chłopca, który wczoraj podawał do stołu; kazała mu rozpaść ogień, przynieść miednicę z gorącą wodą i „płótna”, czyli ręczniki.

- Ongiś mieliśmy w zamku dobrą łaźnię z izbą do kąpieli i izbą do wyparzania się. Wszystko rozpadło się w kawałki, bo była zbudowana jeszcze za dziada mego nieboszczyka i nigdy nie mieliśmy dość pieniędzy, żeby ją doprowadzić do ładu. Ach! życie nie jest łatwe dla nas, ludzi ze wsi.

„Zaczyna prawić o wierzytelności” - pomyślał Guccio.

Miał głowę ociężałą od trunków wczorajszego obiadu. Zapytał, co porabiają Piotr i Jan de Cressay; o świcie wyruszyli na polowanie. Później, z wahaniem, spytał o Marię. Dama Eliabel odpowiedziała, że córka musiała udać się do Neauphle po zakupy do gospodarstwa.

- Jadę tam zaraz - rzekł Guccio. - Gdybym był wiedział, zawiózłbym ją konno i zaoszczędził jej zmęczenia.

Zastanawiał się, czy przypadkiem kasztelanka umyślnie nie wyprawiła swoich dzieci, żeby zostać z nim sam na sam, zwłaszcza że kiedy kulawiec przyniósł miednicę, z której dobrą ćwierć wody rozlał na podłogę, dama Eliabel pozostała nadal grzejąc płótna przed ogniem. Guccio czekał, by odeszła.

- Myjcie się, mój młody panie - powiedziała. - Nasze służące to takie niezgrabne, że podrapałyby was wycierając. Przynajmniej niechże ja się o was zatroszczę.

Guccio wybąkał podziękowanie i zdecydował się obnażyć do pasa; unikając spoglądania na damę spryskał ciepłą wodą głowę i tors. Był dość chudy, jak wszyscy chłopcy w jego wieku, lecz mimo niskiego wzrostu miał zgrabną figurę. „Całe szczęście, że nie kazała przynieść kadzi i nie muszę rozebrać się przy niej do naga. Ci ludzie na wsi dziwne mają obyczaje.”

Gdy już się umył, dama Eliabel podeszła z ogrzanymi ręcznikami i zaczęła go wycierać. Guccio myślał, że gdyby zaraz wyjechał i puścił się cwałem, mógłby dogonić Marię na drodze albo zastać ją w miasteczku.

- Jaką piękną ma pan skórę - rzekła nagle dama Eliabel lekko drżącym

głosem. - Kobiety mogłyby panu pozazdrościć tak delikatnego ciała... Wyobrażam sobie, że wiele z nich kusi... Ten śliczny, smagły kolor na pewno im się podoba.

Jednocześnie gładziła mu plecy, wodząc końcami palców wzdłuż kręgosłupa. Guccio, czując łaskotki, obrócił się ku niej ze śmiechem.

Dama Eliabel miała mętny wzrok, pierś jej falowała, a dziwny uśmiech odmienił twarz. Guccio szybko włożył koszulę.

- Ach! Jakaż piękna jest młodość!... - westchnęła dama Eliabel. - Patrząc na pana jestem pewna, że się nią pan rozkoszuje i korzysta ze wszystkich jej przywilejów.

Milczała chwilę, po czym tym samym tonem mówiła dalej:

- Więc, miły panie, cóż postanowiliście w sprawie waszej wiarygodności?

„Oto sedno sprawy” - pomyślał Guccio.

- Możecie od nas żądać, co wam się podoba - ciągnęła - jesteście, panie, naszym dobroczyńcą, błogosławimy was. Jeśli chcecie złota, które kazaliście zwrócić temu łajdakowi przewotowi, należy do was. Weźcie je; sto liwrów, jeśli tak sobie życzycie. Ale widzicie, w jakich żyjemy warunkach, i dowiedliście nam, że posiadacie serce.

Jednocześnie przyglądała się, jak on sznuruje gatki; nie była to dla Guccia sytuacja sprzyjająca rozmowie o interesach.

- Czyż nasz wybawca będzie dążył do naszej zguby? - mówiła dalej. - Wy, ludzie z miasta, nawet nie możecie sobie wyobrazić, jak ciężko nam się żyje. Nie spłaciliśmy jeszcze waszego banku, bo naprawdę nie mieliśmy z czego. Sami stwierdziliście, że ludzie króla nas okradają. Niewolnicy też nie pracują jak dawniej. Odkąd król Filip wydał zarządzenie zachęcające ich do wykupu, wbili sobie do głowy myśl o uwolnieniu. Już nic z nich nie można wycisnąć. Ci prostacy gotowi są uważać, że pochodzą z takiego samego rodu jak wy i ja.

Zrobiła przerwę, żeby młody Lombard mógł ocenić, ile pochlebstwa zawierały słowa „wy i ja”.

- Dodajcie do tego, że mieliśmy dwa lata nieurodzaju. Ale wystarczy, oby to Bóg sprawił, żeby przyszły zbiór był dobry...

Guccio, myśląc tylko o tym, jak dogonić Marię, starał się dać wymijającą odpowiedź.

- To nie zależy ode mnie, o wszystkim decyduje wuj - rzekł.

Ale z góry wiedział, że jest pokonany.

- Możecie przekonać waszego wuja, że rozsądnie umieścił pieniądze i w bezpiecznym miejscu. Życzę mu, aby nigdy nie miał gorszych dłużników. Odroczone jeszcze na rok; chętnie zapłacimy procenty. Zróbcie to dla mnie, będę wam bardzo wdzięczna - chwytając go za rękę mówiła dama Eliabel.

Później dodała lekko zmieszana.

- Czy wiecie, młody panie, że wczoraj od pierwszego wejrzenia... może dama nie powinna tego mówić... doznałam uczucia przyjaźni dla was i nie ma rzeczy, zależnej ode mnie, której bym nie zrobiła, aby was ucieszyć?

Guccio nie miał dość przytomności umysłu, żeby odpowiedzieć: „Doskonale! Zwróćcie dług, a będę rad”.

Jasne było, że wdowa była raczej gotowa zapłacić własnym ciałem, i nie

bez racji można było rozważać, czy gotowa jest ofiarować siebie, aby odroczyć wierzytelność, czy też wierzytelność była okazją do poświęcenia.

Guccio, prawdziwy Włoch, pomyślał, że byłoby zabawnie uwieść jednocześnie i matkę, i córkę. Dama Eliabel miała jeszcze sporo wdzięku; jej pulchne dłonie były delikatne, a piersi choć obfite, zdaje się, zachowały jędrność. Byłaby to jednak tylko dodatkowa zabawa, nie opłacało się dla niej stracić zasadniczej zdobyczy.

Guccio uwolnił się od awansów damy Eliabel zapewniając, że postara się załatwić sprawę, teraz musi jednak co prędzej jechać do Neauphle i porozmawiać ze swoimi urzędnikami.

Wyszedł na podwórze, ponaglił kulawca, aby osiodłał mu konia, i ruszył do miasteczka. Ani śladu Marii na drodze. Cwałując Guccio rozważał, czy dziewczyna była naprawdę tak piękna, jak wydała mu się wczoraj, czy nie pomylił się co do obietnic, które zdawał się czytać w jej oczach, czy nie uległ złudzeniu pod wpływem wina i czy to wszystko zasługuje na taki pośpiech. Istnieją przecież kobiety, które gdy patrzą na was, jakby oddają się od pierwszego wejrzenia, a tymczasem to ich zwykły wygląd. Tak samo patrzają na sprzęt, drzewo i w końcu nic nie dają...

Guccio nie dostrzegł Marii na placu w Neauphle. Rzucił okiem na sąsiednie uliczki, wszedł do kościoła, ale zabawił tylko tyle czasu, ile trzeba, by się przeżegnać, i później udał się do kantoru. Tam zburczał urzędników, że źle go poinformowali. Cressayowie to zaciężni ludzie, godni szacunku i całkowicie wypłacalni. Trzeba im odroczyć spłatę wierzytelności. Za to prewot... to czysta kanalia.

Guccio, mówiąc, wciąż spoglądał przez okno. Urzędnicy kiwali głowami, patrząc na tego młodego postrzeleńca, który z dnia na dzień zmieniał zdanie, i pomyśleli, że byłoby godne pożalowania, gdyby cały bank przeszedł w jego ręce.

- Możliwe, że będę tu często powracał, ten kantor wymaga nadzoru - rzekł zamiast pożegnania.

Skoczył na siodło, a kamyki fruwały spod kopyt konia. „Na pewno poszła skrótem - mówił do siebie. - Spotkam ją w zamku, ale niełatwo będzie zobaczyć ją samą...”

Ledwie wyjechał z miasteczka, dostrzegł sylwetkę śpieszącą w stronę Cressay i rozpoznał Marię. Wtedy nagle posłyszał, że ptaki śpiewają; dostrzegł, że świeci słońce, że jest kwiecień, a drobne, delikatne listki okrywają drzewa... Widok tej sukni, płynącej między dwoma łąkami, sprawił, że objawiła mu się w całej pełni wiosna, na którą Guccio od trzech dni nie zwracał uwagi.

Podjeżdżając do Marii, zwolnił biegu konia. Spojrzała na niego, nie tyle zdziwiona jego obecnością, ile rozradowana, jakby otrzymała najpiękniejszy w świecie upominek. Przechadzka zaróżowiła jej policzki, a Guccio stwierdził, że dziś jest jeszcze piękniejsza niż wczoraj.

Zaofiarował, że posadzi ją z tyłu na konia. Uśmiechnęła się na znak zgody, a usta jej znów rozchyliły się jak owoc. Guccio podprowadził konia pod pagórek i pochylił się, podając Marii ramię i rękę. Dziewczyna była lekka; zręcznie wskoczyła na konia i ruszyli stępą. Chwilę jechali w milczeniu. Gucciowi zabrakło słów. Ten blagier teraz nic nie potrafił

powiedzieć.

Czuł, że Maria zaledwie ośmiela się go dotknąć. Zapytał, czy zwykła jeździć konno w ten sposób.

- Z ojcem tylko... lub braćmi - odpowiedziała.

Nigdy jeszcze tak nie jechała z obcym. Ośmieliła się trochę i lekko zacisnęła uścisk.

- Czy spieszy się do domu? - spytał.

Nie odpowiedziała, a on skierował konia w boczną ścieżkę.

- Piękny jest wasz kraj - rzekł po chwili milczenia - tak piękny jak moja Toskania.

Nie był to zdawkowy komplement zakochanego. Guccio odkrył z zachwytem łagodny urok Ile-de-France, wzgórze haftowane lasem, błękitny horyzont, szpalery topól rozdzielające soczyste łąki i delikatniejszą, bardziej mleczną zielenią młodziutkiego żyta, a także żywopłoty z tarniny, na których otwierały się lepkie pąki.

- Co to są za wieże, tam daleko w mgiełce na zachodzie?

Maria z trudem odrzekła, że to wieże Montfort-l'Amaury. Czuła zmieszana ze szczęściem obawę, która przeszkadzała jej mówić, przeszkadzała myśleć. Dokąd prowadzi ta ścieżka? Już nie pamiętała... Gdzie ją wiezie ten jeździec? Tego również nie wiedziała. Była posłuszna czemuś, co nie miało jeszcze nazwy, co było silniejsze niż obawa przed nieznanym, mocniejsze niż wpojone pouczenia i przestrogi spowiedników. Czuła się całkowicie ujarzmiona jakąś obcą wolą. Dłonie jej zaciskały się na płaszczu i plecach mężczyzny, który stał się dla niej w tej chwili jedyną ostoją na rozkołysanym wokół wszechświecie.

Koń, wolno stąpając z luźno puszczonej wodzą, zatrzymał się i skubał młode źdźbła.

Guccio zeskoczył, wziął Marię w ramiona i postawił na ziemi. Ale nie wypuścił z objęć i trzymał w pół, dziwiąc się, że jest tak smukła i wiotka. Dziewczyna stała nieruchomo, uwięziona, trwożna, lecz uległa obejmującym ją dłoniom. Guccio czuł, że powinien coś powiedzieć. Na usta mu wybiegły słowa włoskie, aby wyrazić miłość:

- *Ti voglio bene, ti voglio tanto bene* *.

Zdawała się pojmować te słowa, tak dalece głos oddawał ich treść.

Patrząc na Marię stojącą w blasku słońca, Guccio spostrzegł, że rzęsy dziewczyny nie są złociste ani włosy naprawdę tak jasne, jak poprzednio myślał. Była szatynką o rudym odcieniu z karnacją blondynki i miała duże, szafirowe oczy szeroko wykrojone pod łukami brwi. Skąd więc pochodził ten złocisty blask, jaki z niej promieniował? Z minuty na minutę Maria stawała się dla Guccia coraz wyraźniejsza, coraz bardziej rzeczywista i doskonale piękna w tej rzeczywistości. Zacisnął mocniej uścisk i wolno, łagodnie przesunął ręką wzdłuż biodra, a potem po piersi, ucząc się prawdy jej ciała.

- Nie... - wyszeptała, odsuwając jego rękę.

Jednakże w obawie, że go rozczaruje, zbliżyła się i odrzuciła lekko w tył głowę. Rozchyliła wargi i zamknęła oczy. Guccio pochylił się nad tymi

* Pragnę cię bardzo, tak bardzo cię pragnę.

ustami, nad tym pięknym owocem, którego tak bardzo pożądał. Stali tak długie sekundy wśród ćwierkania ptaków, dalekiego poszczekiwania psów i głębokiego oddechu przyrody, która jakby unosiła ziemię pod ich stopami.

Kiedy wargi ich rozłączyły się, Guccio zauważył zielonkawy, pokręcony pień grubej, rosnącej opodal jabłoni i drzewo wydało mu się zadziwiająco piękne i żywotne, jakby nigdy dotąd podobnego nie widział. Sroka podskakiwała w młodym życiu i chłopak z miasta stał zaskoczony tym pocałunkiem wśród pól.

- Zjawiliście się, panie, nareszcie się zjawiliście - wyszeptała Maria.

Można by rzec, że oczekiwała go z głębi czasu, z głębi snów. Nie spuszczała zeń oka.

Znów chciał ją pocałować, lecz tym razem odmówiła.

- Nie, trzeba wracać - powiedziała.

Była pewna, że miłość pojawiła się w jej życiu, i w tej chwili była nasycona. Nie pragnęła niczego więcej.

Teraz, siedząc na koniu za Gucciem, opasała rękami pierś młodego sienneńczyka, przytuliła głowę do jego pleców i dała się wieść uległa, ukołysana rytmem jazdy, związana z mężczyzną zesłanym jej przez Boga.

Miała wrażenie, że doznała cudu i pogrąża się w nieskończoność. Ani przez chwilę nie przypuszczała, że Guccio może być w innym niż ona nastroju lub przywiązywać mniejszą niż ona wagę do wymienionego z nią pocałunku.

Nie wyprostowała się, nie przybrała pozy wymaganej przez konwenanse, póki w dolinie nie ukazały się dachy Cressay.

Obaj bracia już powrócili z polowania. Dama Eliabel była niezadowolona widząc, że Maria zjawia się w towarzystwie Guccia. Choć starali się to ukryć, oboje mieli tak promieniejące szczęściem twarze, że rozczarowało to tłustą kasztelanę i nasunęło jej surowe myśli względem córki. Nie zdobyła się jednak na upomnienie w obecności młodego bankiera.

- Spotkałem pannę Marię i poprosiłem, żeby mi pokazała okolice zamku - rzekł Guccio. - Posiadacie piękną ziemię.

Następnie dorzucił:

- Kazałem odroczyć spłatę waszej wierzytelności na przyszły rok. Spodziewam się, że wuj to zaaprobuje. Czyż można czegoś odmówić tak szlachetnej damie?

Dama Eliabel zagdakała radośnie i przybrała wyraz dyskretnego triumfu.

Obsypano Guccia podziękowaniami, gdy jednak oznajmił, że odjeżdża, nikt się zbyt nie kwapił, by go zatrzymać. Młody Lombard był czarującym kawalerem i oddał wielką przysługę... lecz ostatecznie nikt go nie znał. Spłata długu została odroczone, a to była sprawa zasadnicza. Dama Eliabel bez trudu przekonała siebie, że pomogły w tym jej wdzięki.

Jedyna osoba, która naprawdę pragnęła, aby Guccio pozostał, nie mogła i nie śmiała nic powiedzieć.

Zapanował kłopotliwy nastrój; żeby go rozproszyć, zmuszono Guccia do przyjęcia ćwiartki koźlęcia i kazano przyrzec, że znów kiedyś do nich zajedzie. Obiecał patrzeć na Marię.

- Powrócę pobrać procent od wierzytelności, możecie być tego pewni - powiedział beztrząsco, chcąc rozproszyć podejrzenia. Przytroczywszy pakunek wskoczył na konia.

Widząc, jak oddala się ku brzegom Mauldre, pani de Cressay westchnęła głęboko i oświadczyła nie tyle synom, ile snując dalej wątek swych złudzeń:

- Moje dzieci, wasza matka umie jeszcze gadać z młokosami. Zastosowałam wobec niego właściwą taktykę. Gdyby nie mój udział w tej sprawie, byłby bardziej oporny.

Maria, bojąc się zdradzić, powróciła do domu.

Guccio cwałując do Paryża myślał, że jest nieodpartym uwodzicielem. Wystarczy, by zjawił się na zamku, a pojmie w niewolę wszystkie serca. Nie opuszczał go obraz Marii w cieniu jabłoni nad rzeczką. Przynurzał się, że niebawem, może za kilka dni, powróci do Neauphle.

Przybył na ulicę Lombardów w czasie wieczery i do późna konferował z wujem Tolomei. Ten bez trudu zaakceptował wyjaśnienia Guccia w sprawie wierzytelności. Miał inne kłopoty na głowie, szczególnie zainteresowała go jednak działalność prewota Portefruit.

Guccio przez całą noc miał wrażenie, że Maria nawiedza go we śnie. Nazajutrz trochę mniej myślał o niej.

Znał w Paryżu dwie żony kupców, ładne dwudziestoletnie mieszczki, które nie były dla niego zbyt okrutne. Po kilku dniach zapomniał o swym podboju w Neauphle.

Los działa powoli i nikt nie wie, które z naszych przypadkowych czynów zakiełkują i rozrosną się jak drzewa. Nikt nie mógł sobie wyobrazić, że pocałunek zamieniony nad brzegiem Mauldre zaprowadzi piękną Marię aż do kolebki króla.

W Cressay dla Marii zaczęło się oczekiwanie.





VI

Droga do Clermont

W dwadzieścia dni później w małym miasteczku Clermont-de-l'Oise zapanowało niezwykle ożywienie. Tłumy mieszkańców snuły się od bram miasta do królewskiego zamku, od kościoła do siedziby prewota. Wesoło gwarząc ludzie potracali się na ulicach i w karczmach, a procesyjne chorągiewki powiewały w oknach. Miejscy obwoływacze wczesnym rankiem ogłosili, że Dostojny Pan de Poitiers, drugi z kolei syn króla, i jego stryj, Dostojny Pan de Valois przybędą powitać w imieniu monarchy siostrę i bratanicę - królową Izabelę Angielską.

Wylądowała ona przed trzema dniami na wybrzeżu Francji. Droga jej wiodła przez Pikardię. Rankiem opuściła Amiens - i jeśli wszystko pójdzie składnie - przybędzie do Clermont późnym popołudniem. Zamierza tu przenocować, a nazajutrz pod osłoną eskorty angielskiej połączonej z francuską uda się do zamku w Maubuisson koło Pontoise, gdzie oczekuje ją ojciec, Filip Piękny.

Nieco przed nieszporamai prewot, dowódca wojskowy miasta oraz ławnicy, uprzedzeni o zbliżaniu się książąt krwi królewskiej, przekroczyli bramę paryską, aby wręczyć im klucze miasta.

Filip de Poitiers i Karol de Valois, jadący na czele orszaku, przyjęli powitanie i przekroczyli bramy Clermont.

Za nimi posuwało się przeszło stu dworzan, giermków, pachółków i zbrojnych. Konie wzbijały kłęby kurzu.

Głowa Roberta d'Artois górowała nad innymi. Pod olbrzymim jeźdźcem olbrzymi koń. Kolosalny rycerz na ogromnym dereszowatym perszeronie, w butach czerwonych, w płaszczu czerwonym, w koszulce z czerwonego jedwabiu narzuconej na zbroję przyciągał wszystkie spojrzenia. Na twarzach wielu jeźdźców rysowało się zmęczenie, on zaś siedział prosto w siodle, jakby przed chwilą dosiadł konia.

Od chwili wyjazdu z Pontoise ostre uczucie zemsty podtrzymywało i odświeżało Roberta d'Artois. On jeden znał prawdziwy cel podróży królowej Anglii, on jeden przewidywał rozwój wypadków i z góry sycił się cierpką, skrytą radością.

Przez całą drogę nie przestawał nadzorować Gautiera i Filipa d'Aunayów, którzy wchodzili w skład orszaku, starszy jako giermek dworu Poitiers, młodszy zaś - dworu Valois. Obaj młodzieńcy byli zachwyceni przejażdżką i królewskim przepychem świty. Chcąc olśnić wszystkich strojem i zadowolić własną próżność, w świętej naiwności przypięli do paradnej odzieży piękne jałmużniczki podarowane im przez kochanki. Robert d'Artois widząc trzosiki, iskrzące się przy pasach, uczył, jak przepływa mu przez pierś olbrzymia fala mściwej radości, i z trudem wstrzymywał śmiech.

„Moi najmilsi, moje żółtodzióbki, moje niewiniątka - mówił do siebie - uśmiechajcie się, myśląc o pięknych piersiówkach waszych dam, już ich nie obejmiecie. Cieszcie się dniem dzisiejszym, bo święcie wierzę, że niewiele już dni przed wami.”

Jednocześnie, jak gruby tygrys, który igra ze swą ofiarą chowając pazury, serdecznie pozdrawiał braci d’Aunayów i rzucał im od czasu do czasu jakiś gruby żart.

Odkąd ich wybawił z rąk rzekomych opryszków pod wieżą Nesle, obaj młodzieńcy uważali się za jego dłużników i czuli w obowiązku okazywać mu przyjaźń. Gdy orszak się zatrzymał, zaprosili d’Artois, aby wychylił z nimi na progu oberży dzban młodego wina.

- Za wasze miłostki - rzekł do nich podnosząc swój kubek. - A zapamiętajcie dobrze smak tego winka.

Na głównej ulicy płynął potok ludzi, wstrzymując bieg koni. Wiatr lekko rozwiewał różnobarwne tkaniny, które przyozdabiały okna. Nagle wpadł cwałem jeździec, krzycząc, że widać już orszak królowej Anglii; natychmiast powstał wielki rozgardiasz.

- Ponaglić naszych! - krzyknął do Gautiera d’Aunay Filip de Poitiers.

Następnie zwrócił się do Karola de Valois.

- Przybyliśmy na czas, stryju.

Karol de Valois, przyodziany w błękit, z twarzą nabiegłą krwią na skutek zmęczenia, zadowolił się skinieniem głowy. Chętnie obyłby się bez tej jazdy. Był w kwaśnym humorze.

Orszak posuwał się drogą do Amiens.

Robert d’Artois zbliżył się do książąt i jechał tuż obok Valois. Chociaż pozbawiony był dziedzicznego Artois, jako kuzynowi króla należało mu się miejsce wśród książąt królewskiego rodu. Spoglądając na obciągniętą rękawicą dłoń Filipa de Poitiers, zaciśniętą na wodzach czarnego rumaka, Robert myślał: „To z twego powodu, mój chuderlawy kuzynie, żeby tobie dać Franche-Comté, odebrano mi moje Artois. Ale zanim skończy się dzień jutrzejszy, zadam ci ranę, z której tak łatwo nie wylizają się ani twój męski honor, ani twoja fortuna”.

Filip, hrabia Poitiers, małżonek Joanny Burgundzkiej, miał dwadzieścia trzy lata. Tak powierzchownością jak i sposobem bycia różnił się od reszty królewskiej rodziny. Nie posiadał majestatycznej i chłodnej urody swego ojca; nie był też zażywnym szalawilą jak stryj. Odziedziczył rysy i postawę po matce, rodem z Nawarry. Był bardzo wysoki. Miał długą twarz, długi tułów, długie ręce i nogi, ruchy zawsze opanowane, dykcję wyraźną, głos z lekka oschły; wszystko w nim - spojrzenie, skromny ubiór, powściągliwe, uprzejme słowa - świadczyło o stanowczym, rozważnym charakterze, w którym głowa panowała nad odruchami serca. W królestwie był już osobistością wpływową, z którą należało się liczyć.

Spotkanie obu orszaków nastąpiło o pół mili od Clermont. Czterech heroldów królewskiego dworu Francji wystąpiło na środek drogi, podniosło długie trąbki i rzuciło kilka niskich dźwięków. Trębacze angielscy odpowiedzieli dmąc w podobne instrumenty, lecz w wyższej tonacji. Książęta zbliżyli się, a królowa Izabela, smukła i wyprostowana na białej klaczy, przyjęła krótkie powitanie brata, Filipa de Poitiers. Następnie Karol

de Valois ucałował rękę bratanicy. Z kolei hrabia Robert d'Artois, chyląc głowę w niskim ukłonie, zapewnił tym gestem i spojrzeniem młodą królową, że żaden nieprzewidziany wypadek ani żadna przeszkoda nie powikłają ich planów.

Podczas gdy książęta wymieniali pozdrowienia, pytania, wiadomości, oba orszaki, zastygłe w oczekiwaniu, uważnie obserwowały się nawzajem. Rycerze francuscy szacowali stroje Anglików. Ci zaś, nieruchomi i godni, stojąc w słońcu z dumą demonstrowali herby Anglii wyhaftowane na ich wierzchnich szatach. Chociaż większość z nich była rodem z Francji i nosiła francuskie nazwiska, chcieli okazać wyglądać na tej obcej ziemi²¹.

Z wielkiej błękitno-złotej lektyki, postępującej w ślad za królową, rozległ się krzyk dziecka.

- Siostrzo moja - rzekł Filip - znów więc zabraliście w podróż naszego małego siostrzeńca? Czy to nie jest zbyt męczące dla tak małego dziecka?

- Nie ważyłabym się pozostawić go samego w Londynie - odparła Izabela.

Filip de Poitiers i Karol de Valois zapytali, jaki jest cel jej podróży. Oświadczyła po prostu, że chciała odwiedzić ojca, i obaj pojęli, że przynajmniej na razie niczego więcej się nie dowiedzą.

Trochę zmęczona długą podróżą Izabela zsiadła z białej klaczy i zajęła miejsce w dużej lektyce, którą niosły dwa muły okryte aksamitnymi kapami. Obie świty ruszyły ku Clermont.

Korzystając z tego, że Poitiers i Valois udali się na czoło pochodu, d'Artois skierował konia w stronę lektyki.

- Moja kuzynko, za każdym razem gdy was widzę, jesteście coraz piękniejsza - rzekł do niej.

- Nie kłamcie. Na pewno nie mogę być piękna po tygodniu podróży w kurzu - odparła królowa.

- Gdy człowiek przez długie tygodnie rozkoszował się tylko wspomnieniem o was, to nie widzi już kurzu, tylko wasze oczy.

Izabela zagłębiła się z lekka w poduszki. Znów uczuła tę dziwną niemoc, jaka ją ogarnęła w Westminster w obecności Roberta. „Czy naprawdę mnie kocha - myślała - czy też prawi mi komplementy jak każdej kobiecie?” Przez szparę między firaneczkami lektyki widziała ogromny czerwony but i złoconą ostrogę na boku deresza. Widziała udo olbrzyma i mięśnie grające na łęku siodła. Pytała siebie, czy zawsze, ilekroć znajdzie się w obecności tego mężczyzny, odczuwać będzie ten sam niepokój, to samo pragnienie oddania się... Opanowała się z trudem. Nie przyjechała tu we własnej sprawie.

- Kuzynie mój - rzekła - skorzystajmy z tego, że możemy swobodnie porozmawiać, i zaznajomcie mnie z tym, co macie mi do powiedzenia.

Udając, że objaśnia krajobraz, opowiedział jej szybko, co wie, co zrobił, jak roztoczył nadzór nad księżniczkami i jak zastawił pułapkę pod wieżą Nesle.

- Kim są ci mężczyźni, którzy zniesławiają koronę Francji? - zapytała Izabela.

- Jadą o dwadzieścia kroków od was. Należą do eskorty, która wam towarzyszy.

Udzielił zasadniczych informacji o braciach d'Aunay, ich lennach, pokrewieństwach i związkach.

- Chcę ich zobaczyć - zażądała Izabela.

D'Artois szerokim gestem wezwał młodzieńców.

- Królowa was zauważyła - rzekł robiąc do nich oko. Twarze obu młodych ludzi zajaśniały dumą i radością. D'Artois popchnął ich ku lektyce, jakby miał ich obsypać złotem, a kiedy pochyłili się tak nisko, jak tylko pozwalały im karki wierzchowców, powiedział udając dobroduszość:

- Pani, oto panowie Gautier i Filip d'Aunay, najwierniejsi giermkowie waszego brata i waszego stryja. Polecam ich waszej łasce. Są poniekąd moimi protegowanymi.

Izabela chłodno przyjrzała się obu młodym ludziom, szukając w ich twarzach i postawie tego, co mogło sprowadzić z drogi obowiązku królewskie córę. Z pewnością byli piękni, a męska uroda zawsze wprawiała Izabelę w zmieszanie. Zauważyła jałmużniczki przy pasach obu jeźdźców i natychmiast jej spojrzenie poszukało wzroku Roberta. Ten uśmiechnął się nieznacznie.

Teraz już mógł usunąć się w cień. Nie będzie nawet musiał wobec całego dworu odegrać przykrej roli donosiciela. „Dobra robota, Robercie, dobra robota” - mówił do siebie.

Bracia d'Aunay z głowami pełnymi marzeń zajęli swe miejsca w pochodzie.

We wszystkich kościołach w Clermont, we wszystkich kaplicach, we wszystkich klasztorach biły rozkołysane dzwony, a z gwarne miasteczka wznosiły się przeciągłe powitalne okrzyki, płynąc ku tej dwudziestodwuletniej królowej, która wiozła na francuski dwór najbardziej nieoczekiwane nieszczęście.





VII

Jaki ojciec, taka córka

W zdobnym czarną emalią srebrnym świeczniku tkwiła gruba, woskowa świeca, otoczona wieńcem świeczek; jej światło padało na plik pergaminów, które przed chwilą król skończył przeglądać. Za oknami park rozpyływał się w zmierzchu; zapatrzona w mrok Izabela widziała, jak ciemności ogarniają drzewo za drzewem.

Maubuisson w pobliżu Pontoise było królewską siedzibą od czasów Blanki Kastylijskiej, a Filip Piękny uczynił zeń jedną ze swych najczęstszych rezydencji. Upodobał sobie ten pełen ciszy zamek, otoczony wysokim murem, park i opactwo, gdzie siostry benedyktynki pędziły spokojny żywot, odmierzany rytmem modłów. Zamek nie był duży, lecz Filip Piękny cenił jego spokój.

- Tutaj naradzam się sam ze sobą - oświadczył pewnego dnia.

Mieszkał tu w otoczeniu rodziny i ścisłego dworu.

Izabela po południu przybyła do celu podróży. Doskonale opanowana, z uśmiechem na twarzy spotkała tu swoje trzy bratowe - Małgorzatę, Joannę i Blankę - i uprzejmie odpowiedziała na ich powitanie.

Wieczera trwała krótko. A teraz Izabela zamknęła się sam na sam z ojcem w komnacie, gdzie lubił przebywać w samotności. Król Filip obserwował ją lodowatym wzrokiem, jak zwykł był spoglądać na każdą ludzką istotę, nie wyłączając własnego dziecka. Czekał, aż przemówi, lecz ona nie miała odwagi. „Zadam mu tyle bólu” - myślała. Nagle pod wpływem obecności ojca, widoku parku, drzew i ciszy ogarnęły ją wspomnienia dzieciństwa, a jednocześnie litość nad samą sobą.

- Ojcze - rzekła - mój ojciec, jestem nieszczęśliwa. Odkąd zostałam królową Anglii, jakże daleka wydaje mi się Francja. Och, jak żałuję tych dni, które już minęły.

Musiała walczyć z pokusą łez.

- Czy po to, aby mnie o tym powiadomić, odbyliście tak długą podróż, Izabelo? - zapytał król chłodno.

- Komuż, jeśli nie ojcu mam powiedzieć, że nie jestem szczęśliwa? - odpowiedziała.

Król spojrział na okno, teraz już ciemne, na szyby, które drżały pod uderzeniami wiatru, potem na świeczki, a potem w ogień.

- Szczęście... - rzekł powoli. - Czymże jest szczęście, moja córko, jeśli nie działaniem zgodnie z naszym przeznaczeniem?

Siedzieli naprzeciw siebie na dębowych krzesłach.

- Jestem królową, to prawda - rzekła cicho. - Lecz czy tam traktują mnie jak królową?

- Czy wyrządzono wam krzywdę?

W tonie, jakim zadał to pytanie, nie było zbyt wiele zdziwienia, aż

nazbyt dobrze wiedział, co mu odpowie.

- Czyż nie wiecie, za kogo wydaliście mnie za męża? - mówiła. - Czyż można nazwać mężem człowieka, który od pierwszego dnia unika mego łóża? Czyż moje starania, moje względy, uśmiechy wyrwą mu chociaż słowo? Czyż nie ucieka ode mnie jak od dotkniętej trądem, a łaską, której mnie pozbawił, czyż nie obdarza nie faworytę nawet, ale mężczyzn, mój ojciec, mężczyźni?

Filip Piękny od dawna wiedział o tym wszystkim i od dawna również miał przygotowaną odpowiedź.

- Nie wydałem was za męża za mężczyznę, Izabelo, ale za króla. Nie poświęciłem was przez pomyłkę. Czyż mam was pouczać o tym, co winniśmy naszym państwom, i o tym, że nie przyszliśmy na świat, aby pograżać się w osobistym cierpieniu? Nie żyjemy naszym własnym życiem, ale życiem naszych królestw, i tylko tak osiągnąć możemy własne zadowolenie... działając wedle naszego przeznaczenia.

Mówiąc to zbliżył się do świecznika. Światło nadało połysk kości słoniowej jego pięknym rysom.

„Mogłabym pokochać tylko takiego mężczyznę jak on - pomyślała Izabela. - I nigdy nie pokocham nikogo, bo nigdzie nie znajdę mężczyzny, który byłby do niego podobny”.

Następnie rzekła głośno:

- Nie po to przybyłam do Francji, aby szlochać nad moim nieszczęściem, ojciec. Ale jestem rada, że przypomniaлиście mi o szacunku dla siebie samej, jaki przystoi królewskim osobom, a także o tym, że szczęście nie jest celem, do którego mamy dążyć. Chciałabym tylko, aby każdy tak myślał w waszym otoczeniu.

- Dlaczego przybyliście?

Nabrała tchu.

- Dlatego, że moi bracia poślubili dziwki, mój ojciec, dowiedziałam się o tym i, tak samo jak wy, gotowa jestem zawzięcie bronić honoru.

Filip Piękny westchnął.

- Wiem, że nie lubicie waszych bratowych, lecz to, co was dzieli...

- Tym, co nas dzieli, mój ojciec, jest uczciwość. Znam sprawki, które przed wami ukrywają. Wysłuchajcie mnie, bo przywożę wam nie tylko słowa. Czy znacie młodego pana Gautiera d'Aunay?

- Są dwaj bracia tego nazwiska, których zawsze myślę. Ojciec ich był ze mną we Flandrii. Ten, o którym mówicie, poślubił Montmorency, nieprawdaż? Służy jako giermek na dworze mego syna Poitiers...

- Służy również u waszej synowej Blanki, tylko inaczej. Jego brat Filip służy na dworze stryja Valois...

- Tak - rzekł król - tak...

Lekka poprzeczna bruzda przecięła mu czoło zazwyczaj pozbawione najmniejszej zmarszczki.

- ...Ten służy u Małgorzaty, którą wybraliście, aby pewnego dnia została królową Francji. Nie wymieniają kochanki Joanny; wiadomo jednak, że osłania swawole swojej siostry i swojej kuzynki, ułatwia wizyty ich zalotników w wieży Nesle i bardzo dobrze wykonuje zawód, który ma arcystarą nazwę... Wiedziecie, że mówi o tym cały dwór, tylko nie wam...

Filip Piękny podniósł dłoń.

- Wasze dowody, Izabelo?

- Znajdziecie je u boku braci d'Aunay. Zobaczycie, że wiszą przy nich jałmużniczki, które w ubiegłym miesiącu posłałam moim bratowym. Rozpoznałam je wczoraj u tych dworzan, znajdowali się bowiem w eskorcie, która mi tutaj towarzyszyła. Nie jestem urażona, że wasze synowe lekceważą moje podarunki. Ale tego rodzaju klejnoty ofiarowane giermkom mogą być tylko zapłatą za usługę. Poszukajcie tej usługi. Jeśli trzeba wam innych faktów, sądzę, że łatwo będę ich mogła dostarczyć.

Filip Piękny patrzył na córkę.

Oskarżała bez wahania, bez słabości, jej wzrok był stanowczy, nieugięty; odnajdywał w jej spojrzeniu samego siebie. Była jego nieodrodną córką.

Podniósł się i długą chwilę stał przed oknem.

- Chodźcie - rzekł wreszcie. - Pójdziemy do nich.

Otworzył drzwi, minął ciemną komnatę, pchnął następne drzwi, wiodące na drogę, którą krążyły patrole. Ogarnął ich poryw nocnego wichru, uderzył w ich szaty i rozwiął je z łopotem. Krótkie, gwałtowne podmuchy wstrząsały glinianymi dachówkami. Z dołu unosił się zapach wilgotnej ziemi. Słyszając kroki króla i jego córki, łucznicy powstawali wzdłuż blanków.

Trzy synowe zajmowały apartamenty w drugim skrzydle zamku Maubuisson. Gdy Filip Piękny znalazł się przed drzwiami komnaty księżniczek, zatrzymał się na chwilę. Słuchał. Przez dębowe dwuskrzydłowe drzwi docierały doń śmiechy i okrzyki radości. Spojrzał na Izabelę.

- Trzeba - rzekł.

Izabela w milczeniu skinęła głową. Król otworzył drzwi. Małgorzata, Joanna i Blanka wydały okrzyk zdziwienia, ich śmiech urwał się.

Właśnie bawiły się marionetkami; odtwarzały wymyśloną przez siebie scenę, która opracowana i wystawiona kiedyś przez pewnego sztukmistrza w Vincennes bardzo je ubawiła, lecz rozgniewała króla.

Modelami marionetek były najwybitniejsze osobistości królewskiego dworu. Scena wyobrażała komnatę króla, a on sam spoczywał na łożu okrytym złocistą narzutą. Dostojny Pan de Valois pukał w drzwi i prosił o posłuchanie u brata. Hugo de Bouville, wielki szambelan, odpowiadał, że król nie życzy sobie z nikim rozmawiać i zabronił, aby ktokolwiek mu przeszkadzał. Dostojny Pan de Valois odchodził wielce rozgniewany. Następnie stuknęły do zamkniętych drzwi marionetki Ludwika Nawarry i księcia Karola. Bouville udzielał królewskim synom tej samej odpowiedzi. Wreszcie, poprzedzony przez trzech sierżantów zbrojnych w maczugi, wkraczał Enguerrand de Marigny: natychmiast drzwi otwierano na oścież ze słowami: „Witajcie, Dostojny Panie, król pragnie was widzieć”.

Filip Piękny uważał, że ta satyra jest bardzo nietaktowna, i zabronił jej powtarzać. Ale młode księżniczki w tajemnicy obchodziły zakaz, który tylko dodawał pieprzyka zabawie.

Zmieniały tekst, wzbogacały nowymi wstawkami i drwinami zwłaszcza wtedy, gdy poruszały kukiełkami wyobrażającymi ich mężów.

Gdy król wszedł z Izabelą, wyglądały jak trzy uczennice przyłapane na

gorącym uczynku. Małgorzata chwyciła pośpiesznie leżącą na krześle narzutkę i przykryła nią zbyt obnażony gors. Blanka upięła warkocze, które opuściła, udając gniew stryja Valois.

Joanna, najbardziej opanowana, rzekła żywo:

- Skończyliśmy, Sire, właśnie skończyliśmy, ale moglibyście wszystko usłyszeć i nie znaleźlibyście powodu do gniewu. Zaraz wszystko posprzątam.

Klasnęła w dłonie.

- Hejże! Beaumont, Comminges, moje miłe...

- Nie trzeba wzywać waszych dam - powiedział krótko król.

Zaledwie spojrzał na grę. Patrzył na nie, tylko na nie. Najmłodsza Blanka miała osiemnaście lat, dwie pozostałe po dwadzieścia jeden. Od chwili gdy przybyły na dwór w dwunastym lub trzynastym roku życia, aby poślubić jego synów, widział, jak rosły i rozkwitały urodą. Ale zdaje się nie przybyło im rozumu od tamtego czasu. Bawiły się jeszcze kukielkami... Czy to możliwe, aby Izabela mówiła prawdę? Czy to możliwe, aby tak wielka niewieścia przebiegłość kryła się w tych istotkach, które jemu wciąż wydawały się dziećmi? „Być może wcale nie znam się na kobietach” - pomyślał.

- Gdzie są wasi małżonkowie? - zapytał.

- W zbrojowni, Sire, mój ojciec - powiedziała Joanna.

- Widzicie, że nie przyszedłem sam - podjął. - Często mówicie, że wasza szwagierka Izabela wcale was nie kocha. A oto dowiedziałem się, że przysłała każdej z was bardzo piękny upominek...

Izabela ujrzała, jak gaśnie blask w oczach Małgorzaty i Blanki.

- Czy mogłybyście - ciągnął wolno Filip Piękny - pokazać mi te jałmużniczki, które otrzymałyście z Anglii?

Cisza, która zapadła, przepołowiła świat. Po jednej stronie znalazł się król Francji, królowa Anglii, dwór, baronowie, królestwo, po drugiej stronie stały trzy ujawnione grzesznice, przed którymi otwarła się koszmarna czeluść.

- A więc, moje córki - rzekł król - dlaczego nie odpowiadacie?

Wpatrywał się w nie uporczywie ogromnymi oczami o nieruchomych powiekach.

- Zostawiłam moją jałmużniczkę w Paryżu - rzekła Joanna.

- Ja także, ja także - zawołały obie pozostałe.

Filip Piękny wolno skierował się do drzwi. Poblądłe synowe obserwowały jego ruchy.

Królowa Izabela oparła się o ścianę, ciężko dysząc. Król, nie oglądając się, powiedział:

- Ponieważ te jałmużniczki są w Paryżu, pošlemy po nie natychmiast dwóch giermków.

Otworzył drzwi, wezwał wartownika i kazał mu sprowadzić braci d'Aunay.

Blanka załamała się. Osunęła się na taboret, krew uciekła jej z twarzy, serce stanęło i pochyliła na bok głowę, bliska omdlenia. Joanna potrząsnęła jej ramieniem, każąc się opanować.

Małgorzata smagłymi rączkami bezmyślnie ukrecała szyję marionetce.

Izabela stała bez ruchu. Czowała na sobie wzrok Małgorzaty i Joanny, rola donosicielki stawała się dla niej coraz cięższa do zniesienia. Uczuła nagle wielkie zmęczenie. „Dotrwam do końca” - pomyślała.

Bracia d'Aunay weszli z pośpiechem, zmieszani, niemal popychając się, aby godnie przysłużyć się i otrzymać pochwałę.

Izabela wyciągnęła rękę.

- Mój ojciec - rzekła - ci dworzanie zdaje się uprzedzili wasze życzenie, przynoszą bowiem zawieszane u pasa jałmużniczki, które pragnęliście zobaczyć.

Filip Piękny zwrócił się do synowych.

- Czy możecie mi wyjaśnić, w jaki sposób ci giermkowie znaleźli się w posiadaniu podarunków, które wam przesłała wasza szwagierka?

Żadna z nich nie odpowiedziała.

Filip d'Aunay spojrzał na Izabelę ze zdziwieniem, jak pies, który nie rozumie, za co go biją, później skierował wzrok na starszego brata szukając opieki. Gautier miał usta półotwarte.

- Straż! Do króla! - krzyknął Filip Piękny.

Jego głos przeszył obecnych na wskroś zimnym dreszczem; niezwykle i straszliwy odbił się o mury zamku i noc. Od dziesięciu lat, od bitwy pod Mons-en-Pévèle, gdy zebrał rozpierzchnięte wojska i wymusił zwycięstwo, nikt nigdy nie słyszał jego krzyku. Nikt nie pamiętał, że mógł posiadać taką siłę w krtani. Zresztą to były jedyne słowa, które tak wymówił.

- Wezwijcie kapitana - rzekł jednemu z ludzi, którzy nadbiegli. Pozostałym rozkazał stanąć w drzwiach. Rozległ się odgłos ciężkiego cwału wzdłuż patrolowanej drogi i w chwilę potem wszedł pan Alain de Pareilles z gołą głową, kończąc dopinać zbroję.

- Panie Alainie - rzekł mu król - zabierzcie tych dwóch giermków. Do lochu i w kajdany. Będą odpowiadać przed moim sądem.

Gautier d'Aunay chciał paść do nóg króla.

- Sire - wybełkotał - Sire...

- Wystarczy - rzekł Filip Piękny. - Teraz będziecie odpowiadać przed panem de Nogaret... Panie Alainie - podjął - księżniczki pozostaną tu pod strażą waszych ludzi aż do nowego rozkazu. Zakazuję im wychodzić. Zakazuję, aby ktokolwiek ze sług, krewnych, nawet małżonków tu wszedł albo z nimi rozmawiał. Odpowiadacie mi za to.

Choć zaskakujące to były rozkazy, Alain de Pareilles wysłuchał ich nie drgnąwszy. Nic nie mogło zaskoczyć człowieka, który aresztował wielkiego mistrza templariuszy. Wola króla była dla niego jedynym prawem.

- Chodźmy, panowie - rzekł do braci wskazując im drzwi.

Gautier ruszając wyszeptał:

- Błagajmy Boga, Filipie. Wszystko skończone...

Kroki ich, zgłuszone po chwili krokami zbrojnych, zagubiły się na płytach.

Małgorzata i Blanka słyszały te stuknięcia butów, unoszące ich miłość, cześć, fortunę, całe ich życie. Joanna zapytywała siebie, czy kiedykolwiek zdoła się uniewinnić. Małgorzata nagle rzuciła w ogień poszarpaną kukielkę. Blanka znów była bliska omdlenia.

- Chodź, Izabelo - rzekł król.

Wyszli. Młoda królowa Anglii zwyciężyła, lecz czuła się znużona i dziwnie wzruszona. Oto jej ojciec po raz pierwszy od czasu wczesnego dzieciństwa powiedział do niej „ty”.

Idąc jedno za drugim powracali drogą, którą krążyły patrole. Wschodni wiatr pędził po niebie zwały ciemnych chmur. Król wszedł do swego gabinetu, wziął srebrny świecznik i udał się na poszukiwanie synów. Jego wielki cień zanurzył się w głąb krętych schodów. Zaciążyło mu serce i nie czuł, jak krople wosku ściekają po jego palcach.





VIII

Mahaut Burgundzka

Mniej więcej w połowie tej nocy dwaj jeźdźcy, eskortujący poprzedniego dnia Izabelę, opuścili zamek w Maubuisson. Byli to Robert d'Artois i jego sługa Lormet, w jednej osobie pacholek, zauszniak, towarzysz broni i podróży, a także wierny wykonawca wszelakich rozkazów.

Lormet pochodził z Dôle; odkąd jakiś godny szubienicy postępek zmusił go do ucieczki z dworu hrabiów burgundzkich, przystał do Roberta i nie opuszczał go już ani na chwilę, nie odstępował ani na krok. Zaiste, wzruszający był widok, jak ten niski, okrągły, lecz barczysty i już siwawy człowieczek troszczył się przy każdej okazji o swego olbrzymiego młodego pana, szedł za nim krok w krok, wspomagał we wszystkich przedsięwzięciach, jak ostatnio w zastawieniu pułapki na braci d'Aunay.

Już świtało, gdy obaj jeźdźcy dotarli do bram Paryża. Zwolnili biegu parujących koni, a Lormet ziewnął dobre dziesięć razy. Miał przeszło pięćdziesiąt lat i, choć lepiej znosił konną jazdę od niejednego giermka, męczył go brak snu.

Na placu Gréve zastali zwykle zbiegowisko robotników poszukujących pracy. Majstrowie z królewskich warsztatów okrętowych i właściciele barek krążyli między grupami ludzi, aby zatrudnić pomocników, ładowaczy i gońców. Robert d'Artois przeciął plac i wszedł na ulicę Mauconseil, gdzie mieszkała jego stryjna, Mahaut d'Artois.

- Uważaj, Lormet - mówił olbrzym - chcę, żeby ta opasła suka dowiedziała się o swoim nieszczęściu z moich własnych ust. Oto zbliża się chwila największej radości w moim życiu. Chcę widzieć paskudną gębę mojej stryjny, kiedy jej opowiem, co zaszło w Maubuisson. Chcę, żeby przyjechała do Pontoise, i chcę, żeby dopomogła do własnej ruiny rycząc przed królem. Chcę, żeby zdechła z rozpaczy.

Lormet potężnie ziewnął.

- Zdechnie, Dostojny Panie, zdechnie. Bądźcie pewni, już wy wszystko zrobicie, żeby tak się stało - odrzekł.

Dotarli do wspaniałego pałacu hrabiów d'Artois.

- Czyż to nie podłość, że ona rozpiera się w tym olbrzymim gmachu, który zbudował mój ojciec! - podjął Robert. - To ja powinienem tu mieszkać.

- Zamieszkacie tu, Dostojny Panie, zamieszkacie.

- A ciebie zrobię odźwiernym i dam sto liwrów rocznie.

- Dzięki, Dostojny Panie - odpowiedział Lormet, jakby już objął ten wysoki urząd i miał pieniądze w kieszeni.

D'Artois zeskoczył z konia, rzucił uzdę Lormetowi i schwycił kołatkę, waląc w bramę, jakby ją chciał wyłamać.

Otworło się zaryglowane skrzydło, a w szparze ukazał się czujny, rześki, rosły strażnik z grubą jak ramię maczugą w ręku.

- Kto tam? - zapytał strażnik oburzony takim hałasem.

Ale Robert d'Artois odepchnął go na bok i wszedł w obręb pałacu. Dziesiątki pacholków i służących krzątało się przy porannym sprzątaniu podwórzy, korytarzy i schodów. Robert roztrącając wszystkich wszedł na piętro, gdzie znajdowały się komnaty hrabiny.

- Hola!

Nadbiegł wystraszony pacholek z wiadrem w ręku.

- Moja stryjna, Picard! Muszę natychmiast zobaczyć się z moją stryjną.

Picard, łysy, z przyplaszczoną czaszką, postawił wiadro i odpowiedział:

- Ona je, Dostojny Panie.

- Dobrze! Mnie to nie przeszkadza! Uprzedź ją o moim przybyciu! Szybko!

Przybrawszy minę na wpół wzruszoną, na wpół boleściwą, Robert d'Artois poszedł za pacholkiem aż do drzwi.

Mahaut, hrabina d'Artois, par Francji, eks-regentka Franche-Comté, była wielką kobietą w wieku około czterdziestu pięciu lat, otyłą i potężnie zbudowaną. Jej twarz o tłustych fałdach wyrażała energię i stanowczość. Miała szerokie i wypukłe czoło, ciemne włosy bez śladu siwizny, wąsik nad górną wargą i czerwone usta.

Wszystko w tej kobiecie było wielkie, rysy, członki, apetyt, gniew, chciwość, ambicja, żądza władzy. Z energią wojownika i uporem jurysty prowadziła obecnie swój dwór w Arras, jak poprzednio dwór w Dôle. Nadzorowała administrację swych terytoriów, wymagała posłuszeństwa od wasali, oszczędzała siły słabszych, ale uderzała bezlitośnie w ujawnionego wroga.

Dwanaście lat walk z bratankiem pozwoliło jej doskonale poznać jego charakter. Za każdym razem gdy wynikały trudności, za każdym razem, gdy panowie w Artois stawali dęba, za każdym razem, gdy jakieś miasto odmawiało płacenia podatków, Mahaut niezwłocznie wyciągała na światło dzienne różne sprawy Roberta.

„To dziki wilczur, okrutne i przebiegłe wilczysko - mówiła o nim. - Ale ja mam mocną głowę, sam on sobie skręci kark, bo za wiele sobie pozwala.”

Od wielu już miesięcy zaledwie wymieniali między sobą nieliczne słowa, widując się, gdy zmuszała ich do tego dworska etykieta. Tego ranka Mahaut siedziała przy stoliku ustawionym przy łóżku i zajadała, kawał po kawałku, pasztet zajęczy, od niego bowiem zwykła zaczynać poranny posiłek.

Podobnie jak Robert starał się udawać wzruszenie i smutek, ona - ledwie go ujrzawszy - udawała swobodę i obojętność.

- O! mój bratanku, już na nogach od świtu. Wpadasz jak burza! Po co ten pośpiech?

- Pani stryjno - wykrzyknął Robert - wszystko stracone!

Nie przerywając posiłku Mahaut spokojnie zwilżyła sobie gardło pełnym kubkiem ulubionego wina z Arbois o pięknej barwie rubinu.

- Coście stracili, Robercie? Przegraliście nowy proces? - zapytała.

- Moja stryjno, przysięgam, że nie czas na przycinki. Nie można żartować z nieszczęść, które spadły na nasz ród.

- Jakież nieszczęście jednego z nas może być nieszczęściem drugiego? - rzekła z niezachwianym cynizmem Mahaut.

- Moja stryjno, jesteśmy w ręku króla.

W spojrzeniu Mahaut zabłysł niepokój. Zapytywała siebie, jaką mógł zastawić pułapkę i co w ogóle oznacza cała ta przedmowa. Zwykłym sobie ruchem podkasła rękawy na mięsistych i tłustych rękach. Później uderzyła dłonią w stół i zawołała:

- Thierry!

- Mogę rozmawiać wyłącznie z wami! - wykrzyknął Robert. - To, o czym mam was powiadomić, dotyczy naszego honoru.

- Ba! Możesz wszystko mówić w obecności mego kanclerza.

Nie ufała mu, chciała mieć świadka.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, ona czujna, on rozkoszując się komedią, którą odgrywał: „Zwołuj wszystkich - myślał - zwołuj. Niech każdy posłyszycy”.

Osobliwy był widok, jak obserwują się nawzajem, jak się mierzą i ścierają te dwie istoty mające tyle wspólnych cech, te dwa byki tego samego gatunku i tej samej krwi, które tak bardzo były do siebie podobne i tak bardzo się nienawidziły.

Drzwi otworzyły się i pojawił się Thierry d'Hirson. Był kanonikiem kapituły przy katedrze w Arras, kanclerzem Mahaut, a po trosze także jej kochankiem. Ten mały i nadęty człowieczek, o twarzy okrągłej i spiczastym białym nosie, posiadał dużo pewności siebie i tupetu.

Powitał Roberta i rzekł, patrząc na niego spod powiek, co zmuszało go do silnego odchylenia głowy w tył:

- Rzadka to rzecz wasza wizyta, Dostojny Panie.

- Zdaje się, mój bratanek - powiedziała Mahaut - ma nam oznajmić o wielkim nieszczęściu.

- Niestety! - rzekł Robert opadając na wielkie krzesło.

Milczał. Mahaut zaczęła zdradzać niecierpliwość.

- Różniliśmy się nieraz zdaniem, moja stryjno... - podjął.

- Dużo więcej, mój bratanku, mieliśmy paskudne spory, które nie skończyły się pomyślnie dla was.

- Zapewne, zapewne... i Bóg mi świadkiem, że życzyłem wam wszystkiego najgorszego.

Stosował swój ulubiony chwyt, rubaszną szczerość łączył z wyznaniem złych intencji, aby ukryć broń, którą trzymał w dłoni.

- Lecz nigdy bym wam tego nie życzył - ciągnął. - Jak wiecie, jestem prawym rycerzem i twardo bronię honoru.

- O co w końcu chodzi? Mów wreszcie! - krzyknęła Mahaut.

- Waszym córkom, a moim kuzynkom udowodniono cudzołóstwo, król kazał je zaarrestować, a razem z nimi Małgorzatę.

Mahaut na razie nie odczuła ciosu. Nie wierzyła.

- Kto ci opowiedział tę bajkę?

- Ja sam, stryjno. Cały dwór w Maubuisson już o tym wie. Stało się to późnym wieczorem.

Sprawiało mu przyjemność grać na nerwach Mahaut, sącząc kropla po kropli wiadomości, a przynajmniej to, co chciał jej powiedzieć.

- Czy się przyznały? - zapytał Thierry d'Hirson, wciąż spoglądając na niego spod powiek.

- Nie wiem - odparł Robert. - Ale młodzi d'Aunayowie w tej chwili zeznają w ich sprawie i są w rękach waszego przyjaciela Nogareta.

- Mój przyjaciel Nogaret... - powtórzył powoli Thierry d'Hirson. - Choćby były niewinne, z rąk jego wyjdą czarniejsze niż smoła.

- Stryjno - podjął Robert - pędziłem w czarną noc dziesięć mil z Pontoise do Paryża, żeby was zawiadomić, bo nikt o tym nie pomyślał. Czy jeszcze sądzicie, że przygnały mnie do was nieżyczliwe uczucia?

Mahaut przez chwilę obserwowała bratanka i pod wpływem tragicznej sytuacji, w której się znalazła, pomyślała: „Być może niekiedy jest on zdolny do dobrych odruchów”.

Później szorstkim głosem spytała:

- Chcesz jeść?

Z tych dwóch słów Robert wywnioskował, że ugodził ją w samo serce.

Chwycił ze stołu zimnego bażanta, rozerwał palcami na pół i począł gryźć. Nagle spostrzegł, że jego stryjna mieni się czerwienią. Najpierw górna część gorsu, ponad suknią bramowaną gronostajem, oblała się szkarłatem, później szyja, następnie dół twarzy. Widać było, jak krew zalewa jej całą twarz, dosięga czoła, barwi je karmazynem. Hrabina Mahaut podniosła dłoń do piersi.

„Dopiąłem swego - pomyślał Robert. - Zdycha z tego. Już zaraz zdechnie”.

Niebawem rozczarował się, bo hrabina wyprostowała się, gwałtownym ruchem zmiotła ze stołu pasztet zajęczy, srebrne kubki i talerze, które z hałasem upadły na podłogę.

- Dziwki! - wrzasnęła. - Po tym wszystkim, co dla nich zrobiłam, po tym jak ukartowałam małżeństwa... Dać się zdybać jak ladacznice! Dobrze! Niech wszystko stracą! Niech je zamkną! Niech wbiją na pal, niech powieszają!

Kanonik kanclerz nie drgnął. Był przyzwyczajony do ataków furii hrabiny.

- Widzicie, i ja to samo właśnie myślałem - mówił Robert z pełnymi ustami. - Tak wam się odwdzięczają za wasze starania...

- Muszę zaraz jechać do Pontoise - nie słysząc jego słów ciągnęła Mahaut. - Muszę je zobaczyć i podszeptać, co mają zeznawać.

- Wątpię, moja stryjno, czy to wam się uda. Są pod strażą i nikt nie może...

- Więc powiem królowi. Beatrycze! Beatrycze! - zawołała.

Uniosła się zasłona i bez pośpiechu weszła wysoka dwudziestoletnia dziewczyna, smagła, o krągłych, jędrnych piersiach, wypukłych biodrach i długich nogach. Robert, gdy tylko ją zobaczył, uczuł, że ma na nią apetyt.

- Beatrycze, wszystko słyszałaś, prawda?

- Tak... Pani... - odpowiedziała młoda dziewczyna trochę drwiącym głosem i przeciągając słowa. - Byłam za drzwiami... jak zazwyczaj...

Ta sama osobliwa powolność głosu i ruchów cechowała również jej chód

i spojrzenie. Sprawiała wrażenie falistej miękkości i niezwykłego spokoju, ale spod długich, czarnych rzęs lśniła w jej oczach ironia. Niewątpliwie cieszyła się cudzym nieszczęściem, cudzymi sporami i tragedią.

- Oto bratanica Thierry'ego - wskazując ją Robertowi rzekła Mahaut. - Mianowałam ją moją pierwszą panną dworu.

Beatrycze d'Hirson spoglądała na Roberta d'Artois z tajonym bezwstydem. Wyraźnie była zaciekawiona, jak wygląda ten olbrzym, o którym słyszała tyle złego.

- Beatrycze - podjęła Mahaut - każ przygotować lektykę i osiodłać sześć koni. Jedziemy do Pontoise.

Beatrycze jakby nic nie słysząc patrzyła dalej Robertowi w oczy. Ta śliczna dziewczyna miała w sobie coś drażniącego i niepokojącego. Od pierwszego wejrzenia nawiązywała z mężczyznami bliski, wprost intymny kontakt, jakby nie zamierzała stawiać im oporu. A jednocześnie patrząc na nią musieli rozważać, czy była zupełną idiotką, czy też spokojnie z nich drwiła.

„Piękna szelma... chętnie bym się z nią pobawił cały wieczór” - pomyślał Robert, kiedy wychodziła bez pośpiechu.

Z bażanta została tylko kość i Robert rzucił ją w ogień. Teraz chciało mu się pić. Wziął z kredensu kubek, którego używała już Mahaut, i wlał w gardło potężny łyk.

Hrabina chodziła tam i z powrotem zakasując rękawy.

- Nie pozostawię was dziś samej, moja stryjno - rzekł d'Artois. - Pojadę z wami. To obowiązek rodzinny.

Mahaut, wciąż jeszcze nieufna, podniosła na niego oczy. Wreszcie zdecydowała się podać mu rękę.

- Często mi szkodziłeś, Robercie, i jestem pewna, że będziesz mi jeszcze szkodził. Ale muszę przyznać, że dziś zachowujesz się jak porządny chłopiec.





IX

Krew królów

Świt z wolna przenikał do wąskiej i długiej piwnicy w zamku Pontoise, gdzie Nogaret przed chwilą przesłuchiwał braci d'Aunay. Zapiał jeden kogut, później drugi i chmara wróbli przeleciała już koło okienka, które otwarto, aby odświeżyć powietrze. Pochodnia, przytwierdzona do ściany, skwierczała dorzucając gryzący swąd do woni skatowanych ciał. Wilhelm de Nogaret rzekł zmęczonym głosem:

- Pochodnia.

Jeden z oprawców oderwał się od ściany, o którą oparł się odpoczywając, poszedł do kąta piwnicy i wziął nową pochodnię. Zapalił ją od ogniska pod trójnogiem, gdzie czerwieniły się żelazne, teraz już zbędne narzędzia tortur. Potem zdjął z podpórki zużytą pochodnię, zgasił ją i zastąpił nową. Następnie powrócił na swoje miejsce koło towarzysza. Obaj oprawcy mieli oczy ze zmęczenia podkrążone czerwonymi obwódkami. Ich zbroczone krwią ręce, muskularne i włochate, zwisały wzdłuż skórzanych fartuchów. Cuchnęli.

Nogaret wstał ze stołka, na którym siedział podczas przesłuchiwania; jego chuda sylwetka podwoiła się o cień drgający na szarawych kamieniach.

Z głębi piwnicy dochodził zdyszany, przerywany łkaniem oddech. Bracia d'Aunay jęczeli zgodnym głosem.

Nogaret pochylił się nad nimi. Obie twarze dziwnie były do siebie podobne. Skóra pokryta wilgotnymi smugami miała ten sam szary kolor, a zlepione potem i krwią włosy uwydatniały kształt czaszki. Drgawki towarzyszyły nieustającej skardze, która wydobywała się z poranionych ust.

Kiedyś Gautier i Filip d'Aunay byli beztroskimi dziećmi, potem szczęśliwymi młodzieńcami. Żyli wedle swych upodobań, zaspokajali zachcianki, ambicje i próżność. Jak wszystkich chłopców z ich stanu, ćwiczono ich we władaniu bronią; miewali tylko drobne lub wyimaginowane dolegliwości. Jeszcze wczoraj należeli do królewskiej świty, wszystkie ich nadzieje zdawały się uzasadnione. Wystarczyła jedna noc i stali się naraz śmiertelnie ranioną zwierzyną, a jeśli mogli jeszcze czegoś pragnąć, to tylko unicestwienia.

Nogaret patrzył przez chwilę na obu młodzieńców i nawet ślad litości, nawet ślad niesmaku nie pojawił się na jego twarzy. Wyprostował się. Nie dosięgały go cudze cierpienia, cudza krew, obelgi ofiar, ich nienawiść lub rozpacz. Ta nieczułość była wrodzoną cechą jego charakteru, pomagała mu służyć najwyższym interesom królestwa. Miał powołanie do służby dobru publicznemu, jak inni mają powołanie do miłości.

Powołanie to szlachetna nazwa namiętności. Ten człowiek z ołowiu i

żelaza nie znał ani wątpliwości, ani granic, gdy chodziło o zadośćuczynienie racji Stanu. Jednostki nie liczyły się w jego oczach, on sam zaledwie się w nich liczył.

W historii istnieje wciąż odradzające się plemię fanatyków społecznego ładu. Oddani są oni całkowicie temu abstrakcyjnemu i absolutnemu bóstwu i życie jednostki nie ma dla nich żadnej wartości, jeśli narusza dogmat ustalonego porządku. Można by rzec, że zapomnieli, iż zbiorowość, której służą, składa się z jednostek.

Nogaret torturując braci d'Aunay nie słyszał ich skarg, po prostu eliminował przyczyny społecznego nieładu.

- Templariusze byli twardsi - powiedział tylko.

Na dodatek miał do pomocy tylko miejscowych oprawców, a nie fachowców z paryskiej inkwizycji.

Czuł ciężar w krzyżu, ból rozdzierał mu plecy. „To chłód” - pomyślał.

Kazał zamknąć okienka i zbliżył się do trójnogu, gdzie jeszcze tlił się żar. Wyciągnął dłonie, potarł jedną o drugą, później pomrukując rozmasował sobie krzyż.

Obaj oprawcy, wciąż oparci o ścianę, zdawali się drzemać.

Z wąskiego stołu, przy którym sam pisał przez całą noc - król nie życzył sobie, aby towarzyszył mu sekretarz lub pisarz - zebrał arkusze z przesłuchania i włożył do welinowej teczki, następnie z westchnieniem skierował się do drzwi i wyszedł.

Dopiero wtedy oprawcy podeszli do Gautiera i Filipa d'Aunayów i usiłowali postawić ich na nogi. Ponieważ nie zdołali tego zrobić, wzięli na ręce - jak bierze się chore dzieci - te ciała, które torturowali, i zanieśli do sąsiedniej ciemnicy.

Stary zamek w Pontoise służył już tylko za pomieszczenie dla okręgowego dowództwa wojskowego, a także za więzienie, i był oddalony o jakieś pół mili od rezydencji królewskiej w Maubuisson. Nogaret przebył tę odległość piechotą, eskortowany przez dwóch miejskich sierżantów. Szedł szybko, rześkie poranne powietrze przesycone było zapachem wilgotnego lasu.

Nie odpowiadając na pozdrowienia łuczników, minął podwórzec w Maubuisson i wszedł do zamku, nie zwracając po drodze uwagi ani na szepty, ani na pogrzebowe miny szambelanów i dworzan w kordegardzie.

- Król? - zażądał.

Pośpieszył giermek i zaprowadził go do królewskich apartamentów. Strażnik pieczęci znalazł się oko w oko z całą królewską rodziną.

Filip Piękny siedział z łokciem opartym o poręcz krzesła podpierając dłonią podbródek. Pod jego oczami zarysowały się niebieskie worki. Koło niego siedziała Izabela; złote warkocze, ujmujące jej twarz jak w ramkę, podkreślały surowość rysów. To ona była sprawczynią nieszczęścia. To ona w oczach obecnych była współodpowiedzialna za tragedię i na skutek tych szczególnych więzów, jakie łączą donosiciela z przestępcą, czuła się prawie oskarżona.

Dostojny Pan de Valois stukał nerwowo palcami o brzeg stołu i kiwał głową, jakby go coś uwierało przy kołnierzu. Obecny był również drugi brat króla - właściwie jego przyrodni brat - Dostojny Pan Ludwik

Francuski, hrabia d'Evreux, człowiek skromnie ubrany i opanowany.

Wreszcie, połączeni wspólnym nieszczęściem, znajdowali się tu głównie zainteresowani, trzech królewscy synowie, trzech małżonkowie, na których spadły nieszczęście i śmieszność: Ludwik Nawarry wstrząsany nerwowym kaszlem; Filip de Poitiers zeszywniały, usiłujący zachować wymuszony spokój, wreszcie Karol, któremu pierwszy w życiu cios zmienił nie do poznania piękne młodzieńcze rysy.

- Sprawa udowodniona, Nogaret? - zapytał Filip Piękny.

- Niestety, Sire, sprawa haniebna, okropna i udowodniona.

- Czytajcie.

Nogaret otworzył welinową teczkę i zaczął czytać:

„My, Wilhelm de Nogaret, z łaski naszego ukochanego Pana, króla Filipa Czwartego, rycerz, sekretarz generalny królestwa i strażnik Pieczęci Francji, na rozkaz tegoż w dniu dwudziestego piątego kwietnia tysiąc trzysta czternastego roku, między północą a prymą, w zamku Pontoise, przesłuchaliśmy we wiadomej sprawie, w obecności oprawców z pomienionego miasta, panów Gautiera d'Aunay, starszego, giermka²² Dostojnego Pana Filipa, hrabiego de Poitiers, oraz Filipa d'Aunay, giermka Dostojnego Pana Karola, hrabiego de Valois...”

Nogaret lubił dobrą robotę. Z pewnością obaj d'Aunayowie najpierw zaprzeczali, ale strażnik pieczęci miał swoistą metodę prowadzenia śledztwa, wobec której nie mogły długo ostać się rycerskie skrupuły. Uzyskał od młodzieńców pełne zeznania z podaniem wszystkich obciążających okoliczności: czasu rozpoczęcia romansów księżniczek, dat spotkań, opisów nocy w wieży Nesle, nazwisk współwinnych sług. Wszystko, co było dla winowajców namiętnością, dreszczem i rozkoszą, zostało wyliczone, opisane ze szczegółami, rozbite na minuty przesłuchania.

Izabela ledwie śmiała spojrzeć na braci, a ci wahali się, nim na siebie popatrzyli. Przez cztery lata byli okłamywani, zdradzani i wystrychnięci na dudków; każde słowo Nogareta pogłębiało nieszczęście i hańbę.

Wyliczenie dat postawiło przed Ludwikiem Nawarry straszliwy problem: „W ciągu pierwszych sześciu lat naszego małżeństwa nie mieliśmy dziecka. Urodziło się nam dopiero wtedy, gdy ten d'Aunay wszedł do łoża Małgorzaty... Więc mała Joanna...” I już nic nie słyszał, bo w szumie krwi tętniącej mu w uszach powtarzał sobie: „Moja córka nie jest moją...”

Hrabia de Poitiers starał się nie uronić ani słówka z czytanego protokołu. Nogaret nie zdołał wymusić na braciach d'Aunay zeznania, że hrabina de Poitiers miała kochanka, ani też wyrwać im z ust jego nazwiska. Po tym wszystkim, co zeznali, można było więc sądzić z całkowitą pewnością, że podaliby jego nazwisko, gdyby je znali, i wydaliby tego kochanka, gdyby istniał. Nie ulegało wątpliwości, że hrabina Joanna była współwinną i odegrała dość nikczemną rolę... Filip de Poitiers rozmyślał.

„Zważywszy, że sprawa została dostatecznie wyjaśniona, a głos więźniów stał się niezrozumiały, postanowiliśmy zamknąć śledztwo, aby złożyć sprawozdanie królowi, naszemu Panu.”

Strażnik pieczęci skończył. Złożył kartki i czekał.

Po kilku minutach Filip Piękny uniosł podbródek znad dłoni.

- Panie Wilhelmie - rzekł - dokładnie poinformowaliście nas o bolesnych sprawach. Kiedy już osądzimy, zniszczycie to...

Wskazał na welinową teczkę.

- ...aby ślad pozostał tylko na dnie naszej pamięci.

Nogaret skłonił się i wyszedł.

Zapadła długa cisza. Nagle ktoś wykrzyknął:

- Nie!

To wstał książę Karol i powtarzał: „Nie”, jakby nie mógł przyjąć prawdy do wiadomości. Ręce mu drżały, policzki pokryły się wypiekami, nie mógł powstrzymać łez.

- Templariusze... - rzekł z błędnym wzrokiem.

- Co mówicie, Karolu? - zapytał Filip Piękny.

Nie lubił, aby mu ktoś przypominał tę nazbyt świeżą sprawę. Jak każdemu z tu obecnych, z wyjątkiem Izabeli, brzmiał mu jeszcze w uszach głos wielkiego mistrza: „Przekleńci aż do trzynastego pokolenia waszego rodu...”

Lecz Karol nie myślał o przekleństwie.

- Tej nocy - wyjąkał - tej nocy oni byli razem.

- Karolu - rzekł król - byliście bardzo słabym małżonkiem, udawajcie przynajmniej mocnego księcia.

Były to jedyne słowa pociechy, jakie młody człowiek otrzymał od ojca.

Dostojny Pan de Valois nic jeszcze nie powiedział, a tak długie milczenie było dla niego męczarnią. Skorzystał z odpowiedniej chwili i wybuchnął:

- Na rany Boskie! - wykrzyknął. - Dziwne rzeczy dzieją się w królestwie, i to nawet pod dachem króla! Ginie rycerstwo, Sire, mój bracie, a z nim razem cały honor...

Po czym zapaścił się w gwałtowną krytykę, w której mętny patos był podszyty sporą ilością perfidii.

Dla Valois wszystko było logiczne. Doradcy króla, z Marignym na czele, chcieli obalić zakony rycerskie, ale za jednym zamachem waliła się w gruzy prawdziwa moralność. Legiści „urodzeni byle jak” wynajdywali nie wiedzieć jakie nowe prawa, wywleczone z rzymskich urzędów, aby zastąpić nimi dobre, stare prawo feudalne. Rezultat nie dał na siebie czekać. Za czasów wypraw krzyżowych niewiasty przez długie lata były osamotnione; umiały zachować swą cześć, a żaden wasal nie odważył się ich zbezcześcić. Teraz wszystko stało się hańbą i nierządem. Jakże to? Dwaj giermkowie...

- Jeden z tych giermków należy do waszego dworu, mój bracie - rzekł oschle król.

- Tak jak drugi, mój bracie, jest starszym giermkim waszego syna - odparł Valois, wskazując na hrabiego de Poitiers.

Ten rozłożył długie ręce.

- Każdy z nas może zostać wyprowadzony w pole przez osobę, której zaufał.

- Otóż właśnie to! - wykrzyknął Valois, który ze wszystkiego wyciągał wnioski. - Otóż to, nie może wasal popełnić gorszej zbrodni niż porwać się

na uwiedzenie żony swego suzerena i pogwałcenie jej czci. D'Aunayowie musieliby...

- Uważajcie ich za zmarłych, mój bracie - przerwał król.

Wykonał ręką niedbały, a jednocześnie stanowczy gest, który był bardziej wymowny niż najdłuższe uzasadnienie wyroku, po czym ciągnął dalej:

- Musimy teraz rozstrzygnąć los wiarołomnych księżniczek... Poczekajcie, mój bracie, aż wpierw zapytam moich synów... Mówcie, Ludwiku.

W chwili, gdy Ludwik Nawarry otwierał usta, schwycił go atak kaszlu, a dwie czerwone plamy wystąpiły mu na policzki. Przeczekano, aż przestanie się krztusić. Gdy wreszcie odzyskał oddech, wykrzyknął:

- Wkrótce powiedzą, że moja córka jest bękartem. Oto co powiedzą! Bękart!

- Jeśli wy pierwsi to głosicie, Ludwiku - odrzekł król - z pewnością inni nie omieszkają tego powtórzyć.

- Rzeczywiście... - rzekł Karol de Valois, który jeszcze nie pomyślał o tej ewentualności, a w jego wypukłych, niebieskich oczach zalśnił osobliwy błysk.

- A czemuż by tego nie głosić, jeżeli to prawda? - podjął Ludwik tracąc nad sobą panowanie.

- Zamilczcie, Ludwiku... - rzekł król Francji uderzając w poręcz swego krzesła. - Raczcie tylko doradzić, jaką karę należy zastosować wobec waszej małżonki.

- Odebrać jej życie - odpowiedział Kłótniwy. - Jej i tamtym dwóm. Wszystkim trzem. Śmierć, śmierć, śmierć!

Powtarzał „śmierć” przez zaciśnięte zęby, a jego ręka ścinała w powietrzu głowy.

Wtedy Filip de Poitiers, poprosiwszy spojrzeniem króla o głos, powiedział:

- Ból was oszałamia, Ludwiku. Joanna nie ma na sumieniu tak wielkiego grzechu jak Małgorzata i Blanka. Z pewnością jest bardzo winna, gdyż popierała ich grzeszne skłonności i tym się wielce zhańbiła. Ale pan de Nogaret nie zdobył dowodu, jakoby popełniła wiarołomstwo.

- Więc każcie mu ją katować, a zobaczycie, czy się nie przyzna - krzyknął Ludwik. - Pomagała splamić honor mój i Karola. Jeśli nas miłujecie, zastosujcie tę samą miarę do niej, co do obu tamtych zdrajczyń.

Filip de Poitiers odczekał chwilę.

- Drogi mi jest wasz honor, Ludwiku, lecz Franche-Comté nie mniej.

Obecni spojrzeli po sobie, a Filip uzasadnił:

- Macie, Ludwiku, na własność Nawarrę, którą dziedziczycie po naszej matce. Już jesteście królem, a mieć będziecie, oby Bóg dał jak najpóźniej, Francję. Ja posiadam tylko Poitiers, którym mnie raczył obdarzyć nasz ojciec, i nie jestem nawet parem Francji. Ale dzięki małżeństwu z Joanną jestem hrabią-palatynem Burgundii i panem na Salins, gdzie kopalnie soli dostarczają mi lwięj części moich dochodów. Niech więc Joannę zamknie się w klasztorze, dopóki czas wszystkiego nie zatrze, lub na zawsze, jeżeli tego wymaga wasz honor, oto co proponuję; niech się jednak nie nastaje na

jej życie.

Dostojny Pan Ludwik d'Evreux, który dotychczas milczał, poparł Filipa.

- Mój bratanek ma rację tak wobec Boga, jak i królestwa - rzekł wzruszonym głosem, ale bez emfazy. - Śmierć jest sprawą poważną. Dręczy nas myśl o naszej własnej śmierci i nie powinniśmy w gniewie skazywać na nią kogokolwiek:

Ludwik Nawarry spojrział na niego spođe łba.

W rodzinie - i to od dawna - istniały dwa klany. Valois cieszył się sympatią swoich bratanków Ludwika i Karola, którzy mieli słabe charaktery, ulegali wpływowi i z otwartymi ustami podziwiali jego gadatliwość, pełne przygód życie i utracone trony. Natomiast Filip de Poitiers przypominał swego stryja d'Evreux, człowieka spokojnego, prawego, rozważnego, który nie zawracał głowy współczesnym własnymi ambicjami, ale całkowicie zadowalał się swymi normandzkimi dobrami, którymi rozsądnie zarządzał.

Obecni nie zdziwili się więc widząc, że popiera ulubionego bratanka. Znali ich duchowe powinowactwo.

Bardziej nieoczekiwana była postawa Valois, który po wygłoszeniu namiętnej mowy pozostawił Ludwika bez poparcia, a sam także wypowiedział się przeciw karze śmierci. Klasztor wydawał mu się karą zbyt łagodną dla winowajczyń, ale więzienie, twierdza dożywotnia - podkreślił z naciskiem to ostatnie słowo - oto co doradzał.

Taka łagodność nie była wyrazem wrodzonych skłonności tytularnego eks-cesarza Konstantynopola. Mogła wynikać tylko z kalkulacji. Obrachunku tego dokonał niezwłocznie, gdy Ludwik Nawarry wypowiedział słowo - bękart. W istocie...

W istocie, jaki był obecny stan następstwa tronu? Ludwik Nawarry nie miał żadnego spadkobiercy poza małą Joanną, na której przed chwilą zaciążyło poważne podejrzenie nieślubnego pochodzenia, co mogło stanowić przeszkodę do ewentualnego wstąpienia na tron. Karol nie miał potomstwa, żona jego Blanka wydała na świat tylko dzieci martwo urodzone. Filip de Poitiers miał trzy córki, ale skandal mógłby ewentualnie i na nie rzutować...

Gdyby więc skazano na śmierć obwinione małżonki, trzech księżęta pośpieszyliby pojąc żony i mieliby wszelkie dane na nowe potomstwo; natomiast gdyby skazano ich małżonki na dożywotnie więzienie, w dalszym ciągu związani ślubem nie będą mogli zawrzeć nowego małżeństwa i tym samym skutecznie zapewnić ciągłości dynastii.

Karol de Valois był księciem o bujnej wyobraźni. Przypominał dowódców, którzy wyruszając na wojnę, marzą o tym, że może zginą wszyscy wyżsi od nich rangą oficerowie, i widzą już samych siebie na czele armii. Brat króla, patrząc na zapadłą pierś swego bratanka Ludwika Kłótliwego, na chudego bratanka Filipa de Poitiers, myślał, że choroba może dokonać nieoczekiwanego spustoszenia. Zdarzały się również wypadki na polowaniu, włócznie łamały się na turniejach, wywracały się konie i nierzadko stryjowie przeżywali bratanków...

- Karolu! - rzekł człowiek o nieruchomych powiekach, który na razie był jedynym i prawdziwym królem Francji.

Valois drgnął, jakby obawiał się, że król odgadł jego myśli, lecz Filip Piękny zwracał się nie do niego, ale do swego trzeciego syna. Młody książę odjął ręce od twarzy. Płakał.

- Blanka! Blanka! Czy to możliwe, mój ojczy? Jakżeż mogła?... - lamentował. - Mówiła, że tak bardzo mnie kocha. Tak piękne tego dawała dowody...

Izabela nie powstrzymała odruchu zniecierpliwienia i pogardy. „Och, ta miłość mężczyzn do ciała, które posiadali... - pomyślała. - Gotowi uwierzyć w kłamstwo, byle tylko mieć łono, którego pożądam!”

- Karolu!... - powiedział z naciskiem król, jakby mówił do przygłupka. - Co radzicie zrobić z waszą małżonką?

- Nie wiem, mój ojczy, nie wiem. Chcę się ukryć, chcę wyjechać, wstąpić do klasztoru.

Niebawem sam poprosi o karę, ponieważ zdradziła go żona. Filip Piękny pojął, że nic z niego nie wydobędzie. Patrzył na swoje dzieci, jakby je widział po raz pierwszy. Rozważał przywilej pierworództwa i mówił sobie, że natura niekiedy źle służy tronem. Ileż głupstw może popełnić na czele królestwa ten nierozważny, porywczy, okrutny Ludwik, jego najstarszy syn? Jakim będzie dla niego oparciem najmłodszy, który załamuje się pod pierwszym ciosem? Najbardziej uzdolniony był na pewno Filip de Poitiers, lecz oczywiście było, że Ludwik nie będzie go słuchał.

- Twoja rada, Izabelo? - cicho zapytał król córkę, pochylając się ku niej.

- Kobieta, która upadła - odpowiedziała - nie może rodzić dzieci królów. A wyrok powinien być podany do wiadomości całego ludu, aby wiadome było, iż żona lub córka króla jest surowiej ukarana za zbrodnię niż żona niewolnego.

- Słuszna myśl - powiedział król.

Zaiste, ze wszystkich jego dzieci ona byłaby najlepszym monarchą.

- Wyrok zostanie wydany przed nieszporami - rzekł powstając.

I oddalił się, aby jak zawsze naradzić się co do ostatecznej decyzji z Marignym i Nogaretem.





X

Sąd

Jadąc w lektyce z Paryża do Pontoise, hrabina Mahaut szukała argumentów zdolnych ułagodzić gniew króla, lecz trudno jej było ułożyć plan działania. Za wiele miało ją myśli, za wiele obaw, a również za wiele gniewu na szaleństwo córek, na głupotę ich mężów, na lekkomyślność kochanków, na wszystkich, którzy przez brak ostrożności, w zaślepieniu czy też w pogoni za uciechą cielesną narażali na ruinę pracowicie wzniesiony gmach jej potęgi. Co pocznie Mahaut, matka odtrąconych księżniczek? Była gotowa oczernić ze wszystkich sił królową Nawarry, zrzucić na nią całą winę. Małgorzata nie była jej córką. Własne dzieci Mahaut mogłaby obronić, tłumacząc je słabością, złym przykładem...

Robert d'Artois wiódł szybko orszak, jakby chciał udowodnić swą gorliwość. Cieszył się widząc, jak podskakuje na siodle kanonik-kanclerz, a zwłaszcza słysząc jęki stryjny. Za każdym razem kiedy z lektyki, wstrząsanej przez muły, wydobywała się skarga, Robert niby przypadkowo przyspieszał biegu konia. Nic więc dziwnego, że hrabina sapnęła z ulgą, kiedy nad linią drzew zarysowały się wieżyczki Maubuisson.

Niebawem orszak wjechał na zamkowy dziedziniec. Panowała tu głęboka cisza, przerywana tylko krokiem łuczników.

Mahaut wysiadła z lektyki i zapytała dowódcę warty, gdzie jest król.

- Sprawuję sąd w kapitulарzu, Dostojna Pani.

Mahaut skierowała się do opactwa, a w ślad za nią postępowali

Robert, Thierry d'Hirson i Beatrycze. Mimo zmęczenia szła szybkim, pewnym krokiem.

W tym dniu kapitulарz wyglądał niezwykle. Pod chłodnym sklepieniem, które osłaniało zazwyczaj zgromadzenia zakonnic, tkwił nieruchomo przed swoim królem cały dwór.

Gdy weszła hrabina Mahaut, kilka rzędów głów odwróciło się i przebiegł szmer. Jakiś głos, jak się okazało należący do Nogareta, przerwał czytanie.

Mahaut ujrzała króla nieruchomego, w koronie na głowie, z berłem w dłoni, z szeroko otwartymi oczami.

Wydawało się, że Filip Piękny, pełniąc straszliwą czynność sprawowania sądu, oderwał się od świata doczesnego i zdawał się raczej porozumiewać ze światem bardziej rozległym niż świat widzialny.

U jego boku zasiadali: królowa Izabela, Marigny, Karol de Valois, Ludwik d'Evreux, a także trzech książęta i kilkunastu wielkich baronów. U stóp wzniesienia trzech mnichów na klęczkach pochylało ku płytom ogolone czaszki. Nieco na uboczu, skrzyżowawszy ręce na rękojeści miecza, stał Alain de Pareilles.

„Chwała Bogu - pomyślała Mahaut - przybywam na czas. Sądzi się jakąś sprawę o czary lub sodomie.”

Zamierzała wejść na estradę, gdzie przysługiwało jej miejsce jako parowi Francji. Nagle uczuła, że uginają się pod nią nogi. Jeden z klęczących grzeszników podniósł głowę i Mahaut poznała własną córkę Blanę. Trzy księżniczki były ogolone i przyodziane w zgrzebna, brunatną wełnę. Mahaut zachwiała się z głuchym okrzykiem, jakby ktoś ją uderzył w brzuch. Odruchowo wczepiła się w ramię bratanka, bo to ramię znajdowało się najbliżej.

- Za późno, moja stryjno. Niestety! Przybywamy za późno - mówił Robert d'Artois, w pełni rozkoszując się zemstą.

Król dał znać strażnikowi pieczęci, który podjął czytanie wyroku. „...ponieważ pomienione zeznania dowiodły cudzołóstwa wyżej wymienionym damom: Małgorzacie, małżonce Dostojnego Pana króla Nawarry, i Blance, małżonce Dostojnego Pana Karola, zostaną one uwięzione w twierdzy Château-Gaillard na resztę dni, których spodoba się Bogu im użyzyć”.

- Na całe życie - szepnęła Mahaut - skazane na całe życie?

„Także dama Joanna, hrabina palatynka Burgundii i małżonka Dostojnego Pana de Poitiers - biorąc pod uwagę, iż nie udowodniono jej wiarołomstwa oraz że ta zbrodnia nie może jej być imputowana, ponieważ jednak ustalono przestępcze sprzyjanie winnym - zostanie uwięziona w wieży zamku Dourdan na tak długo, jak będzie niezbędne dla jej skruchy i dopóki spodoba się królowi”.

Zapadła cisza, podczas której Mahaut myślała patrząc na Nogareta: „To on, ten pies, tego dokonał ze swą furią szpiegowania, donosicielstwa i katowania. Zapłaci mi za to. Zapłaci mi własną skórą”. Ale strażnik pieczęci nie zakończył jeszcze czytania.

„Również panowie Gautier i Filip d'Aunayowie, dopuściwszy się przestępstwa na honorze i zerwania więzów feudalnych przez popełnienie cudzołóstwa z osobami królewskiej krwi, będą łamani kołem, obdarci żywcem ze skóry, wytrzebieni, ścięci i powieszani na publicznej szubienicy w Pontoise rankiem następnym po dniu dzisiejszym. Tak wielce mądry, wszechwładny i umiłowany Król, Nasz Pan, osądził.”

Ramiona księżniczek zadrżały podczas wyliczania mąk, które oczekują ich kochanków. Nogaret zwinął pergamin, a król powstał. Sala zaczęła się opróżniać, a przeciągłe szepty zaszemrały w tych murach nawykłych do modlitwy. Hrabina Mahaut spostrzegła, że wszyscy się od niej odsuwają i unikają jej spojrzenia. Chciała podejść do córek, lecz Alain de Pareilles zastąpił jej drogę.

- Nie, Pani - rzekł. - Król zezwolił tylko swoim synom wysłuchać słów pożegnania i skruchy ich małżonek, gdyby sobie tego życzyli.

Chciała natychmiast zwrócić się do króla, ale ten już wyszedł, a za nim Ludwik Nawarry i Filip de Poitiers.

Z trzech małżonków pozostał tylko Karol. Zbliżył się do Blanki.

- Ja nie wiedziałam... Ja nie chciałam... Karolu! - mówiła ona wybuchając łkaniem.

Brzytwa pozostawiła na jej łysej głowie czerwone plamy. Mahaut, podtrzymywana przez kanclerza i dwórkę, stała o kilka kroków dalej.

- Matko - wołała Blanka - powiedzcie Karolowi, że ja nie wiedziałam i

niech się nade mną zlituje!

Joanna de Poitiers gładziła rękami lekko odstające uszy, jakby nie zwykła była odczuwać, że są obnażone.

Oparty o filar przy drzwiach, skrzyżowawszy na piersi ręce, stał Robert d'Artois i spoglądał na swoje dzieło.

- Karolu! Karolu! - powtarzała Blanka.

W tym momencie rozległ się twardy głos Izabeli Angielskiej.

- Bez słabości, Karolu. Zachowajcie się jak księżę - rzekła.

Te słowa wywołały atak furii u trzeciej skazanej, Małgorzaty Burgundzkiej.

- Bez słabości, Karolu! Bez litości! - krzyknęła. - Naśladujcie waszą siostrę Izabelę, która nie może zrozumieć porywów miłości. Ona ma w sercu tylko nienawiść i zółć. Gdyby nie ona, nic byście nie wiedzieli. Ale ona mnie nienawidzi, ona was nienawidzi, ona nienawidzi wszystkich.

Izabela zimno patrzyła na Małgorzatę.

- Niech Bóg wam wybaczy wasze zbrodnie - powiedziała.

- Prędeż mi wybaczy moje zbrodnie, niż z ciebie zrobi szczęśliwą kobietę - rzuciła jej Małgorzata.

- Jestem królową - odparła Izabela. - Jeżeli nie mam szczęścia, to mam przynajmniej berło i królestwo, które szanuję.

- A ja, choć nie miałam szczęścia, przynajmniej miałam rozkosz, która jest warta wszystkich koron świata, i niczego nie żałuję.

Wyprostowana, stojąc na wprost swej ukoronowanej diademem szwagierki, Małgorzata z obnażoną czaszką, z twarzą wyniszczoną trwogą i łzami znalazła jeszcze w sobie dość siły, aby ją znieważać, ranić i stanąć w obronie swego ciała.

- Była wiosna - mówiła w pośpiechu, zdyszonym głosem - była miłość mężczyzny, ciepło i siła mężczyzny, radość brania i oddawania się... to wszystko, czego nie znasz i zdychasz, żeby poznać, i czego nigdy nie doświadczysz. Ach, na pewno nie jesteś pociągająca w łóżku, skoro twój mąż woli szukać rozkoszy u chłopców.

Pobladała, niezdolna wyrzec słowa Izabela dała znak Alainowi de Pareilles.

- Nie! - krzyknęła Małgorzata. - Nie masz nic do powiedzenia panu de Pareilles. Ja mu już rozkazywałam, i może znowu pewnego dnia będę mu rozkazywać. Ścierpi i to, że raz jeszcze odejdzie na mój rozkaz.

Odwróciła się i dała znak dowódcy łuczników, że już jest gotowa. Trzy skazane wyszły, przeszły pod eskortą podwórzec i powróciły do komnaty, która im służyła za celę.

Kiedy Alain de Pareilles zamknął za nimi drzwi, Małgorzata pobiegła do łóżka i rzuciła się na nie gryząc prześcieradło.

- Moje włosy, moje piękne włosy - łkała Blanka.

Joanna de Poitiers usiłowała sobie przypomnieć widok baszty w Dourdan.





XI

Każń

Jakże wolno nadchodził świt dla tych, którym noc nie przyniosła ani ukojenia, ani nadziei, ani zapomnienia.

Leżąc obok siebie na wiązce słomy w więzieniu w Pontoise, bracia d'Aunay czekali na śmierć. Na rozkaz strażnika pieczęci opatrzono ich; rany już nie krwawiły, serca biły mocniej, a ich skatowane ciała odzyskały nieco sił, by dotkliwiej odczuli przyobiecane im męki.

W Maubuisson ani skazane księżniczki, ani ich małżonkowie, ani Mahaut, ani nawet sam król nie mogli zasnąć. Nie spała również Izabela, dręczona słowami Małgorzaty.

Natomiast Robert d'Artois, po dobrych dwudziestu milach konnej jazdy, nie zdejmując butów zwałił się na pierwsze z brzegu legowisko w gościnnym pomieszczeniu. Nieco przed prymą Lormet ściągnął go z łóżka, żeby się ucieszył widokiem odjazdu swoich ofiar.

Na podwórzu opactwa stały trzy duże wozy okryte czarnymi płachtami, a w różowej poświacie wczesnego poranka pan Alain de Pareilles ustawił w szeregu sześćdziesięciu jeźdźców w skórzanych kaftanach, kolczugach i żelaznych hełmach; stanowili oni osłonę konwoju, który miał udać się najpierw do Dourdan, a potem do Normandii.

W zamku hrabina Mahaut, z czołem opartym o szybę, patrzyła przez okno; jej szerokimi ramionami wstrząsały łkania.

- Płaczecie... Szlachetna Pani?... - zapytała swym powolnym głosem Beatrycze d'Hirson.

- Może to się zdarzyć także i mnie - odparła szorstko Mahaut.

Następnie widząc, że Beatrycze jest ubrana do wyjścia, w sukni, opończy i kapturze, dorzuciła:

- Wychodzisz?

- Tak, Pani, pójdę przyjrzeć się kaźni... jeśli pozwolicie...

Kiedy Beatrycze przybyła do Pontoise, plac Martroy, gdzie miała odbyć się egzekucja braci d'Aunay, był już wypełniony tłumem. Od świtu napływali tu mieszczanie, chłopci i żołnierze. Właściciele domów znajdujących się przy placu wynajęli za dobrą opłatą frontowe okna, gdzie w kilku rzędach cisnęły się głowy przy głowie.

Obwoływacze miejscy ogłosili w przeddzień na czterech krańcach miasta „...łamani kołem, żywcem obdarci ze skóry, wytrzebieni, ścięci...” Ciekawość i wyobraźnię podniecał fakt, że skazańcy byli młodzi, bogaci i pochodzili ze szlacheckich rodów, a zwłaszcza że ich zbrodnia była jednocześnie wielkim miłosnym skandalem, który wydarzył się w królewskiej rodzinie.

Szafot zbudowano w nocy. Wznosił się na sześć nad ziemię, nad nim

ustawiono poziomo dwa koła oraz dębowy kloc. Z tyłu stała szubienica.

Ci sami oprawcy, którzy torturowali d'Aunayów, teraz już przyodziani w czerwone czapki i szaty, weszli na drabinę wiodącą na pomost. Za nimi wspięli się dwaj pomocnicy, dźwigając czarne kufry zawierające narzędzia. Jeden z katów wprowadził w ruch koła, które zaskrzypiały. Tłum począł się śmiać, jak na widok sztuczki kuglarza. Wymieniano żarty, poszturchiwano się, z rąk do rąk krążył dzban wina, który podano katom. Wypili, a gawiedź przyklasnęła.

Kiedy ukazał się otoczony łucznikami wózek z braćmi d'Aunay, na placu rozległ się wrzask i rósł, w miarę jak coraz wyraźniej widziano skazańców. Ani Gautier, ani Filip nie ruszali się. Byli przywiązani sznurami do podpórek na wózku, inaczej bowiem nie mogliby ustać. Przy pasku, na porwanych gatkach, błyszcząły jałmużniczki.

Towarzyszył im ksiądz, który uprzednio wysłuchał wyjąkanej przez nich spowiedzi oraz ostatniej woli. Wyczerpani, oglupiali, ciężko dysząc, nie zdawali sobie jakby sprawy, co się wokół nich dzieje. Pomocnicy katów wciągnęli ich na pomost i rozebrali.

Tłum, widząc ich nagich w rękach katów, podniecił się i począł wrzeszczeć. Na placu wymieniano grube żarty i sprośne uwagi. Obu dworzan ułożono i przywiązano do kół, twarzą ku niebu. Później przerwano kaźń.

Tak minęły długie minuty. Jeden z katów usiadł na pniu, drugi sprawdzał kciukiem ostrze topora. Tłum niecierpliwił się, niepokoił i zadawał pytania.

Nagle zrozumiano przyczynę oczekiwania. U wylotu głównej ulicy ukazały się trzy wózki z podwiniętymi do połowy czarnymi płachtami. Karząc z najwyższym wyrafinowaniem, Nogaret za zgodą króla rozkazał, aby księżniczki były obecne przy kaźni.

Ciekawość widzów podzieliła się między dwóch skazańców, nagich pod gołym niebem, a księżniczki z królewskiej rodziny, uwięzione i ogolone. Tłum przesuwiał się to tu, to tam, aż łucznicy musieli go powstrzymywać.

Blanka, dostrzegłszy rusztowanie, zemdląła.

Joanna, wczepiona w kratki swego wózka, krzyczała do ludzi:

- Powiedzcie memu małżonkowi, powiedzcie Dostojnemu Panu Filipowi, że jestem niewinna!

Dotychczas trzymała się dzielnie, ale teraz jej odporność osłabła. Gawiedź ze śmiechem wytykała ją palcami jak dzikie zwierzę w klatce. Megiery obrzuciły ją obelgami.

Jedynie Małgorzata Burgundzka miała odwagę patrzeć, a ci, co obserwowali ją z bliska, mogli rozważać, czy nie doznaje przerażającej, obrzydliwej rozkoszy, widząc wystawione na widok publiczny ciało mężczyzny, który ma umrzeć za to, że ją posiadał.

Kiedy kaci podnieśli maczugi, aby połamać kości skazańcom, zawyła: „Filipie!”, a w głosie jej nie było śladu bólu.

Rozległ się trzask i niebo nad braćmi d'Aunay zagasło. Najpierw złamano im nogi i uda, potem kaci obrócili koła o pół obrotu, a maczugi uderzyły w przedramiona i ramiona skazańców. Szprychy i osie odbiły razy i drzewo zatrzeszczało jak kości.

Następnie, stosując kary zgodnie z nakazaną kolejnością, kaci zbrojni w

żelazne narzędzia zaopatrzone w haki zrywali wielkimi strzępami skórę z obu ciał.

Trysnęła krew, ściekając na pomost; jeden z katów musiał otrzeć twarz. Ten rodzaj kary dowodził dostatecznie, że obowiązujący oprawców czerwony kolor odzieży odpowiadał rzeczywistej potrzebie.

„...łamani kołem, żywcem obdarci ze skóry, wytrzebieni, ścięci”. Jeśli w braciach d’Aunay tlił się jeszcze ślad życia, na pewno nie mieli już ani uczucia, ani świadomości.

Fala hysterii ogarnęła gawieź, kiedy kaci z pomocą długich, rzeźnickich noży, które podali im pomocnicy, okaleczyli winnych kochanków. Ludzie tłoczyli się, żeby lepiej zobaczyć. Kobiety krzyczały do swoich mężów:

- Zasługujesz na to samo, opasły rozpustniku!
- Widzisz, co ciebie spotka, jak mnie zrobisz coś takiego!

Kaci rzadko mieli okazję w całej pełni zademonstrować swoje talenty, i to przed tak roznamietnioną widownią. Wymienili spojrzenia i razem, zgodnym ruchem żonglerów, podrzucili w powietrze narzędzia winy.

Jakiś żartowniś wskazując palcem księżniczki wykrzyknął:

- Im trzeba to dać!

Tłum wybuchnął śmiechem.

Zdjęto skazańców z kół i zawleczono pod pień. Dwukrotnie zabłysł topór. Następnie pomocnicy zanieśli pod szubienicę to, co pozostało z Gautiera i Filipa d’Aunayów, z tych dwóch pięknych giermków, co jeszcze przedwczoraj harcowali na drodze do Clermont, dwa połamane, okrwawione ciała bez głów i płci, które unieśli w górę i przywiązali za ramiona do belek szubienicy.

Zaraz potem, na rozkaz Alaina de Pareilles, trzy czarne wozy, otoczone konnymi w żelaznych hełmach, ruszyły w drogę; miejscy sierzanci zaczęli oczyszczać plac.

Tłum odpływał powoli, każdy bowiem chciał przejść jak najbliżej rusztowania i po raz ostatni rzucić na nie okiem. Ludzie rozchodzili się małymi grupkami, wymieniając uwagi; ci szli do swojej kuźni lub jatki, ci do kramiku, ci do ogrodu i wracali spokojnie do codziennej pracy.

W tych wiekach, gdy połowa kobiet umierała w połogu, a dwie trzecie dzieci w kołysce, gdy zaraza siała spustoszenie wśród dorosłych, gdy nauki Kościoła przygotowywały przede wszystkim do pożegnania się z życiem, a dzieła sztuki - obrazy ukrzyżowania, męczeństwa, złożenia do grobu, sądu ostatecznego - wciąż mówiły o zgonie, ludzie tak byli obcy ze śmiercią, że tylko wyjątkowa agonía była zdolna wzruszyć ich na chwilę.

Kiedy pomocnicy oprawców myli narzędzia tortur w obecności garstki wytrwałych gapiów, obaj podzielili się spuścizną po ofiarach. W istocie prawo zwyczajowe zezwalało im zabrać wszystko, co skazańcy mieli na sobie od pasa do stóp. Była to część zapłaty za ich pracę.

W ten sposób - rzadki łup - przesłane przez królową Anglii jałmużniczki trafiły do rąk katów z Pontoise.

Piękna, smagła kobieta, ubrana jak szlachetnie urodzona panna, zbliżyła się do oprawców i półgłosem, lekko przeciągając słowa, poprosiła o język jednego ze skazańców.

- Mówią, że to dobre na bóle kobiece... - wyjaśniła. - Język

któregokolwiek z tych dwóch... to obojętne...

Oprawcy spojrzeli na nią podejrzliwie. Czy nie kryją się w tym jakieś czary? Było powszechnie wiadomo, że język wisielca, a zwłaszcza powieszonoego w piątek, służy do wywoływania diabła. Ale czy można użyć do tego samego celu języka ściętego toporem?

Ponieważ Beatrycze d'Hirson trzymała w dłoni piękną, błyszczącą, złotą monetę, zgodzili się i udając, że chcą lepiej umocować jedną z głów nasadzanych na pal szubienicy, zabrali to, czego ona żądała.

- Czy chcecie tylko język? - zapytał z drwiną grubszy kat. - Za tę samą cenę możemy dodać i resztę.

Stanowczo wszystko było niezwykle w tej egzekucji.

Trzy czarne wozy wolno sunęły drogą do Poissy. W każdej mijanej wsi z ostatniego wozu kobieta z ogoloną głową uparcie krzyczała do chłopów, którzy stawali w progu:

- Powiedzcie Dostojnemu Panu Filipowi, że jestem niewinna! Powiedzcie mu, że go nie zhańbiłam!





XII

Jeździec o zmierzchu

Jeszcze krew braci d'Aunay nie obeschła na gliniastej ziemi placu Martroy, gdzie warcząc węszyły ją psy, a już Maubuisson powoli otrząsało się z dramatu.

Trzej synowie króla na cały dzień zamknęli się w swych komnatach. Nikt ich nie odwiedzał prócz usługujących im dworzan. Próżno Mahaut starała się o posłuchanie u Filipa Pięknego.

Nogaret oświadczył jej, że król pracuje i nie życzy sobie, aby ktokolwiek go niepokoił. „To on, ten buldog, wszystko ukartował myślała - a teraz przeszkadza mi dostać się do pana”. Wszystko dowodziło hrabinie, że to strażnik pieczęci był głównym sprawcą zguby jej córek i jej osobistej niełaski.

- Na litość boską, panie Nogaret, na litość boską - rzekła z pogroźką w głosie, nim wsiadła do lektyki, aby powrócić do Paryża.

Inne namiętności, inne interesy wiodły teraz prym w Maubuisson. Zaufani wygnanych księżniczek starali się nawiązać niewidzialne nici intryg i wpływów, choćby za cenę zaparcia się przyjaźni, którą się jeszcze wczoraj chępnili. Czółenka strachu, próżności i ambicji puściły się w ruch, tkając na nowo, wedle nowego wzoru, brutalnie zerwane płótno.

Robert d'Artois chytrze nie okazywał triumfu. Czekał na żniwo. Ale względy, którymi zazwyczaj cieszył się klan burgundzki, skierowały się ku niemu.

Wieczorem został zaproszony na wieczerzę do króla; był to powód powrotu do łask.

Na skromną wieczerzę, nieledwie stypę, przyszli tylko bracia Filipa Pięknego, jego córka, Marigny i Bouville. Dławiąca cisza zawisła w wąskiej, długiej sali, gdzie podano posiłek. Milczał nawet sam Karol de Valois, a chart Lombard - jakby wyczuwając przykry nastrój biesiadników - odszedł od nóg swego pana i położył się przed kominkiem.

Robert d'Artois uporczywie szukał oczu Izabeli, ale ta równie wytrwale kryła przed nim spojrzenie. W żadnym razie nie chciała okazać swemu olbrzymiemu kuzynowi, choć wspólnie tropili grzeszne namiętności, iż może ulec podobnym pokusom. Godziła się na współdziałanie jedynie w dziedzinie sprawiedliwości. „Miłość nie jest mym udziałem - myślała. - Muszę z niej zrezygnować.” Ale musiała przyznać się przed samą sobą, że rezygnuje z trudem.

Właśnie w chwili gdy zmieniano półmiski na stole, a giermkowie podawali świeże kromki chleba, weszła lady Mortimer, niosąc w ramionach małego księcia Edwarda, aby pocałował matkę na dobranoc.

- Pani de Joinville - powiedział król do lady Mortimer, używając jej rodowego nazwiska - podajcie mi mego jedynego wnuka.

Obecni zauważyli ton, jakim wymówił słowo „jedyne”.

Filip Piękny wziął dziecko i długą chwilę wpatrywał się w krągłą, różową i niewinną twarzyczkę, na której znaczył się cień dołków. Po kim odziedziczy rysy i charakter? Czy po ojcu, zmiennym, ulegającym wpływom i znieprawionym, czy po matce Izabeli? „Wolałbym - myślał król - abyś ze względu na honor mojej krwi podobny był do matki, ale niech Bóg sprawi, abyś ze względu na szczęście Francji pozostał synem twego słabego ojca.” Wciąż zaprzętała mu umysł sprawa sukcesji. Co się stanie, jeśli pewnego dnia książę Anglii zażąda tronu Francji?

- Edwardzie! Uśmiechnij się do twego pana dziadka - rzekła Izabela.

Mały książę nie zdawał się wcale zalekniony królewskim spojrzeniem. Nagle wysunął małą piastkę i zanurzając ją w złotawych włosach monarchy chwycił wijący się kosmyk. Król Filip Piękny uśmiechnął się.

Wszyscy biesiadnicy odetchnęli z ulgą, roześmiali się z pośpiechem i nareszcie ośmielili się mówić.

Po skończonym posiłku król pożegnał swych gości, z wyjątkiem Marigny'ego i Nogareta. Usiadł koło kominka i przez długą chwilę nie przemówił ani słowa. Jego doradcy z szacunkiem przeczekali to milczenie.

- Psy zostały stworzone przez Boga, lecz czy mają świadomość istnienia Boga? - zapytał nagle.

- Sire - odpowiedział Nogaret - wiele wiemy o rodzaju ludzkim, bo sami jesteśmy ludźmi, ale mniej znamy resztę przyrody...

Filip Piękny znów zamilkł, szukając odpowiedzi w płowych, podkreślonych czarnymi kręgami oczach wielkiego charta, który leżał przed nim z pyskiem na łapach. Pies czasem mrugał powiekami, król nigdy.

Król Filip rozważał mgliste zagadnienia natury ogólnej i jak się to często zdarza ludziom u steru władzy, obarczonym tragiczną odpowiedzialnością, szukał w niewidzialnym świecie zapewnienia, że istnieje prawo, zgodnie z którym gdzieś zapisane zostaną bezbłędnie jego czyny i życie.

Wreszcie wyprostował się i rzekł:

- Enguerrand, myślę, że wydaliśmy sprawiedliwy wyrok. Ale dokąd zdąża królestwo? Moi synowie nie mają spadkobierców.

Marigny odpowiedział:

- Ale mogą ich mieć, jeżeli znów pojmą żony.

- Wobec Boga mają żony.

- Bóg może rozwiązać śluby.

- Bóg nie słucha władców tej ziemi.

- Papież może rozwiązać.

Król skierował wzrok na Nogareta.

- Cudzołóstwo nie stanowi powodu do unieważnienia małżeństwa - natychmiast odpowiedział strażnik pieczęci.

- Jednakże nie mamy innego wyjścia - mówił Filip Piękny. - Nie mogę przestrzegać ogólnie obowiązującego prawa, choćby ustanowionego przez papieża. Król winien przewidywać, że w każdej chwili może umrzeć. Aby utrzymać ciągłość dynastii, nie mogę opierać się na ewentualnym wdowieństwie.

Nogaret podniósł swoją wielką rękę, chudą i płaską.

- Dlaczego więc, Panie, nie kazaliście stracić waszych synowych, a przynajmniej dwóch z nich?

- Zrobiłbym to na pewno - odparł chłodno Filip Piękny - gdybym tym czynem w oczywisty sposób nie związał przeciw sobie obu Burgundii. Następstwo tronu to z pewnością sprawa bardzo ważna, ale jedność królestwa nie mniej.

Marigny przytaknął w milczeniu.

- Panie Wilhelmie - ciągnął król - udacie się do papieża Klemensa. Wy zdołacie mu przedstawić, że związek małżeński króla nie jest związkiem zwykłego człowieka. Mój syn Ludwik jest moim następcą; on pierwszy powinien być zwolniony z małżeńskiej przysięgi.

- Postaram się jak najgorliwiej, Sire - odpowiedział Nogaret. - Ale bądźcie pewni, że diuszesa Burgundii zrobi wszystko, by nam szkodzić u Ojca Świętego.

Usłyszeli tętent galopu w pobliżu zamku, potem zgrzytnęły sztaby i zasuwa u głównej bramy. Marigny zbliżył się do okna mówiąc:

- Ojciec Święty zbyt wiele nam zawdzięcza, a przede wszystkim tiarę, by nie wysłuchał naszego zdania. Prawo kanoniczne dostarcza dość powodów...

Podkowy konia zadźwięczały na wybrukowanym podworcu.

- Jeździec, Sire - rzekł Marigny. - Zdaje się, że przebył długą drogę.

- Od kogo przybywa? - zapytał król.

- Nie wiem. Nie mogę rozróżnić herbu²³. Należałoby też natrzeć trochę uszu Dostojnemu Panu Ludwikowi, aby jakimś nierozważnym krokiem nie zepsuł własnej sprawy.

- Będę nad tym czuwał, Enguerrand - rzekł król.

W tej chwili wszedł Hugo de Bouville.

- Sire, posłaniec z Carpentras. Prosi o osobiste posłuchanie.

- Niech wejdzie.

- Kurier papieski - powiedział Nogaret.

Ten osobliwy traf nie powinien był ich w niczym zadziwić. Korespondencję między Stolicą Apostolską a dworem wymieniano często, nieraz i co dzień.

Jeździec, młodzieniec około dwudziestu pięciu lat, wysoki i barczysty, pokryty był kurzem i błotem. Krzyż i klucz szeroko wyhaftowane na żółtym i czarnym kaftanie oznaczały sługę papieża. W lewej ręce trzymał okrycie głowy i laskę, oznakę pełnionej funkcji. Zbliżył się do króla, przyklęknął i odczepił od pasa pudełko z hebanu i srebra, gdzie znajdował się list.

- Sire - rzekł - papież Klemens zmarł.

Wszyscy obecni drgnęli. Król i Nogaret pobledli i z powagą spojrzeli po sobie. Król otworzył hebanowe pudełko, wyjął pismo i złamał pieczęć z herbem kardynała Arnolda d'Auch. Przeczytał je uważnie, jakby chciał sprawdzić prawdziwość otrzymanej wiadomości.

- Papież, którego wynieśliśmy na tron, stoi teraz przed Bogiem - wyszeptał podając pergamin Marigny'emu.

- Kiedy to się stało? - zapytał Nogaret.

- Całe sześć dni temu - odpowiedział Marigny. - W nocy z

dziewiętnastego na dwudziestego.

- W miesiąc później - rzekł król.

- Tak, Sire, w miesiąc po... - rzekł Nogaret.

Jednocześnie wyliczyli: 18 marca wielki mistrz templariuszy wołał do nich stojąc w płomieniach: „Papieżu Klemensie, rycerzu Wilhelmie, królu Filipie, powołuję was przed sąd Boży...” I oto pierwszy już skonał.

- Powiedz mi - podjął król zwracając się do jeźdźca i dając mu znak, aby powstał - jak umarł Ojciec Święty?

- Sire, papież Klemens gościł w Carpentras u swego siostrzeńca, pana de Got, kiedy nagle schwytały go strach i gorączka. Wtedy powiedział, że chce powrócić do Gujeny, aby umrzeć w swym rodzinnym Villandraut. Ale zdołał przebyć tylko pierwszy etap i musiał zatrzymać się w Roquemaure koło Châteauneuf. Jego fizycy próbowali wszystkiego, aby zachować go przy życiu; nawet nakazali mu jeść sproszkowane szmaragdy, które podobno są najlepszym lekarstwem na jego chorobę. Lecz nic nie pomogło. Chwyciły go duszności. Kardynałowie byli przy nim. To wszystko, co wiem.

Zamilkł.

- Odejdź - rzekł król.

Jeździec wyszedł. Ciszę w sali przerywał tylko oddech wielkiego charta drzemającego przed ogniem.

Król i Nogaret nie śmieli spojrzeć na siebie. „Czy to naprawdę możliwe - myśleli - abyśmy byli przekłęci? Który z nas teraz?”

Monarcha był przerażająco błydy. Jego długa królewska szata miała już lodowatą sztywność sarkofagu.





CZĘŚĆ TRZECIA

Ręka Boża



I

Ulica Bourdonnais

Wystarczył tydzień, a lud paryski już otoczył skazane księżniczki legendą zaprawioną nierządem i okrucieństwem. Oto źródła owej brukowej fantazji i przechwałek w kramach: ten twierdził, że dowiedział się prawdy z pierwszych ust od kuma, który dostarczał korzenie do pałacu Nesle; ów miał kuzyna w Pontoise... Małgorzata Burgundzka stała się bohaterką ludowej opowieści i odgrywała w niej ekstrawagancką rolę. Przypisywano królowej nie jednego kochanka, ale dziesięciu, pięćdziesięciu, co wieczór innego... Przy wtórze plotek i z lęklwym zafascynowaniem pokazywano sobie wieżę Nesle, przed którą dzień i noc czuwały strażę, odpędzając gapiów. Sprawa bowiem nie została zakończona. W okolicy wyłowiono kilka trupów. Mówiono, że następca tronu zamknął się w swoim pałacu i katował sługi, aby wydobyć z nich prawdę o wszeteczeństwie żony, a następnie wrzucał ich ciała do Sekwany.

Pewnego poranka około tercji piękna Beatrycze d’Hirson wyszła z pałacu Artois. Był to początek maja i słońce igrało na szybach domów. Beatrycze szła bez pośpiechu, zadowolona, że czuje na twarzy pieszczotę wiatru. Upajała się zapachem rozkwitającej wiosny i z przyjemnością prowokowała spojrzenia mężczyzn, zwłaszcza jeśli pochodzili z niskiego stanu.

Dotarła do dzielnicy Świętego Eustachego i weszła na ulicę Bourdonnais. Znajdowały się tu kramiki skrybów, a także handlarzy wosku, którzy sporządzali tabliczki do pisania, świece oraz inkausty. Uprawiano tu również inny handel. W zakamarkach niektórych domów, zachowując niebywałą ostrożność, sprzedawano na wagę złota składniki niezbędne do wszelkich czarów: proszek z węża, utłuczone na miazgę ropuchy, mózg kotów, uwłosienie nierządnic, a także zebrane w odpowiedniej kwadrze księżycy rośliny, z których przyrządzano filtry miłosne oraz trucizny, aby „zauroczyć” wroga. Często nazywano „ulicą Czarownic” tę wąską drogę, gdzie wśród pszczelego wosku - surowca do rzucania uroku - handlował

Diabeł.

Beatrycze d'Hirson z miną obojętną i spojrzeniem rzucanym spod rzęs weszła do sklepika, który na szyldzie z malowanej blachy miał dużą świecę.

Wąski od frontu sklepiak był długi i ciemny. Z pułapu zwisały różnej wielkości świece, a pod ścianą na półkach podzielonych przegródkami piętrzyły się świece oraz brązowe, czerwone lub zielone bocheneczki wosku używane do pieczęci. Powietrze było przesiąknięte silnym zapachem wosku, a każdy przedmiot lepił się trochę pod palcami.

Kupiec w wielkiej czapie z surowej wełny rachował przy pomocy liczydła. Na widok Beatrycze twarz jego rozjaśniła się w uśmiechu odsłaniając bezzębne dziąsła.

- Mistrzu Engelbercie... - rzekła Beatrycze - przychodzę zapłacić wam dług pałacu Artois.

- O, to zacy uczynek, szlachetna pani, to zacy uczynek. W tych czasach pieniądz prędzej ucieka, niż wpływa. Każdy dostawca chce, żeby mu zaraz płacić. A co więcej, dusi nas jeszcze ten nikczemny datek. Sprzedaję za jednego liwra, a muszę wpłacić całego denara. Król więcej zarabia na mojej pracy niż ja sam²⁴.

Odszukał wśród innych kont tabliczkę z rachunkiem pałacu Artois i zbliżył ją do szurzych oczu.

- Jeśli się nie mylę, mamy więc cztery liwry, osiem soldów... i cztery denary - pośpieszył dorzucić, bo miał zwyczaj obciążać kupującego „tym nikczemnym datkiem”, na który się tak uskarżał.

- Ja... narachowałam sześć liwrów... - powiedziała łagodnie Beatrycze, kładąc na kontuarze dwie monety.

- O, to dobry zwyczaj, obyśmy mieli więcej takich klientów! - Podniósł do ust monety i powiedział z szelmowską miną:

- Chcecie pewnie zobaczyć swego podopiecznego? Bardzo jestem z niego rad. Przydaje mi się w moim interesie... milczek z niego... Mistrzu Ewardzie!

Z zaplecza sklepika wyszedł kulawy mężczyzna. Miał lat około trzydziestu, był chudy, ale mocno zbudowany, o kościstej twarzy i ciemnych, zapadłych powiekach.

Mistrz Engelbert natychmiast przypomniał sobie o pilnej do załatwienia dostawie.

- Zaryglujcie drzwi za mną. Nie będzie mnie przez jakąś godzinę - rzekł do kulawca.

Kiedy ten pozostał sam na sam z Beatrycze, ujął ją za rękę.

- Chodźcie - rzekł.

Udała się za nim w głąb sklepika, minęła odsuniętą przez niego zasłonę i znalazła się w komórce, gdzie składano surowy wosk, beczułki z łojem i wiązki knotów. Widać było także wąski siennik, wciśnięty między starą skrzynię a ścianę, pokrytą wykwitem saletry.

- Oto mój zamek, oto moje włości, komandoria rycerza Ewarda! - rzekł z gorzką ironią kulawiec wskazując nędzne pomieszczenie. - Ale lepsze to niż śmierć, nieprawda?

I chwytając Beatrycze za ramiona szepnął:

- A ty! Ty jesteś warta więcej niż wieczność.

O ile Beatrycze mówiła wolno i spokojnie, o tyle Ewrad mówił szybko.

Beatrycze uśmiechała się ze zwykłym swoim wyrazem twarzy, jakby w nieokreślony sposób drwiła ze spraw i z ludzi. Doznawała perwersyjnego zadowolenia, gdy czuła, że ludzie są od niej zależni. A ten mężczyzna był podwójnie zdany na jej łaskę.

Znalazła go pewnego ranka, gdy podobny ściganemu zwierzęciu ukrył się w kącie stajni pałacu Artois. Drżał, osłabły ze strachu i głodu. Ewrad, dawny templariusz z komandorii w północnej Francji, zdołał uciec z ciemnicy w przeddzień spalenia. Wprawdzie uniknął stosu, ale nie tortur. Po trzykrotnym badaniu miał na zawsze wykręconą nogę i pomieszany rozum. Ponieważ połamano mu kości, każąc przyznać się do diabelskich praktyk, z którymi nie miał nic wspólnego, postanowił przez zemstę zaprzedać się diabłu. Ucząc się nienawiści, oduczył się chrześcijańskiej wiary.

Rozmyślał tylko o czarach, sabatach i sprofanowanych hostiach. Do tego celu wybornie nadawała się ulica Bourdonnais. Beatrycze umieściła go u Engelberta, który dał mu kąpiel, żywił go, a co najważniejsze dostarczał alibi wobec miejskich władz. Tak to Ewrad, zamieszkawszy w cuchnącej łojem jaskini, uważał się za prawdziwe wcielenie szatańskich potęg, żył nadzieją zemsty i wizjami rozpusty.

Gdyby nie tik, który chwilami wykrzywił mu nagle twarz, nie byłby pozbawiony swoistego, szorstkiego uroku. Oczy miał ogniste i pełne blasku. Palce jego gorączkowo biegały po Beatrycze, na co mu ona zezwalała, i rzekła jak zawsze spokojna:

- Musisz być zadowolony... Papież umarł...

- Tak, tak - mówił Ewrad ze złośliwą radością. - Jego medycy kazali mu trawić sproszkowane szmaragdy. Dobre lekarstwo, przecina jelita. Kimkolwiek są ci lekarze, to moi przyjaciele. Przekleństwo mistrza Jakuba zaczyna się spełniać. Jeden już zdechł. Ręka Boża szybko uderza, gdy jej pomaga ręka ludzka.

- A także ręka Diabła - powiedziała z uśmiechem.

Podniósł jej spódnicę, nie wywołując tym najmniejszego protestu. Oblepione woskiem ręce dawnego templariusza pieściły piękne, jędrne udo, gładkie i gorące.

- Czy chciałbyś pomóc jeszcze raz uderzyć?

- W kogo?

- W twego największego wroga... któremu zawdzięczasz złamaną stopę...

- Nogaret... - szepnął Ewrad.

Cofnął się trochę, a tik trzykrotnie wykrzywił mu twarz. Teraz ona zbliżyła się do niego.

- Możesz się zemścić... jeżeli tego pragniesz... Czy to tutaj zaopatruje się on w światło? Wy mu sprzedajecie świece?

- Tak - potwierdził.

- Jak się je robi?

- To są bardzo długie świece z białego wosku ze specjalnie sporządzonym knotem; dają mało dymu. Do oświetlania pałacu używa się świec dużych i żółtych, ale tych nie kupuje u nas. Tamtych świec, zwanych

świeczkami legistów, używa tylko, gdy pisze w swoim gabinecie. Spala ich dwa tuziny tygodniowo.

- Jesteś tego pewny?

- Jego odźwierny kupuje je na grosy.

Wskazał na półkę z przegródkami.

- Najbliższa dostawa dla niego już jest przygotowana, tu obok są świece dla Marigny'ego, a te dla Maillarda, królewskiego sekretarza. Tymi świecami oświetlają wszystkie zbrodnie, jakie obmyślają ich mózgi. Chciałbym móc je opluć diabelską trucizną.

Beatrycze wciąż się uśmiechała.

- Równie dobrze ja mogę ci ją dać... Ja, ja znam środek na zatrucie świec...

- Naprawdę? - spytał Eward.

- Jeżeli przez godzinę ktoś oddycha koło płomienia, już nigdy nie ujrzy innego... chyba w piekle. Środek ten nie zostawia śladu i nie ma na niego lekarstwa.

- Skąd się o nim dowiedziałeś?

- Ot... tak - rzekła Beatrycze, kołyszając ramionami i opuszczając powieki.

- To taki proszek, który wystarczy zmieszać z woskiem...

- Dlaczego właśnie ty chcesz uderzyć w Nogareta?

Wciąż kołyszając się, jakby przez kokieteryę, odpowiedziała:

- Może dlatego, że oprócz ciebie także i inni chcieliby się zemścić. Nic nie ryzykujesz...

Przez chwilę Eward rozmyślał. Wzrok mu zabłysł i stał się ostrzejszy.

- Nie trzeba zwlekać - rzekł pośpiesznie. - Może będę musiał wkrótce wyjechać. Nie mów tylko o tym nikomu, ale siostrzeniec wielkiego mistrza, pan Jan de Longwy, zaczął nas zliczać. On również przysiągł pomścić pana de Molay. Jeszcze nie wszyscy wymarliśmy mimo potępieńca, który się nami zajmuje. Przed paru dniami odwiedził mnie jeden z dawnych braci. Jan du Pré przyniósł mi wieści i uprzedził, abym był gotów udać się do Langres. Byłoby pięknie przywieźć w darze panu de Longwy duszę Nogareta... Kiedy mógłbym mieć ten proszek?

- Mam go tu... - rzekła spokojnie Beatrycze otwierając jałmużniczkę.

Podła Ewardowi torebkę, którą on ostrożnie otworzył. Zawierała ona dwie substancje, niedokładnie ze sobą zmieszane, jedną szarą, drugą krystaliczną i białawą.

- To popiół - rzekł Eward wskazując na szary proszek.

- Tak... popiół z języka człowieka, którego Nogaret kazał stracić...

Wysuszyła go w piecu o północy... Po to, żeby wezwać Diabła...

Następnie wskazała na biały proszek.

- A to jest wąż faraona...²⁵ Zabija tylko wtedy, kiedy się pali...

- I mówisz, że jeżeli oba proszki włożyć do świecy?...

Beatrycze przytaknęła z głębokim przekonaniem. Eward chwilę wahał się, jego wzrok skierował się znad torebki na Beatrycze.

- Ale trzeba to zrobić przy mnie - dorzuciła.

Były templariusz poszedł po tygielek i rozżarzył węgiel. Następnie wyciągnął świecę z zapasu przygotowanego dla strażnika pieczęci, umieścił ją w foremce i zaczął miękcząć. Potem przeciął ostrzem i wysypał wzdłuż

knota zawartość torebki.

Beatrycze kręciła się wokół niego mrużąc zaklęcia, w których trzy razy powtórzyło się imię Wilhelm. Ewraud postawił foremkę z powrotem na ogniu, a później ochłodził ją w kadzi z wodą.

Na sklezionej świecy nie pozostało śladu po zabiegu.

- Całkiem niezła robota, jak na człowieka, który raczej zwykł władać mieczem - rzekł zadowolony z siebie Ewraud z wyrazem okrucieństwa na twarzy.

Włożył świecę z powrotem na miejsce i dorzucił:

- Oby stała się pomyślnym zwiastunem wieczności.

Zatruta świeca leżała w środku paczki i nie można jej było odróżnić od innych. Była jak wygrany los na ohydnej loterii. Którego dnia wyciągnie ją pacholek zmieniający świece w lichtarzach strażnika pieczęci? Beatrycze zachichotała. Ale Ewraud już powracał. Chwycił ją w ramiona.

- Możliwe, że widzimy się po raz ostatni.

- Może tak... może nie... - rzekła.

Pociągnął ją do barłogu.

- Co ty robiłeś... kiedy byłeś templariuszem... żeby zachować czystość? - zapytała.

- Nigdy nie mogłem jej zachować - odparł głucho.

Piękna Beatrycze skierowała wzrok na belki, z których zwisały kościelne świece, ulegając złudzeniu, że posiada ją diabeł. Zresztą czyż Ewraud nie był kulawy?





II

Trybunał cieni

Co noc pan de Nogaret, rycerz, legista i strażnik pieczęci, pracował do późna w swoim gabinecie, jak zwykł to czynić przez całe życie. Co rano hrabina d'Artois dowiadywała się, że jej wróg w najlepszym zdrowiu udał się sprężystym krokiem z teczkami pod pachą do królewskiego pałacu. Hrabina spoglądała wówczas wymownie na swoją pannę dworu.

- Cierpliwości, Dostojna Pani... Jeden gros to dwanaście tuzinów. Po dwa tuziny tygodniowo...

Lecz Mahaut nie odznaczała się cierpliwością i zaczęła gardzić zabójczymi właściwościami węża faraona. Gdybyż wiedziała chociaż, czy zatruta świeca trafiła do adresata, czy nie zaszła jakaś omyłka lub zamiana, czy przypadkiem pacholek nie odrzucił tej właśnie świecy. Trzeba by samemu osadzić ją w świeczniku, aby osiągnąć pożądaną rezultat.

- Dostojna Pani, język... nie może zawieść... - zapewniała Beatrycze.

Mahaut nie ufała zbyt czarnym.

- Kosztowne operacje, a wyniki nędzne. Przede wszystkim - oświadczyła - aby trucizna była skuteczna, musi wejść przez usta, a nie być tylko dymem.

Jednak, gdy Beatrycze przynosiła jej wieczorem lichtarz, pytała zawsze trochę zaniepokojona:

- Czy to przypadkiem nie są świece legisty?

- Ależ nie... Dostojna Pani... - odpowiadała Beatrycze.

Pewnego ranka, pod koniec maja, Nogaret wbrew swym zwyczajom spóźnił się na Radę; wszedł do sali, gdy król już był obecny.

Nogaret, przepraszając, skłonił się bardzo nisko; nagle uczuł zawrót głowy i musiał chwycić się stołu.

Najpilniejszą sprawą był wybór papieża.

Oto już od czterech tygodni tron papieski był nie obsadzony. Wprawdzie kardynałowie, zgodnie z ostatnią wolą Klemensa V, zebraли się na konklawe w Carpentras, ale toczyli z sobą walki, które według wszelkich danych nieprędko miały się zakończyć.

Wszyscy świetnie znali i stanowisko, i plany króla Francji. Filip Piękny chciał, aby stolicą papieża nadal pozostał Awinion, miasto, w którym go osadził w zasięgu swej ręki; chciał, o ile to oczywiście możliwe, aby papieżem wybrano Francuza; chciał, aby potężna organizacja polityczna, jaką stanowił Kościół, nie występowała przeciwko królestwu, jak to często czyniła.

W Carpentras zebrało się dwudziestu trzech kardynałów. Przybyli zewsząd - z Italii, Francji, Hiszpanii, Sycylii, Niemiec - i dzielili się na tyleż prawie obozów, ile było kapeluszy.

Spory teologiczne, współzawodnictwo w sprawach prywatnych

podsycały walkę. Zwłaszcza między kardynałami włoskimi - Gaetaniami, Colonnami i Orsinimi - istniała nienawiść nie do ugaszenia.

- Tych ośmiu włoskich kardynałów - mówił Marigny - zgadza się tylko w jednym punkcie, aby sprowadzić papieża do Rzymu. Na szczęście nie mogą uzgodnić między sobą nazwiska kandydata na papieża.

- Ta zgoda może z czasem nastąpić - zauważył Dostojny Pan de Valois.

- Dlatego też nie należy dać im na to czasu - odrzekł Marigny.

W tym momencie Nogaret uczył, jak fala mdłości wypełnia mu żołądek i zapiera dech. Chciał wyprostować się na krześle i odczuł, że z trudem włada mięśniami. Potem złe samopoczucie ustąpiło; głęboko odetchnął i otarł sobie czoło.

- Dla wszystkich chrześcijan miastem papieża jest Rzym - rzekł Karol de Valois. - Centrum świata znajduje się w Rzymie.

- Niewątpliwie odpowiada to Włochom, ale nie królowi Francji - odparł Marigny.

- Nie możecie jednak, panie Enguerrandzie, cofnąć dzieła wieków i zapobiec, aby stolica świętego Piotra znajdowała się w innym miejscu niż tam, gdzie ją ustanowił.

- Ależ jeżeli papież chce kiedyś osiąść w Rzymie, w tej chwili nie może tam pozostać! - wykrzyknął Marigny. - Musi uciekać przed stronnictwami zwalczającymi się w mieście i schronić się w jakimś zamku pod opieką cudzych wojsk. O wiele lepiej broni go nasza solidna warownia Villeneuve po drugiej stronie Rodanu.

- Papież pozostanie w swojej siedzibie w Awinionie - rzekł król.

- Znam dobrze Francesca Gaetaniego - podjął Karol de Valois. - To człowiek wielkiej wiedzy i ogromnych zasług; mogę wyrzucić na niego wpływ.

- Nie życzę sobie tego Gaetaniego - powiedział król. - Wywodzi się z rodziny Bonifacego i podjąłby od nowa sprawę bulli *Unam Sanctam*²⁶.

Filip de Poitiers pochylił długi tułów, okazując tak, że w pełni popiera swego ojca.

- Sądzę - rzekł - że w tej sprawie jest dość intryg, aby się nawzajem unicestwiały. A my stanowczo i z uporem musimy trwać na naszym stanowisku.

Po chwili milczenia Filip Piękny zwrócił się do Nogareta, który bardzo błady oddychał z trudem.

- Wasza rada, Nogaret?

- Tak, Sire - rzekł z wysiłkiem strażnik pieczęci.

Przesunął drżącą ręką po czole.

- Raczcie mi wybaczyć... Ten straszliwy upał...

- Ależ wcale nie jest gorąco - rzekł Hugo de Bouville.

Nogaret z wielkim wysiłkiem wypowiedział bezbarwnym głosem:

- Dobro królestwa i wiary nakazują działać w tym kierunku.

Potem zamilkł. Wszystkich zdziwiło, że wypowiedział tak krótkie zdanie i wyraził tak dalece nie sprecyzowaną myśl.

- Wasza rada, Marigny?

- Zaproponowałbym, Sire, aby udać się do Gujenny i przyspieszyć nieco konklawe pod pretekstem sprowadzenia tam zwłok papieża Klemensa

zgodnie z jego ostatnią wolą. Tą pobożną misją można by obarczyć pana de Nogaret, udzielając mu odpowiednich pełnomocnictw i zaopatrując w należycie uzbrojoną i silną eskortę. Eskorta ta zabezpieczyłaby wykonanie poruczonego mu zadania.

Karol de Valois odwrócił głowę. Potępiał tę próbę przemocy.

- Czy to przyspieszy unieważnienie mojego małżeństwa? - zapytał Ludwik Nawarry.

- Zamilczcie, Ludwiku... - rzekł król. - O to się również staramy.

- Tak, Sire... - rzekł Nogaret, nieświadom nawet, że mówi.

Głos miał cichy i ochryply. Odczuwał zamęt w głowie, a otaczające go przedmioty zniekształcały mu się przed oczami. Sklepienie sali wydało mu się tak wysokie jak strop w Sainte-Chapelle, później nagle opadło i stało się tak niskie jak pułap w piwnicach, gdzie przesłuchiwał więźniów.

- Co się dzieje? - zapytał, usiłując rozluźnić zwierzchnią szatę.

Nagle skurczył się. Kolana podciągnął, głowę zwiesił, ręce zacisnął na piersi. Król powstał, a za nim wszyscy obecni... Nogaret wydał zduszony okrzyk i wymiotując zwałił się na podłogę.

Wielki szambelan, Hugo de Bouville, odwiózł go do jego pałacu, gdzie natychmiast zbadali go królewscy medycy.

Naradzali się długo. Wyniku konsylium nie podano monarsze. Wkrótce jednak dwór i całe miasto obiegła pogłoska o nieznannej chorobie. Trucizna? Twierdzono, że zostały zastosowane najsilniejsze środki.

Tego dnia sprawy dotyczące królestwa pozostały w zawieszeniu. Gdy do hrabiny Mahaut dotarła wiadomość o chorobie, rzekła tylko:

- Dobrze! Teraz on płaci.

Usiadła przy stole. Jeśliby strażnik pieczęci skonał, obiecała Beatrycze kompletny strój, to znaczy sześć sztuk - koszulę, suknię spodnią, suknię wierzchnią, narzutkę, płaszcz i czepiec - wszystko z najcieńszej tkaniny, a na dodatek piękny trzosik do paska.

Nogaret rzeczywiście płacił. Od kilku godzin nikogo już nie poznawał. Ciałem jego na łożu wstrząsały kurcze i pluł krwią. Nie miał nawet siły pochylić się nad miednicą, krew ściekała mu z ust na grube, złożone w kilkoro prześcieradło, które sługa zmieniał od czasu do czasu.

Komnata była przepełniona. Przy łożu chorego zmieniali się przyjaciele i słudzy. W kącie szeptała zwarta grupka kilku krewniaków i, węsząc patrochy, wyceniała meble.

Nogaret dostrzegał tylko niewyraźne widma, które poruszały się bardzo daleko, bez sensu i bez celu. Widział za to inne osobistości, które nań nacierały.

Gdy przybył z parafii proboszcz, aby mu udzielić ostatnich sakramentów, zamiast wypowiadać się charczał i bełkotał.

- Precz, precz! - zawył pełnym przerażenia głosem, gdy ksiądz namaszczał go świętymi olejami.

Medycy rzucili się ku niemu. Nogaret wił się na posłaniu. Białka miał wywrócone, odpychał cienie... Ogarnęła go trwoga agonii... Jak niepotrzebna butelka, odwrócona dnem do góry, wypróżniała się gwałtownie jego pamięć, co nie miała mu już więcej służyć, i nasuwała obrazy wszystkich agonii, którym asystował, wszystkich zgonów z jego

rozkazu. Zmarli podczas przesłuchiwania, zmarli w więzieniu, zmarli w płomieniach, zmarli na kole, zmarli na powrozach szubienic, tłoczyli się w nim samym, by umrzeć po raz drugi.

Z rękami przy gardle starał się odsunąć rozżarzone żelaza, którymi w jego oczach przypalano tyle nagich piersi. Drgawki wstrząsały jego nogami.

- Kleszcze! Zabierzcie je, na litość! - zawołał.

Zapach krwi, którą wymiotował, wydawał mu się zapachem krwi jego ofiar.

W ostatniej godzinie Nogaret nareszcie poczuł się w skórze innych i to było jego karą.

- Nic nie zrobiłem we własnym imieniu! Tylko król... służyłem królowi...

Jurysta wszczął ostatni proces przed trybunałem śmierci. Obecni nie tyle wzruszeni, ile zaciekawieni, bardziej z niesmakiem niż ze współczuciem spoglądali, jak opuszcza świat jeden z prawdziwych władców królestwa.

Pod wieczór komnata opustoszała. Pozostali przy chorym tylko balwierz i zakonnik z klasztoru Świętego Dominika. W przedpokoju sładzy ułożyli się na nagiej podłodze z płaszczami pod głową. Gdy z polecenia króla przybył w nocy Bouville, wyminął ich i zapytał balwierza.

- Nic nie podziało - odpowiedział ten cicho. -- Wymiotuje mniej, ale wciąż bredzi. Musimy już tylko czekać, aż go Bóg zabierze.

Nogaret, osamotniony, cicho rżąc, widział zmarłych templariuszy, oczekujących go w ciemności. Z krzyżami naszytymi na ramieniu stali szpalerem wzdłuż pustej drogi nad przepaścią, oświetlonej odblaskiem ich stosów.

- Aymon de Barbonne... Jan de Furnes... Piotr Suffet... Brintinhiac... Ponsard de Gizy...

Zmarli posługiwali się jego własnym głosem, którego już nie poznawał, aby on ich mógł rozpoznać.

- Tak, Sire... wyjadę jutro...

Bouville, stary sługa Korony, ze ściśniętym sercem dosłyszał ten szept i przyrzekł sobie powtórzyć go królowi. Nagle Nogaret podniósł się i z wyciągniętą szyją, z wysuniętym w przód podbródkiem, rażąc go przerażeniem, krzyknął do niego:

- Syn katar!²⁷

Bouville spojrzał na dominikanina i obaj uczynili znak krzyża.

- Syn katar! - powtórzył Nogaret.

Opadł na poduszki. Oto przez rozległy, tragiczny, pełen gór i dolin krajobraz, który tkwił w nim samym i wiódł go na Sąd Ostateczny, Nogaret wyruszał na swoją wielką wyprawę. Pewnego wrześnieowego dnia, pod olśniewającym słońcem Italii, jechał konno na czele sześciuset jeźdźców i tysiąca piechurów w stronę skały Anagni. Towarzyszył mu Sciarra Colonna, śmiertelny wróg papieża Bonifacego VIII, rycerz, który wolał wiosłować trzy lata na barbarzyńskiej galerze, niż ryzykować wydanie siebie w ręce papieżstwa. W wyprawie brał udział również Thierry d'Hirson. Małe miasteczko Anagni dobrowolnie otworzyło bramy. Napastnicy przeszli przez katedrę, wtargnęli do pałacu Gaetanich i do apartamentów

papieskich. Tam sędziwy, osiemdziesięcioośmioletni papież w tiarze na głowie, z krzyżem w ręku, sam w olbrzymiej, opustoszałej sali, ujrzał, jak wkracza zbrojna horda. Wezwany do abdykacji, odpowiedział: „Oto moja szyja, oto moja głowa; umrę, lecz umrę papieżem”. Sclarra Colonna spoliczkował go żelazną, rycerską rękawicą. A Bonifacy rzucił Nogaretowi: „Syn katar! Syn katar!”

- Nie pozwoliłem go zabić - jęknął Nogaret.

Jeszcze się bronił, lecz wkrótce zaczął szlochać, jak szlochał zrzucony z tronu Bonifacy. Znów był w cudzej skórze...

Zamach i obelga wytrąciły z równowagi umysł starego papieża. Gdy wieziono go do Rzymu, Bonifacy płakał jak dziecko. Następnie popadł w szaleństwo, znieważał każdego, kto się doń zbliżył, i czołgał na czworakach po komnacie, w której go zamknięto. W miesiąc później umarł, odpychając w ataku furii ostatnie sakramenty...

Pochylony nad Nogaretem dominikanin, kreśląc bez ustanku znak krzyża, nie mógł pojąć, dlaczego dawny ekskomunikowany uparcie nie przyjmuje do wiadomości ostatniego namaszczenia, którego mu udzielono przed kilku godzinami.

Bouville odszedł. Balwierz, wiedząc, że jest niepotrzebny aż do chwili, gdy trzeba będzie przystąpić do pogrzebowej toalety, kiwając się drzemał na krześle. Dominikanin od czasu da czasu odkładał różaniec i przycinał knoty świec.

Około czwartej rano wargi Nogareta poruszyły się nieznacznie.

- Papieżu Klemensie... rycerzu Wilhelmie... królu Filipie...

Jego wielkie, ciemne i płaskie palce drapały prześcieradło.

- Płonę... - powiedział jeszcze.

Potem okna poszarzały w nieśmiałym blasku świtu, a po drugiej stronie Sekwany odezwał się wątyły głos sygnaturki. W przedpokoju poruszyli się słudzy. Jeden z nich wszedł, powłócząc nogami przeszedł przez pokój i otworzył okno. Paryż pachniał wiosną i liśćmi. W niewyraźnym rozgwarze budziło się miasto.

Nogaret leżał martwy, a strużka krwi zasychała mu pod nosem. Brat od Świętego Dominika rzekł:

- Bóg go zabrał!





III

Świadectwo dokumentów

W godzinę po zgonie Nogareta przybył, wraz z sekretarzem króla Maillardem, pan Alain de Pareilles i zabrał wszystkie dokumenty, akta i teczki, jakie znajdowały się w mieszkaniu strażnika pieczęci.

Następnie król osobiście złożył ostatnią wizytę swemu ministrowi. Krótką chwilę stał przed ciałem. Jego blade oczy wpatrywały się w zmarłego bez zmrużenia powiek, jakby zwyczajnie pytał: „Wasza rada, Nogaret?”, i zdawało się, że rozczarowuje go brak odpowiedzi.

Tego ranka Filip Piękny zaniechał codziennej przechadzki przez ulice i rynki. Wrócił prosto do pałacu i z pomocą Maillarda zaczął przeglądać zabrane u Nogareta i złożone w jego komnacie akta.

Wkrótce zjawił się u króla Enguerrand de Marigny. Monarcha i koadiutor spojrzeli na siebie i sekretarz wyszedł.

- Papież po miesiącu... - rzekł król. - A w miesiąc po nim Nogaret...

W wyrazie jego twarzy, gdy wypowiadał te słowa, była trwoga, niemal rozpacz. Marigny usiadł na wskazanym mu przez monarchę krześle. Chwilę milczał, następnie rzekł:

- Zapewne, to szczególny zbieg okoliczności, Sire. Podobne rzeczy niewątpliwie zdarzają się codziennie, lecz nie czynią na nas wrażenia, bo nic o nich nie wiemy.

- Posuwamy się w latach, Enguerrand. To już dostateczne przekleństwo.

Miał czterdzieści sześć lat, Marigny czterdzieści dziewięć. W owej epoce rzadko kto osiągał pięćdziesiątkę.

- Trzeba to wszystko posortować - podjął król, wskazując teczki.

Wzięli się do pracy. Część akt miała zostać złożona w królewskim Archiwum, w samym pałacu²⁸. Inne, dotyczące spraw bieżących, miał zachować Marigny lub też przekazać je swoim legistom, pozostałe wreszcie miano przezornie spalić.

Król pochylił się nad stertą papierów. Przed oczami przesuwano mu się całe jego panowanie, dwadzieścia dziewięć lat, w czasie których rządził losem milionów ludzi i narzucał swoje wpływy całej Europie.

Nagle ten szereg wydarzeń, zagadnień, konfliktów, decyzji wydał mu się obcy, nie związany z jego własnym życiem, z własnym losem. W innym świetle zarysowały się praca jego dni i troska jego nocy.

Niespodzianie bowiem ujawniło się przed nim to, co myśleli i pisali o nim inni. Ujrzał siebie jak gdyby z zewnątrz. Nogaret zachował pisma posłów, protokoły z przesłuchań, sprawozdania policji. Te wszystkie linijki kreśliły wizerunek króla, w którym nie poznawał samego siebie; portret istoty dalekiej, surowej, obcej ludzkim troskom, niedostępnej uczuciom, abstrakcyjnej postaci wcielającej władzę ponad bliźnimi i z dala od nich. Pełen zdumienia przeczytał dwa zdania Bernarda de Saisset, biskupa, który

tkwił u źródła jego wielkiego sporu z Bonifacym VIII: „Próżno jest najpiękniejszym człowiekiem na świecie, umie tylko bez słowa patrzeć na ludzi. To nie człowiek ani bestia, to posąg.”

Przeczytał także słowa innego świadka swych rządów: „Nic go nie ugnie, to król z żelaza”.

- Król z żelaza - wyszeptał Filip Piękny. - Czy tak dobrze umiałem ukryć swoje słabostki? Jakże mało nas znają inni ludzie i jak niesłusznie mnie kiedyś osądzą!

Napotkane imię przypomniało mu niezwykle poselstwo, które przyjął na początku swego panowania. Rabban Kaunas, nestoriański biskup chiński²⁹, przybył zaproponować mu w imieniu wielkiego chana Persji, potomka Dżyngis-chana, zawarcie paktu i wojnę przeciw Turkom; oddając pod jego rozkazy stutysięczną armię.

Filip Piękny miał wtedy dwadzieścia lat. Jakżeż upoiła młodzieńca perspektywa wyprawy krzyżowej, w której miałyby uczestniczyć Europa i Azja! Zaprawdę przedsięwzięcie godne Aleksandra! Jednakże tego samego dnia wybrał inną drogę. Nigdy więcej wypraw krzyżowych, nigdy więcej wojennych awantur. Postanowił skoncentrować swe wysiłki na Francji i utrzymaniu pokoju. Czy postąpił słusznie? Jak popłynęłoby jego życie, jakie stworzyłby cesarstwo, gdyby zgodził się na pakt z chanem Persji? Przez chwilę marzył o triumfalnym odzyskaniu ziem chrześcijańskich, co zapewniłoby mu sławę przyszłych wieków... ale Ludwik VII, ale Ludwik Święty snuli podobne marzenia, które przeistoczyły się w klęskę.

Powrócił do rzeczywistości, podniósł nowy plik pergaminów. Przeczytał na teczce datę: 1305. Był to rok śmierci jego małżonki, królowej Joanny, która królestwu wniosła w posagu Nawarrę, a jemu jedyną miłość, jakiej zaznał. Nigdy nie pożądał innej kobiety. Od dziewięciu lat, odkąd umarła, nawet na żadną nie spojrzał. Ledwie zrzucił żałobę, a już musiał stawić czoło rozruchom. Paryż, buntując się przeciw jego zarządzeniom, zmusił go do schronienia się w Temple. W rok później kazał pojmać tychże templariuszy, którzy mu udzielili azylu i opieki... Nogaret zachował notatki dotyczące procesu.

A teraz? Oblicze Nogareta, po tylu innych, zniknąć miało z tego świata. Pozostał po nim tylko ten stos pism, świadectwo jego pracy. „Ileż spoczywa tu spraw skazanych na zapomnienie - myślał król. - Tyle procesów, tortur, zmarłych...”

Wpatrzony w dokumenty rozważał:

„Dlaczego? - pytał jeszcze. W jakim celu? Gdzie są moje zwycięstwa? Rządy to praca, która nie zna końca. Pozostało mi może tylko kilka tygodni życia. I cóż takiego zrobiłem, co na pewno mnie przetrwa...?”

Odczuł wielką kruchość czynów, jak każdy człowiek osaczony myślą o własnej śmierci.

Marigny, podpierając pięścią szeroki podbródek, siedział bez ruchu, zaniepokojony powagą króla. Koadiutor ze względną łatwością wywiązywał się ze swych obowiązków i zadań, lecz nigdy nie mógł pojąć milczenia monarchy.

- Kazaliśmy papieżowi Bonifacemu kanonizować mego dziadka, króla Ludwika - rzekł Filip Piękny - lecz czyż naprawdę był on święty?

- Kanonizacja była korzystna dla królestwa, Sire - odparł Marigny. - Rodzina królewska jest bardziej szanowana, gdy liczy wśród swych przodków świętego.

- Czy należało jednak później zastosować przemoc wobec Bonifacego?

- Chciał was wykląć, Sire, ponieważ w podległych wam państwach nie prowadziliście polityki, jakiej pragnął. Nie uchybiliście obowiązkowi króla. Trwaliście na stanowisku powierzonym wam przez Boga i głosiliście, że nikomu prócz Boga nie zawdzięczacie królestwa.

Filip Piękny wskazał na długi pergamin.

- A Żydzi? Czy nie za wielu spaliliśmy? To istoty ludzkie, cierpiące i śmiertelne jak i my. Bóg tego nie nakazywał.

- Szliście, Miłościwy Panie, za przykładem Ludwika Świętego, a królestwo potrzebowało ich bogactw.

Królestwo, królestwo, wciąż królestwo. „Trzeba było ze względu na królestwo... Musieliśmy ze względu na królestwo...”

- Ludwik Święty kochał wiarę i wszechmoc Boga. A cóż ja kochałem? - rzekł cicho Filip Piękny.

- Sprawiedliwość, Sire, niezbędną powszechnemu dobru, sprawiedliwość, która godzi we wszystkich, co nie przestrzegają ustalonego trybu postępowania.

- W czasie mego panowania wielu było takich, co nie przestrzegali ustalonego trybu postępowania, a będzie ich jeszcze wielu, o ile podobne będą następne wieki.

Podnosił akta Nogareta i jedno po drugim odkładał na stół.

- Władza jest gorzka - rzekł.

- Każda rzecz wielka jest zaprawiona żółcią, Sire, zaznał tego i Chrystus. Nasz Pan - odpowiedział Marigny. - Wasze panowanie było wielkie. Wspomnijcie, że przyłączyliście do korony Chartres, Beaugency, Szampanię, Bigorre, Angoulême, Marchię, Douai, Montpellier, Franche-Comté, Lyon i część Gujenny. Tak jak sobie tego życzył wasz ojciec, Miłościwy Pan Filip III, ufortyfikowaliście miasta, aby nie były zdane na czyjąś łaskę i niełaskę od zewnątrz i od wewnątrz... Ustanowiliście prawa, wzorując się na prawach starożytnego Rzymu. Zaopatrzyliście Parlament w przepisy, aby ferował sprawiedliwsze wyroki. Nadaliście wielu z waszych poddanych prawa mieszczan królewskich³⁰. Wyzwoliliście niewolnych w wielu okręgach podległych bajlifom i seneszalom. Nie, Sire, niepotrzebnie gryziecie się popełnionymi błędami. Z królestwa rozbitego na dzielnice stworzyliście kraj, w którym zaczyna bić jedno serce.

Filip Piękny wstał. Upewniło go niezachwiane przekonanie jego koadiutora, oparł się na nim, by przetrwać słabość, która nie leżała w jego charakterze.

- Może macie słusność, Enguerrandzie. A jeśli zadowala was przeszłość, co powiecie o teraźniejszości? Wczoraj na ulicy Saint-Merri łucznicy musieli poskramiać ludzi. Przeczytajcie, co piszą bajlifowie z Szampanii, Lyonu i Orleanu. Wszędzie krzyk, wszędzie skargi na zwyczaj cen zboża i nędzne płace. A ci, co krzyczą, Enguerrandzie, nie mogą pojąć, że to, czego domagają się i co chciałbym im dać, zależy od czasu, a nie od mojej woli. Zapomną o moich osiągnięciach, a będą pamiętać tylko o

moich podatkach. Zarzucają mi w przeszłości, że nie żywiłem moich poddanych...

Marigny słuchał; był teraz jeszcze bardziej zaniepokojony słowami króla niż jego milczeniem. Nigdy jeszcze nie słyszał, aby przyznawał się do takich wątpliwości i okazywał tak wielkie zniechęcenie.

- Sire - rzekł - musimy rozstrzygnąć kilka spraw.

Filip Piękny chwilę jeszcze patrzył na rozrzucone na stole dokumenty z okresu swych rządów. Później wyprostował się, jakby sobie samemu wydawał rozkaz.

- Tak, Enguerrandzie - rzekł - trzeba.

Cechą ludzi silnych nie jest to, że nie znają wahań i wątpliwości leżących na dnie natury ludzkiej, lecz to, że je szybciej przewyciężają.





IV

Lato króla

Po śmierci Nogareta Filip Piękny jakby oddalił się do jakiegoś kraju, gdzie nikt go nie mógł osiągnąć. Wiosna rozgrzewała ziemię i domy; Paryż żył w słońcu, lecz król był jakby skazany na wewnętrzną zimę. Myśli jego nie opuszczało proroctwo wielkiego mistrza.

Często wyjeżdżał do jednej ze swych wiejskich rezydencji, gdzie wyżywał się w długich łowach; była to jego jedyna na pozór rozrywka. Zaraz jednak wzywały go do Paryża alarmujące sprawozdania. Sytuacja żywnościowa królestwa była zdecydowanie zła. Ceny żywności wzrastały. Bogate prowincje nie chciały wysyłać nadwyżek do prowincji uboższych; ludzie często szemrali: „Za dużo sierżantów, za mało pszenicy”. Odmawiali płacenia podatków. Buntowali się przeciw prewotom i poborcom skarbowym. Korzystając z kryzysu odżyły ligi baronów w Burgundii i Szampanii i żądały przywrócenia dawnych praw feudalnych. Robert d'Artois podsycił niepokoje na ziemiach hrabiny Mahaut, wykorzystując ogólne niezadowolenie i skandal, wywołany na dworze królewskim przez księżniczki.

- Zła wiosna dla królestwa - powiedział pewnego dnia Filip Piękny w obecności Dostojnego Pana de Valois.

- Mamy obecnie czternasty rok stulecia, mój bracie - odparł Valois - a taki rok los zawsze piętnuje nieszczęściem. Przypomniał tymi słowami wzbudzające niepokój mniemanie, dotyczące lat czternastych w kolejnych wiekach: 714 - najazd hiszpańskich muzułmanów; 814 - śmierć Karola Wielkiego i podział jego cesarstwa; 914 - najazd Madziarów³¹ i zarazem klęska głodowa; 1114 - utrata Bretanii; 1214 - koalicja Ottona IV pokonana w ostatniej chwili pod Bouvines... zwycięstwo na krawędzi katastrofy. Jedynie rok 1014 nie odezwał się tragicznym echem.

Filip Piękny spojrział na brata, jakby go nie widząc. Opuścił rękę na kark charta Lombarda, głaszcząc go pod włos.

- Tym razem, mój bracie, nieszczęście jest wynikiem działalności waszego podłego otoczenia - podjął Karol de Valois. - Marigny nie zna miary. Wykorzystuje wasze zaufanie i wciąga was na drogę, która jemu dogadza, ale nas gubi. Gdybyście posłuchali mojej rady w sprawie Flandrii...

Filip Piękny wzruszył ramionami, jakby tym gestem chciał powiedzieć: „Nic nie mogę na to poradzić”.

Co jakiś czas wybuchały na nowo konflikty z Flandrią. Bogata, nieposkromiona Brugia zachęcała miasta do buntów. Hrabia Flandrii, korzystając z nie sprecyzowanego statutu prawnego, nie stosował się do obowiązujących ogólnie praw. Flandria zawierała i zrywała traktaty. Po układach wybuchały bunty. Sprawa flamandzka jątrzyła się jak

nieuleczalna rana na ciele królestwa. Cóż pozostało po zwycięstwie pod Mons-en-Pévèle? Raz jeszcze należało użyć siły.

Wystawienie armii wymagało jednak funduszy. Jeśli wojska miałyby wyruszyć na wyprawę, obciążenie skarbu przekroczyłoby niewątpliwie sumy wydatkowane w roku 1299, które zapisały się w pamięci jako najwyższe w historii królestwa: 1.642.649 liwrów rozchodu dało w wyniku 70.000 liwrów deficytu. Otóż od kilku już lat dochody kształtowały się w granicach 500.000 liwrów. Jak pokryć różnicę?

Wbrew zdaniu Karola de Valois Marigny zwołał do Paryża na dzień 1 sierpnia 1314 roku zgromadzenie ludowe. Już kilkakrotnie uciekał się do tego rodzaju konsultacji, lecz czynił to przede wszystkim z okazji zatargów z papieżem. Mieszczanstwo zdobyło prawo głosu właśnie wtedy, gdy pomagało królowi uniezależnić się od Stolicy Apostolskiej. Teraz żądano aprobaty trzeciego stanu w sprawach finansowych.

Marigny nadzwyczaj starannie przygotował to zebranie. Wysyłał do miast posłańców i sekretarzy. Nie skąpił spotkań, propozycji i obietnic.

Przedstawiciele ludu zebrali się w Galerii Kramarzy, gdzie na ten dzień zamknięto stoiska. Wzniesiono wielką estradę, na której zasiedli król, członkowie jego Rady, jak również parowie i pierwsi baronowie królestwa.

Marigny zabrał głos, stojąc nie opodal swego wizerunku w marmurze. Mówił tonem jeszcze bardziej stanowczym niż zazwyczaj, jeszcze bardziej pewny, że wyraża słuszną rację królestwa. Był skromnie odziany; miał postawę i gesty rasowego oratora. Choć jego przemówienie było formalnie skierowane do króla, wygłaszał je zwrócony w stronę tłumu, który z tego powodu czuł się poniekąd monarchą. W olbrzymiej nawie o dwóch sklepieniach słuchało go kilkuset ludzi przybyłych z całej Francji.

Marigny wyjaśnił, że nie należy się dziwić, jeśli żywności jest mniej, a zatem jest droższa. Pokój, który zachowuje król Filip, sprzyja zwiększeniu się liczby poddanych. „Spożywamy tyleż samo zboża, a coraz więcej nas uczestniczy w jego podziale.” Należy zatem więcej siał, a praca na roli wymaga spokoju w państwie, trzeba podporządkować się zarządzeniom, każda prowincja powinna przyczynić się do ogólnego dobrobytu.

Kto zaś jest wrogiem pokoju? Flandria. Kto odmawia współpracy na rzecz ogółu? Flandria. Kto woli zachować swoje zboże i swoje sukna i sprzedawać je za granicą, zamiast kierować je na wewnętrzny rynek królestwa, gdzie sroży się niedostatek? Flandria. Odmawiając uiszczania podatków i opłat, wynikających z przepisów celnych, miasta flamandzkie poważnie zwiększają obciążenie pozostałych poddanych króla. Flandria winna ustąpić, należałoby ją do tego zmusić siłą. Lecz na to niezbędne są subsydia. Wszystkie miasta, reprezentowane tu przez swoich mieszczan, powinny więc, we własnym interesie, zgodzić się na uchwalenie nadzwyczajnego podatku.

- Tak - zakończył Marigny - wystąpią na widownię ci, co udziela swej pomocy przeciw Flamandom.

Podniosła się wrzawa. Uciszył ją wkrótce głos Etienne'a Barbette.

Barbette, ławnik i mincarz paryski, przewodniczący gildii kupców, który bardzo wzbogacił się na handlu płótnem i koźmi, był sprzymierzeńcem Marigny'ego. Jego wystąpienie było przygotowane z góry. Barbette

przyrzekł żadaną pomoc w imieniu pierwszego miasta królestwa. Pociągnął on za sobą zebranych i deputowani czterdziestu trzech „zacnych miast” jednogłośnie wydali okrzyki na cześć króla, Marigny’ego i Barbette’a. Chociaż uchwały zgromadzenia były zwycięstwem, wynik finansowy okazał się raczej wątpliwy. Armię wystawiono, zanim wpłynęła subwencja.

Król i jego koadiutor zamierzali nie tyle prowadzić prawdziwą wojnę, ile raczej zorganizować w krótkim czasie potężną demonstrację. Wyprawa była wspaniałą paradą wojskową. Zaledwie oddziały wyruszyły w pochód, Marigny powiadomił przeciwnika, iż gotów jest do układów, i pośpieszył zawrzeć przymierze w pierwszych dniach sierpnia w Marquette.

Gdy armia odstąpiła, Ludwik de Nevers, syn Roberta de Béthune, hrabia Flandrii, natychmiast wypowiedział przymierze. Marigny poniósł porażkę. Valois, rad z każdej klęski królestwa, jeśli ta przynosiła szkodę Marigny’emu, oskarżał go publicznie, iż dał się przekupić Flamandom.

Rachunki za wyprawę należało zapłacić, zaś urzędnicy królewscy z wielkim trudem i ku żywemu niezadowoleniu prowincji ściągali wyjątkowy podatek, uchwalony na rzecz wyprawy zakończonej już niepowodzeniem.

W skarbcu fundusze topniały, Marigny musiał szukać innych środków zaradczych.

Żydów obrabowano dwukrotnie, ponowne ich strzyżenie przysporzyłoby mało wełny. Templariusze już nie istnieli, a złoto ich rozplynęło się od dawna. Pozostali Lombardowie.

Już w roku 1311 został wydany dekret w sprawie wydalenia Lombardów, jednak bez rzeczywistego zamiaru podporządkowania ich temu zarządzeniu; wydano dekret tylko po to, aby zmusić ich do wykupienia, za słoną cenę, prawa pobytu. Tym razem nie chodziło o haracz. Marigny planował zajęcie wszystkich ich dóbr i wygnanie ich z Francji. Handel, który wbrew królewskim zakazom prowadzili nadal z Flandrią, oraz pomoc finansowa, jakiej udzielali ligom możnowładców, usprawiedliwiała przygotowywane zarządzenie.

Jednakże kęs był trudny do przełknięcia. Włoscy bankierzy i pośrednicy handlowi zdołali się zorganizować w ściśle ze sobą powiązane „kompanie”, na czele których stał obieralny „kapitan generalny”. Oni to kontrolowali handel z zagranicą i zarządzili kredytem. W ich ręku znajdowały się: transport, prywatna poczta, a nawet pobór niektórych podatków. Oni to udzielali pożyczek baronom, miastom i królom. Nawet składali ofiary, o ile zachodziła potrzeba.

Marigny spędził przeto kilka tygodni nad ostatecznym opracowaniem swego projektu. Był uparty, a nagliła go pałaca potrzeba. Zabrakło jednakże Nogareta. Z drugiej strony paryscy Lombardowie, ludzie dobrze poinformowani i nauczeni doświadczeniem, drogo płacili za tajemnice rządu.

Tolomei, ze swym jednym otwartym okiem, czuwał.





V

Pieniądz i władza

Pewnego wieczoru w połowie października około trzydziestu ludzi obradowało, przy drzwiach zamkniętych, u messer Spinella Tolomei.

Najmłodszy, Guccio Baglioni, siostrzeniec właściciela firmy, miał lat osiemnaście. Najstarszy, Boccanegra, kapitan generalny kompanii lombardzkich, liczył lat siedemdziesiąt pięć. Choć różnili się wiekiem i obliczem, łączyło tych ludzi szczególne podobieństwo w postawie, wyrazistości rysów i gestów, sposobie noszenia stroju.

W świetle grubych świec, osadzonych w kutych kandelabrach, ludzie ci o smagłej cerze tworzyli rodzinę, mówiącą wspólnym językiem. Stanowili również wojujący szczepek, którego potęga dorównywała wielkim ligom feudałów i zgromadzeniom mieszczan.

Były tu rodziny Peruzzich, Albizzich, Guardich, Bardich, ze swoją prawą ręką podróznikiem Boccacciem, Puccich, Casinellich, jak stary Boccanegra - wszyscy rodem z Florencji. Byli tu Salimbene, Buonsignori, Allerani i Zaccaria z Genui; byli Scotti z Piacenzy; koło Tolomeia zgromadził się klan sieneńczyków. Ludzi tych dzieliły: współzawodnictwo w przepychu, konkurencja handlowa, a niekiedy nawet trwała nienawiść ze względów rodzinnych lub z powodu spraw miłosnych. Ale niebezpieczeństwo jednoczyło ich jak braci.

Tolomei spokojnie opisał sytuację, nie kryjąc jej powagi. Nikogo to zresztą specjalnie nie zaskoczyło. Wśród tych bankierów mało było ludzi nieprzezornych i większość już część swego mienia zabezpieczyła poza granicami Francji. Istniały jednak rzeczy, których nie można było wywieźć, i każdy myślał z trwogą lub gniewem, lub rozpaczą o tym, co przyjdzie mu opuścić: a więc piękne mieszkanie, dobra ziemskie, towary na składzie, zdobyte stanowisko, klientelę, przyzwyczajenia, przyjaciół, ładną kochankę, nieślubnego syna...

- Być może - rzekł wtedy Tolomei - posiadam sposób, aby Marigny'ego okiełznać, a może nawet i obalić.

- Więc nie wahaj się, zabij go! - rzekł Buonsignori, szef największej kompanii genueńskiej.

- Jakież to sposób? - zapytał przedstawiciel Scottich.

Tolomei potrząsnął głową.

- Jeszcze nie mogę tego powiedzieć.

- Zapewne długi? - wykrzyknął Zaccaria. - I cóż z tego? Czy to kiedykolwiek krępowało tego rodzaju ludzi? Przeciwnie. Jak nas wypędzą, mieć będą dobrą okazję, żeby zapomnieć, ile są nam dłużni...

Zaccaria był rozgoryczony. Stał na czele małej kompanii i zazdrościł Spinellowi Tolomei jego klienteli możnych panów. Tolomei zwrócił się ku

niemu i odparł z głębokim przekonaniem:

- O wiele więcej niż długi, Zaccaria! Mam zatrutą broń, ale nie chcę, by zwąchali truciznę. Po to jednak, bym jej użył, potrzebni mi jesteście wszyscy, moi przyjaciele. Prowadząc układy z koadiutorem muszę siłę przeciwstawić siłę. Jedną ręką grozę, drugą podsuwam ofertę... żeby Marigny mógł wybrać albo porozumienie, albo walkę.

Rozwinał swą myśl. Zamiar obrabowania Lombardów łączy się z potrzebą pokrycia deficytu państwowego. Marigny za wszelką cenę musi napęłnić Skarbiec. Lombardowie okażą się więc dobrymi poddanymi i dobrowolnie zaoferują ogromną pożyczkę na minimalny procent. Jeśli Marigny odmówi, Tolomei dobędzie broń z pochwy.

- Tolomei, musisz nam wyjaśnić - rzekł starszy Bardi - co to za broń, o której tyle mówisz?

Po chwili wahania Tolomei rzekł:

- Jeśli tak wam na tym zależy, mogę ją ujawnić naszemu *capitano*, ale tylko jemu.

Przebiegł szmer, naradzili się spojrzeniem.

- Tak... zgoda, tak postąpimy - rozległy się słowa.

Tolomei zaciągnął Boccanegrę w kąt komnaty. Pozostali śledzili z uwagą twarz starego Florentyńczyka o cienkim nosie, zaciśniętych wargach i przygaszonych oczach. Pochwycili tylko słowa: brat... arcybiskup...

- Dwa tysiące liwrów dobrze umieszczonych, prawda? - wyszeptał wreszcie Tolomei. - Wiedziałem, że kiedyś mi się przydadzą.

Z głębi gardła starego Boccanegry dobył się śmieszek. Następnie zajął swe miejsce i rzekł po prostu, wskazując palcem Tolomeia:

- Zaufajcie.

Wówczas Tolomei z tabliczką i ryłcem w dłoniach zwracał się do każdego pytając o wysokość subwencji, którą mógł zadeklarować.

Boccanegra pierwszy wymienił ogromną sumę: dziesięć tysięcy i trzynaście liwrów.

- Po co trzynaście liwrów? - zapytano go.

- By przyniosły im zgubę.

- Peruzzi, ile możesz dać? - spytał Tolomei.

Peruzzi rachował.

- Powiem ci... za chwilę - odpowiedział.

- A ty, Salimbene?

Genueńczycy otaczający Salimbenego i Buonsignorego mieli miny ludzi, którym wrywa się kawał ciała. Znani byli jako najbardziej szczeniwi w interesach. Mówiono o nich: „Wystarczy, żeby Genueńczyk spojrział na twój trzos, a już jest pusty”. Jednakże wywiązali się z zobowiązań. Niektórzy z obecnych zwierzali się:

- Jeżeli Tolomei zdoła wyciągnąć nas z tej opresji, pewnego dnia zostanie następcą Boccanegry.

Tolomei zbliżył się do obu Bardich, którzy szeptem rozmawiali z Boccacciem.

- Ile deklarujecie za waszą kompanię?

Starszy z Bardich uśmiechnął się.

- Tyle ile ty, Spinello.

Lewe oko sieneńczyka otwarło się.

- Będzie to dwa razy więcej, niż myślisz.

- O wiele ciężiej byłoby wszystko stracić - rzekł Bardi, wzruszając ramionami - nieprawdaż, Boccaccio?

Ten skłonił głowę, ale wstał i odciągnął na bok Guccia. Dzięki wspólnej podróży do Londynu zawarli ze sobą trwałą przyjaźń.

- Czy twój wuj naprawdę ma sposób, aby ukrećić szyję Enguerrandowi?

Guccio z bardzo poważną miną odrzekł:

- Nigdy nie słyszałem, aby mój wuj przyrzekał coś, czego nie może dotrzymać.

Gdy obrady zakończyły się, w kościołach już odśpiewano *Anioł Pański* i Paryż spowiła noc. Trzydziestu bankierów opuściło dom Tolomeia. Odprawiali się od drzwi do drzwi przez dzielnicę Lombardów oświetleni pochodniami, które nieśli ich pachołkowie, tworząc na ciemnych ulicach osobliwą procesję zagrożonego mienia, procesję skruszonych wyznawców złota.

Spinello Tolomei sam na sam z Gucciem w swoim gabinecie obliczał zadeklarowane sumy, jak liczy się oddziały przed bitwą. Skończywszy uśmiechnął się. Z przymrużonym okiem i rękami założonymi z tyłu, patrząc w ogień, gdzie polana zmieniały się w popiół, wyszeptał:

- Jeszcze nie zwyciężyliście, panie de Marigny.

Później rzekł do Guccia:

- Jeżeli się nam powiedzie, zażądamy nowych przywilejów we Flandrii.

Choć bliski klęski, Tolomei już rozważał, jakie wyciągnąć korzyści, gdyby jej zdołał uniknąć. Podszedł do kufra i otworzył go.

- Pokwitowanie podpisane przez arcybiskupa - rzekł biorąc dokument. - Gdyby postąpił z nami tak jak z templariuszami, wolałbym, aby sierżanci pana Enguerranda nie mogli znaleźć tego kwitu. Skoczysz na najlepszego konia, natychmiast pojedziesz do Neauphle i tam schowasz pokwitowanie w naszym kantorze. Zostaniesz tam.

Spojrzał wprost w twarz Guccia i dorzucił z powagą:

- Gdyby mnie spotkało nieszczęście...

Obaj ułożyli palce w znak wideł i dotknęli drzewa.

- ...oddasz ten dokument Dostojnemu Panu d'Artois, aby go przekazał hrabiemu de Valois, który potrafi z niego zrobić właściwy użytek. Bądź ostrożny, bo kantor w Neauphle nie chroni od łuczników...

- Wuju, mój wuju - rzekł żywo Guccio - mam myśl. Zamiast mieszkać w kantorze, mógłbym zajechać do Cressay, gdzie kasztelani są naszymi dłużnikami. Niegdyś bardzo im pomogłem i nadal mamy u nich wierzytelności. Myślę, że córka - jeśli nie zaszły żadne zmiany - nie odmówi mi pomocy.

- Dobry pomysł - powiedział Tolomei. - Dojrzewasz, mój chłopcze! Dobre serce u bankiera zawsze powinno służyć jakiejś sprawie... Tak więc zrób. Ponieważ jednak potrzebujesz tych ludzi, musisz przybyć z podarunkami. Dla kobiet weź ze sobą kilka łokci tkaniny i koronki z Brugii. Mówiłeś, że są tam dwaj chłopcy? I lubią polować? Zabierz więc dwa sokoły, które otrzymaliśmy z Mediolanu.

Odwrócili się do kufra.

- Oto kilka kwitów podpisanych przez Dostojnego Pana d'Artois - podjął. - Sądzę, że ci nie odmówi pomocy, gdyby zaszła tego potrzeba. Ale poparcie jego będzie pewniejsze, jeżeli podasz mu swoją prośbę jedną ręką, a rachunki drugą... Oto dług króla Edwarda... Nie wiem, mój siostrzeńcze, czy to ci przysporzy bogactwa, ale w każdym razie możesz okazać się groźny... Spieszmy! Teraz nie zwlekaj! Każ osiodłać konia i przygotować juki. Weź ze sobą dla eskorty tylko jednego pachołka, żeby nie zwracać uwagi. Ale każ mu się uzbroić.

Wsunął dokumenty do ołowianej skrzyneczki i podał ją Gucciowi wraz z workiem złota.

- Los naszych kompanii jest teraz na pół w twoich, a na pół w moich rękach - dorzucił. - Nie zapominaj o tym!

Guccio wzruszony uściskał wuja. Tym razem nie musiał tworzyć sobie postaci bohatera ani wymyślać nadzwyczajnej roli; rola sama doń przyszła.

W godzinę później opuszczał ulicę Lombardów.

Wówczas messer Spinello Tolomei włożył podbity futrem płaszcz, bo październik był chłodny, wezwał sługę, kazał mu wziąć pochodnie oraz sztylet i udał się do pałacu Marigny.

Czekał długą chwilę najpierw u odźwiernego, potem w wartowni, która służyła za poczekalnię. Koadiutor prowadził królewski tryb życia i w jego domu panował ruch do późnej nocy. Messer Tolomei był cierpliwy, kilkakrotnie przypominał o swej obecności, podkreślając, że musi koniecznie porozmawiać osobiście z koadiutorem.

- Chodźcie, messer - rzekł wreszcie jeden z sekretarzy.

Tolomei minął trzy olbrzymie sale i znalazł się na wprost Enguerranda de Marigny, który samotnie w swoim gabinecie kończył jeść wieczerzę, nie przerywając pracy.

- Cóż za niespodziewana wizyta - rzekł chłodno Marigny. - Jaką macie sprawę?

Tolomei odparł równie chłodnym tonem:

- Sprawę dotyczącą królestwa, Wasza Dostojność.

Marigny wskazał mu krzesło.

- Proszę mi wyjaśnić - rzekł.

- Od kilku dni, Dostojny Panie, krąży pogłoska o pewnym zarządzeniu, które omawia się na królewskiej Radzie, a mającym jakoby dotyczyć przywilejów kompanii lombardzkich. Pogłoska się szerzy, niepokoi nas i wielce utrudnia handel. Brak do nas zaufania, nabywcy zjawiają się coraz rzadziej, dostawcy żądają natychmiastowej zapłaty, a dłużnicy odraczają spłaty.

- To nie są sprawy królestwa - rzekł Marigny.

- To się okaże, Wasza Dostojność, to się okaże. Wiele osób niepokoi się i tu, i gdzie indziej. Mówi się o tym nawet poza granicami Francji...

Marigny potarł ręką podbródek i policzek.

- Mówi się za dużo. Jesteście rozumnym człowiekiem, messer Tolomei, i nie powinniście wierzyć tym pogłoskom - rzekł, patrząc spokojnie na jednego z tych ludzi, których zamierzał zmiażdżyć.

- Skoro tak twierdzicie, Dostojny Panie... Ale wojna flamandzka bardzo drogo kosztowała i Skarb może potrzebować dopływu świeżego złota. Otóż

przygotowaliśmy projekt...

- Wasz handel, powtarzam, w niczym mnie nie dotyczy.

Tolomei podniósł rękę, jakby zamierzał powiedzieć: „Cierpliwości, nie wiecie o wszystkim...”, i ciągnął dalej:

- Chociaż nie zabieraliśmy głosu na obradach Zgromadzenia, pragniemy przecież dopomóc naszemu umiłowanemu królowi. Jesteśmy gotowi udzielić znacznej pożyczki, nie ograniczonej w czasie i minimalnie oprocentowanej. Złożyłyby się na nią wszystkie kompanie lombardzkie. Przyszedłem tu, aby was o tym powiadomić.

Następnie Tolomei nachylił się i szepnął cyfrę. Marigny drgnął, ale natychmiast pomyślał: „Jeżeli gotowi okroić sobie taką sumę, to znaczy można zabrać dwadzieścia razy tyle”.

Ponieważ dużo czytał i zwykł do późna czuwać, miał zmęczone oczy i zaczerwienione powieki.

- Zaczyna to myśl i godna pochwały intencja, wdzięczny wam jestem za nie - rzekł po chwili milczenia. - Muszę wszakże wyrazić wam moje zdziwienie... Dotarło do moich uszu, jakoby niektóre kompanie lombardzkie skierowały do Italii konwoje ze złotem... To złoto nie może znajdować się i tu, i tam.

Tolomei zamknął całkiem lewe oko.

- Jesteście rozumnym człowiekiem, Dostojny Panie, i nie powinniście wierzyć tym pogłoskom - rzekł powtarzając własne słowa koadiutora. - Czyż nasza oferta nie świadczy o zaufaniu?

- Chciałbym uwierzyć w to, o czym mnie zapewniacie. Gdyby jednak było inaczej, król nie ścierpiałby tego uszczerbku mienia Francji i musiałby położyć kres...

Tolomei nie drgnął. Ucieczka kapitałów lombardzkich rozpoczęła się na skutek groźby rabunku, a ten wpływ złota miał posłużyć Marigny'emu jako usprawiedliwienie zarządzenia. Było to błędne koło.

- Widzę, że przynajmniej z tego punktu widzenia uważacie nasz handel za sprawę interesującą królestwo - odparł bankier.

- Sądzę, że powiedzieliśmy sobie wszystko, co należało, messer Tolomei - zakończył Marigny.

- Z pewnością, Wasza Dostojność...

Tolomei wstał, zrobił jeden krok. Później nagle jakby coś sobie przypomniał:

- Czy Jego Wielebność arcybiskup Sens znajduje się w mieście? - spytał.

- Tak, jest tutaj.

Tolomei kiwnął głową w zamyśleniu.

- Macie więcej okazji niż ja, aby go zobaczyć. Czy Wasza Dostojność raczy go powiadomić, iż pragnąłbym w najbliższych dniach porozmawiać z nim, o jakiegokolwiek bądź godzinie, w wiadomej mu sprawie. Będzie mu zależało na mojej opinii.

- Co macie mu powiedzieć? Nie wiedziałem, że łączy go z wami jakaś sprawa!

- Dostojny Panie - rzekł z ukłonem Tolomei - pierwszą cnotą bankiera jest milczenie. Ponieważ jednak jesteście bratem Monsignora z Sens, mogę się wam zwierzyć, że chodzi o jego dobro, nasze... i naszej Świętej Matki

Kościola.

Następnie, wychodząc, sucho powtórzył:

- Już jutro, jeśli jemu to odpowiada.





VI

Tolomei wygrywa

Tolomei tej nocy prawie nie zmrużył oka. „Czy Marigny zawiadomił brata? - pytał sam siebie. - Czy arcybiskup wyznał mu, co pozostawił w moim ręku? Czy nie pospieszą się i w nocy nie uzyskają podpisu króla, aby mnie ubiec? Czy nie zmówią się, by mnie zamordować?”

Tolomei, nie mogąc zasnąć, wiercił się na łożu i rozmyślał z goryczą o swej drugiej ojczyźnie, której we własnym mniemaniu tak dobrze służył i pracą, i pieniędzmi. Ponieważ tu się wzbogacił, zależało mu na Francji bardziej niż na rodzinnej Toskanii i rzeczywiście na swój sposób ją kochał. Czy już więcej nie poczuje pod podeszwą bruku ulicy Lombardów, czy nie usłyszy w południe dzwonu z Notre-Dame, nie będzie oddychał wonią Sekwany, nie uda się już więcej na zebranie w Ratuszu?³² Groźba wyrzeczenia się tego wszystkiego rozdzierała mu serce. „...Czyż w moim wieku miałbym od nowa rozpoczynać gdzie indziej... o ile jeszcze pozostawią mnie przy życiu, abym mógł rozpocząć?”

Dopiero nad ranem zapadł w sen, lecz wkrótce obudziły go uderzenia kołatki i odgłos kroków w podwórzu. Sądził, że przyszli go aresztować, i pospiesznie narzucił odzież. Pojawił się wystraszony pacholek.

- Dostojny Panie, arcybiskup jest na dole - rzekł.

- Kto mu towarzyszy?

- Czterej słudzy w habitach, ale bardziej podobni do sierżantów z policji niż do kleryków z kapituły.

Tolomei skrzywił się.

- Zdejm okiennice w moim gabinecie - powiedział.

Wielebny Jan de Marigny już wchodził na schody. Tolomei oczekiwał go stojąc na podeście. Arcybiskup, szczupły, z krzyżem kołyszającym się na piersi, natychmiast zaatakował bankiera.

- Co ma oznaczać, messer, ta dziwna wiadomość, którą brat przekazał mi wieczorem?

Tolomei uspokajającym ruchem wzniosł w górę tłuste i spiczaste dłonie.

- Nic takiego, co by mogło was zaniepokoić, Monsignore, ani też nic takiego, co zasługiwałoby na wasz pośpiech. Udałbym się za waszym przyzwoleniem do pałacu biskupiego... Raczcie wejść do mego gabinetu.

Pacholek kończył odczepiać zdobne malowidłami wewnętrzne okiennice. Dorzucił szczap do żaru na kominku i wkrótce z trzaskiem wybuchły płomienie. Tolomei podsunął gościowi krzesło.

- Wasza Wielebność przybył z eskortą - rzekł. - Czy to potrzebne? Nie macie już do mnie zaufania, Wielebny Panie? Myślicie, że grozi wam tu jakieś niebezpieczeństwo? Muszę wyznać, żeście mnie przyzwyczaili do innego traktowania.

Starał się być serdeczny, lecz w jego głosie przebijał wyraźniejszy niż

zazwyczaj akcent toskański.

Jan de Marigny usiadł twarzą do ognia i wyciągnął pokryte pierścieniami palce w stronę kominka.

„Ten człowiek nie jest sobie pewny i nie wie, jak ma mnie zaatakować - pomyślał Tolomei. - Przychodzi z hałasem, jakby miał wszystko rozwalić, a teraz ogląda paznokcie.”

- Zaniepokoił mnie wasz pośpiech, aby mnie zobaczyć - rzekł wreszcie arcybiskup. - Wolałbym sam wybrać dzień moich odwiedzin.

- Ależ wyście go wybrali, Wasza Dostojność, wyście go sami wybrali... Przypominacie sobie, że dostaliście ode mnie dwa tysiące liwrow tytułem zaliczki za te... przedmioty, bardzo cenne, które pochodziły z dóbr zakonu. Powierzyliscie mi ich sprzedaż.

- Czy zostały sprzedane? - spytał arcybiskup.

- W części, Wasza Wielebność, w znacznej części. Wysłałem je poza granice Francji, jak to uzgodniliśmy, ponieważ tu nie można ich było upłynnić... Czekam na potwierdzenie. Spodziewam się, że suma sprzedażna przekroczy zaliczkę i będą się wam należały pieniądze.

Tolomei, zażywny, wygodnie usadowiony, z rękami splecionymi na brzuchu, dobrodusznie kiwał głową.

- Więc pokwitowanie, które podpisałem, już wam nie jest potrzebne? - spytał Jan de Marigny.

Krył swój niepokój, lecz krył niezręcznie.

- Czy wam nie zimno, Wasza Wielebność? Tak wam twarz pobladła - rzekł Tolomei schylając się, aby dołożyć do ognia grube polano.

Następnie, jakby zupełnie zapominając o pytaniu arcybiskupa, podjął:

- Co myślicie, Wasza Wielebność, o sprawie, którą w tym tygodniu rozważano na Radzie? Czy to możliwe, aby zamierzano przywłaszczyć sobie nasze mienie, a nas skazać na nędzę, na wygnanie, na śmierć?...

- Nie mam o tym zdania - rzekł arcybiskup. - To sprawy królestwa.

Tolomei potrząsnął głową.

- Przekazałem wczoraj Dostojnemu Panu Koadiutorowi pewną propozycję, ale jak się zdaje nie dostrzegł płynącej z niej korzyści. To godne ubolewania. Gotowi są nas obrabować, ponieważ królestwu brakuje monety. My zaś oferujemy królestwu ogromną pożyczkę, a wasz brat, Dostojny Panie, milczy. Czy nie szepnął wam słówka? Godne ubolewania, zaiste godne ubolewania!

Jan de Marigny poruszył się na krześle.

- Nie mam żadnego tytułu do dyskusji nad decyzjami króla - rzekł.

- To nie są jeszcze decyzje - powiedział Tolomei. - Czy nie moglibyście przedłożyć koadiutorowi, że Lombardowie wezwani do oddania swego życia, które zresztą należy do króla, i złota, które zresztą również do niego należy, chcieliby - jeśli to jest możliwe - zachować życie? Przez życie pojmuję ich prawo do pozostania w tym królestwie. Dobrowolnie ofiarowują złoto, które zamierza się odebrać im siłą. Czemu ich nie wysłuchać? Właśnie dlatego, Dostojny Panie, chciałem was widzieć.

Zapanowała cisza. Jan de Marigny, nieruchomy, zdawał się patrzeć poprzez ściany.

- O co pytaliście przed chwilą? - podjął Tolomei. - Ach tak... o to

pokwitowanie.

- Macie mi je oddać - rzekł arcybiskup.

Tolomei przesunął językiem po wargach.

- Co byście zrobili, Monsignore, będąc na moim miejscu? Wyobraźcie sobie przez chwilę... Zapewne, to dziwaczne wyobrażenie... ale wyobraźcie sobie, że ktoś wam grozi ruiną, a wy posiadacie... jakąś rzecz... talizman... o właśnie, talizman!... który pomoże wam uniknąć tej ruiny...

Podszedł do okna, usłyszał bowiem hałas na podwórzu. Tragarze przekazywali skrzynie i bele materiałów. Tolomei wycenił machinalnie wartość towarów, które tego dnia miały się znaleźć w jego składach, i westchnął.

- Tak... talizman chroniący przed ruiną - wyszeptał.

- Nie chcecie chyba powiedzieć...

- Tak, Wasza Wielbność, chcę powiedzieć i mówię - wyraźnie rzekł Tolomei. - To pokwitowanie świadczy, żeście frymarczyli mieniem templariuszy zasekwestrowanym przez króla. Świadczy ono, że kradliście i że okradaliście króla.

Spojrzał arcybiskupowi prosto w twarz. „Tym razem - pomyślał - kości rzucone, któryś z nas załamię się pierwszy.”

- Będziecie uchodzić za mego współnika - powiedział Jan de Marigny.

- Więc zawiśniemy razem na Montfaucon³³, jak dwa łotry - chłodno odrzekł Tolomei. - Ale nie będę wisiał sam...

- Jesteście ostatnim łajdakiem! - wykrzyknął Jan de Marigny.

Tolomei wzruszył ramionami.

- Ja nie jestem arcybiskupem, Wasza Wielbność, i nie ja wykradłem podstępnie złote monstrancje, w których templariusze wystawiali ciało Chrystusa. Jestem po prostu kupcem, a w tej chwili prowadzimy targ, czy wam się to podoba, czy nie. Oto jedyna prawda wynikająca z naszej dyskusji. Nie będzie grabieży Lombardów, nie będziecie powodem skandalu. Ale jeżeli ja spadnę, Dostojny Panie, to i wy spadniecie. I to z większej wysokości. A w ślad za wami wasz brat, który jest zbyt bogaty, aby mieć tylko przyjaciół.

Arcybiskup wstał. Wargi mu zbieleły. Trzęsły mu się podbródek, ręce, całe ciało.

- Oddajcie mi moje pokwitowanie - rzekł, chwytając Tolomeia za ramię.

Ten uwolnił się łagodnie.

- Nie - powiedział.

- Zwrócę wam dwa tysiące liwrów, które mi daliście - rzekł Jan de Marigny - i zachowacie dla siebie cały zysk ze sprzedaży.

- Nie.

- Dam wam przedmioty tejże wartości.

- Nie.

- Pięć tysięcy liwrów! Daję wam pięć tysięcy liwrów za to pokwitowanie.

Tolomei uśmiechnął się.

- A skąd je weźmiecie? Musiałbym je wam jeszcze dopożyczyć!

Jan de Marigny zacisnąwszy pięści powtórzył:

- Pięć tysięcy liwrów! Znajdę je. Brat mi pomoże.

- Niechże wam pomoże tak, jak was o to proszę - rzekł Tolomei rozkładając ręce. - Przecież ja sam oferuję jako osobisty udział siedemnaście tysięcy liwrów na rzecz skarbu królewskiego.

Arcybiskup zrozumiał, że musi zmienić taktykę.

- A jeżeli uzyskam od brata, że was wyłączy spod zarządzenia? Pozwolą wam zabrać ze sobą całe wasze mienie, odkupią nieruchomości...

Tolomei przez chwilę rozważał. Dawano mu szansę osobistego ratunku. Każdy rozsądny człowiek, otrzymując tego rodzaju propozycję, rozważa ją, a jeśli odrzuca, zasługuje na tym większy szacunek.

- Nie, Wasza Wielbność - odparł. - Los wszystkich stanie się również i moim losem. Nie chcę gdzie indziej rozpoczynać od nowa, zresztą nie mam powodu tak czynić. Przynależę do Francji teraz tak samo jak i wy. Jestem królewskim mieszczaninem. Chcę pozostać w tym domu, który zbudowałem w Paryżu. Spędziłem w nim trzydzieści dwa lata mego życia, Wasza Wielbność, i - jeśli Bóg pozwoli - tutaj je zakończę. Zresztą gdybym nawet chciał, nie mógłbym wam zwrócić pokwitowania; już go nie mam w ręku.

- Łzecie! - krzyknął arcybiskup.

- Nie, Monsignore.

Jan de Marigny podniósł rękę do krzyża na piersi i ścisnął go, jakby zamierzał złamać. Spojrzał w okno, potem na drzwi.

- Możecie wezwać waszą eskortę i kazać przeszukać moje mieszkanie - rzekł Tolomei. - Możecie nawet wsadzić mi nogi do kominka i przypiekać je, jak się to praktykuje w waszych trybunałach Inkwizycji. Narobicie wiele hałasu i wywołacie skandal, ale nic nie wskóracie, czy będę martwy, czy żywy. Jeżeli jednak przypadkiem umrę, wiedzcie, że nic wam to nie da. Bo gdybym przedwcześnie skonał, moi krewniacy ze Sieny mają nakaz powiadomić o tym pokwitowaniu króla i wysokich baronów.

Serce biło szybko w jego tłustym ciele, a pot mu spływał po grzbiecie.

- W Sienie? - rzekł arcybiskup. - Zapewnialiście mnie przecież, że ten dokument nie opuści waszej skrzyni!

- Nie opuścił, Wasza Wielbność, moja rodzina i ja to jedno.

Arcybiskup załamał się. W tej właśnie chwili Tolomei uczył, że zwyciężył i że teraz sprawy ułożą się po jego myśli.

- Więc? - zapytał Marigny.

- Więc, Wasza Wielbność - rzekł spokojnie Tolomei - nie mogę wam powiedzieć nic ponad to, co oświadczyłem przed chwilą. Pomówcie z koadiutorem i nalegajcie, aby przyjął ofertę, którą mu przedłożyłem, póki jeszcze czas. Jeżeli nie...

Bankier nie dokończył zdania, podszedł do drzwi i otworzył je.

Straszliwa była scena, w której tego dnia starli się ze sobą arcybiskup i jego brat. Obaj bracia Marigny stanęli twarzą w twarz w całej nagości swojej natury. Dotychczas szli zgodnym krokiem, teraz żarli się.

Koadiutor bluzgał na młodszego brata pogardą i wyrzutami, a młodszy bronił się jak mógł z wrodzoną tchórzliwością.

- Ładnie wyglądasz tak mnie miażdżąc! - wykrzykiwał.

- A skąd pochodzą twoje bogactwa? Od jakich to odartych ze skóry Żydów? Od jakich spalonych templariuszy? Naśladowałem cię tylko. Dość

się tobie wysługiwałem w twoich machinacjach, teraz ty mi pomóż.

- Gdybym wiedział, jaki jesteś, nie zrobiłbym z ciebie arcybiskupa - rzekł Enguerrand.

- Nie znalazłbyś nikogo, kto by się zgodził skazać wielkiego mistrza!

Tak, koadiutor dobrze wiedział, że sprawowanie rządów niekiedy zmusza do nikczemnych sojuszków. Był jednak wstrząśnięty, widząc nagle skutki tego we własnej rodzinie. Człowiek, który zgodził się sprzedać własne sumienie za mitrę, mógł równie dobrze kraść, równie dobrze zdradzić. Takim właśnie człowiekiem był jego brat, to wszystko...

Enguerrand de Marigny wziął swój projekt zarządzenia przeciw Lombardom i z wściekłością rzucił go w ogień.

- Tyle pracy na nic - rzekł - tyle pracy!





VII

Tajemnice Guccia

Cressay, skąpane w promieniach wiosny, drzewa o prześwieconych słońcem liściach i srebrem drgająca rzeka Mauldre pozostały w pamięci Guccia jako pełen szczęścia obraz. Kiedy jednakże w ten październikowy poranek młody sieneńczyk, wciąż oglądając się, czy w ślad za nim nie podążają łucznicy, przybył do Cressay, zastanawiał się, czy przypadkiem nie zbłądził. Jesień jakby pomniejszyła zamek. „Czy wieżyczki naprawdę były tak niskie? - mówił sobie Guccio. - Czyżby starczyło pół roku, żeby aż tak się zatarł w pamięci obraz”. Podwórze było jedną błotnistą kałużą, w której koń zanurzał się po pęciny. „Przynajmniej - pomyślał Guccio - niewiele jest szans, by mnie tu ktokolwiek odnalazł.” Rzucił pacholce w wodę.

- Wytrzeć konie i dać im obrok.

Drzwi zamku otworzyły się i ukazała się Maria de Cressay. Wzruszenie zmusiło ją, by oprzeć się o futrynę.

„Jakaż ona piękna! - pomyślał Guccio - i nie przestała mnie kochać.” Natychmiast znikły szczeliny w murach, a wieżyczki zamkowe odzyskały dawne proporcje.

Maria wołała w głąb domu:

- Matko! Pan Guccio powrócił!

Dama Eliabel z wielką radością powitała młodzieńca, ucałowała go w oba policzki i przycisnęła do obfitej piersi. Obraz Guccia często pojawiał się w jej snach. Wzięła go za rękę, kazała mu usiąść, poleciła, aby przyniesiono jabłecznik i pasztety.

Guccio ucieszył się tym przyjęciem i wytłumaczył swój przyjazd, tak jak to uprzednio przemyślał. Przybył do Neauphle, aby uporządkować sprawy w źle zarządzanym kantorze. Urzędnicy nie ściągali wierzytelności w przewidzianych terminach... Dama Eliabel natychmiast się zaniepokoiła.

- Odroczyliście termin spłaty na cały rok - rzekła. - Po nędznych zbiorach przyszła zima i nie mamy jeszcze...

Guccio dał wymijającą odpowiedź. Uważa właścicieli Cressay za swoich przyjaciół i nie pozwoli, by ich nęcano. Natomiast pamięta o zaproszeniu... Dama Eliabel uradowała się. Nigdzie w całym miasteczku, zapewniła, nie znalazłby wygodniejszego pomieszczenia ani bardziej odpowiedniego towarzystwa. Guccio zażądał sakw podróźnych, które wiozł na koniu jego pacholek.

- Są tam tkaniny, które z pewnością się wam spodobają... - rzekł. - A dla Piotra i Jana mam dwa doskonale wytresowane sokoły, które polepszą wyniki ich łowów, o ile w ogóle można je polepszyć.

Tkaniny, koronki, sokoły olśniły całą rodzinę i zostały przyjęte z okrzykami wdzięczności. Piotr i Jan, w odzieży jak zawsze przesiąkniętej

silnym zapachem ziemi, koni i zwierzyny, zadawali Gucciowi setki pytań. Przygotowanym na nudę słotnych miesięcy ten cudownie zesłany gość wydał się jeszcze bardziej godny sympatii niż poprzednio. Można by rzec, iż znali się od urodzenia.

- A co słyhać z naszym przyjacielem prewotem Portefruit? - zapytał Guccio.

- W dalszym ciągu grabi, co może, ale nie u nas, dzięki Bogu... i dzięki wam.

Maria przemykała się po komnacie, pochylała przed kominkiem podsycając ogień i kładła świeżą słomę na pryczę za zasłoną, gdzie spali jej bracia. Milczała, ale wciąż spoglądała na Guccia. Korzystając z pierwszego sam na sam, chłopak delikatnie ujął ją za łokcie i przyciągnął ku sobie.

- Czy nic w moich oczach nie przypomina wam szczęścia? - rzekł, zapożyczając słów z rycerskiej powieści, którą ostatnio przeczytał.

- O tak, panie! - drżącym głosem odpowiedziała Maria. - Wciąż was tu widziałam, chociaż byliście tak daleko. Niczego nie zapomniałam, nic się nie zmieniło.

Starł się usprawiedliwić, czemu w ciągu sześciu miesięcy nie przyjechał ani nie przysłał żadnej wiadomości. Jednak ku wielkiemu jego zdziwieniu Maria, daleka od czynienia wymówek, podziękowała mu za powrót szybszy, niż przewidywała.

- Powiedzieliście, że powrócicie za rok po procenty - rzekła. - Nie spodziewałam się was wcześniej. Ale gdybyście nawet nie przyjechali, czekałabym na was przez całe życie.

Guccio wyjeżdżając z Cressay trochę żałował nie zakończonej przygody, ale, mówiąc szczerze, mało o niej myślał w ciągu tych sześciu miesięcy. Tymczasem zastał promienną miłość, która rozrosła się na kształt krzewu w ciągu wiosny i lata. „Ależ mam szczęście! - myślał. - Nie zapomniała o mnie, nie wyszła za mąż...”

Niewierni mężczyźni, choć wyglądają na zarozumialców, często nie wierzą, aby ktoś ich naprawdę kochał, gdyż wyobrażają sobie kobiety na własną modłę. Guccio był zachwycony, iż niewielkim kosztem rozbudził tak potężne i tak rzadko spotykane uczucie.

- Ty również, Mario, wciąż stałaś mi przed oczami i nic się we mnie nie zmieniło - odparł z całym zapałem, jakiego wymagało tak grube kłamstwo.

Stali przed sobą jednakowo wzruszeni, jednakowo zakłopotani własnymi słowami i własnymi gestami.

- Mario - podjął Guccio - nie przyjechałem tu w sprawach kantoru ani też żadnej wierzytelności. Nie chcę przed tobą niczego ukrywać. Byłoby to obrazą łączącej nas miłości. Tajemnica, którą ci powierzę, dotyczy życia wielu ludzi i mojego własnego również... Mój wuj i jego możni przyjaciele polecili mi ukryć w bezpiecznym miejscu dokumenty bardzo ważne dla królestwa i dla ich własnego ocalenia... W tej chwili na pewno poszukują mnie łucznicy...

Ulegając wrodzonej skłonności już zaczął udawać ważną osobistość.

- W wielu miejscach mógłbym szukać schronienia, ale właśnie do ciebie przybyłem, Mario. Moje życie zależy od twojego milczenia.

- To ja zależę od ciebie, mój panie - rzekła Maria. - Wierzę tylko w Boga

i w tego, co mnie pierwszy trzymał w swoich ramionach. Moje życie jest twoim życiem. Twoja tajemnica jest moją. Zataję to, co chcesz, bym zataiła, zamilczę to, co chcesz, abym zmilczała, a tajemnica twoja umrze wraz ze mną.

Jej piękne ciemnoniebieskie oczy zamglily się łzami.

- To, co chcę schować - rzekł Guccio - znajduje się w ołowianym pudełeczku nie większym niż moje dwie dłonie. Czy jest tu jakieś miejsce?

Maria zastanawiała się chwilę.

- Może w piecu w starej łaźni... - odpowiedziała. - Nie, znam lepszy schowek. W kaplicy. Pójdziemy tam jutro rano. O świcie bracia wyjadą z domu na łowy. Matka zaraz po nich, bo musi udać się do miasteczka. Jeśliby chciała zabrać mnie ze sobą, poskarżę się na ból gardła. Udawaj, panie, że śpisz długo.

Umieszczono Guccia na piętrze, w czystej i chłodnej izbie, w której mieszkał poprzednio. Położył się ze sztyletem u boku i ołowianym pudełkiem pod głową. Nie wiedział, że w tym czasie obaj bracia Marigny mieli już za sobą dramatyczne spotkanie, a zarządzenie skierowane przeciw Lombardom obróciło się w popiół.

Rano obudził go wyjazd obu braci. Gdy zbliżył się do okna, ujrzał, jak Piotr i Jan de Cressay przejeżdżają na nędznych szkapach przez bramę z sokołami na rękę. Potem trzasnęły wrota. Jeszcze później doprowadzono siwą klacz, już steraną wiekiem, i z kolei dama Eliabel oddaliła się w towarzystwie kulawego pacholka. Dopiero wtedy Guccio wciągnął buty i czekał.

Kilka chwil potem zawołała go z dołu Maria. Guccio zszedł z pudełkiem wsuniętym pod kubrak.

Kaplica była sklepioną izdebką we wschodniej części zamku. Ściany jej pobielone były wapnem.

Maria zapaliła świecę od małej oliwnej lampki, płonącej przed drewnianą, z gruba ciosaną figurą świętego Jana Ewangelisty. Najstarszy syn w rodzinie Cressay miał zawsze na imię Jan.

Maria poprowadziła Guccia w bok od ołtarza.

- Ten kamień się podnosi - rzekła, wskazując niewielką płytę, zaopatrzoną w zardzewiałe kółko.

Guccio uniósł płytę z pewnym trudem. W świetle świecy dojrzał czaszkę i szczątki kości.

- Kto to? - zapytał układając palce w znak wideł.

- Jakiś przodek - rzekła Maria - nawet nie wiem który.

Guccio umieścił ołowiane pudełko w zagłębieniu koło białawej czaszki. Potem położył płytę na miejsce.

- Nasza tajemnica jest przypieczętowana przed Bogiem - powiedziała Maria.

Guccio wziął ją w ramiona i chciał pocałować.

- Nie, nie tu - rzekła z odcieniem lęku - nie w kaplicy.

Powrócili do wielkiej sali, gdzie służąca kończyła ustawiać na stole mleko i chleb na pierwszy posiłek. Guccio stanął plecami do kominka, czekając, aż wyjdzie służąca. Maria podeszła do niego.

Wówczas ujęli się za ręce; Maria położyła głowę na ramieniu Guccia i

trwała tak długą chwilę. Uczyła się, odgadywała to ciało mężczyzny, do którego miała należeć, jak postanowione zostało między nią a Bogiem.

- Będę ciebie zawsze kochać, panie, nawet jeżeli ty przestaniesz mnie kochać - rzekła.

Następnie podeszła do stołu i nalala mleka do miseczek, w których rozdrobiła chleb. Każdy jej ruch był wyrazem szczęścia.

Minęły cztery dni. Guccio towarzyszył braciom i wykazał się zręcznością w łowach. Kilkakrotnie odwiedził Neauphle, aby usprawiedliwić swój pobyt. Pewnego razu spotkał przewota Portefruit, który go poznał i powitał uniesieniem. To powitanie uspokoiło Guccia. Gdyby przeciw Lombardom wydano jakikolwiek dekret, pan Portefruit nie rozplęwałby się w grzecznych słówkach. „A jeżeli w najbliższych dniach właśnie on ma mnie aresztować - pomyślał Guccio - złoto, które zabrałem ze sobą, wystarczy, żeby mu posmarować łapę”.

Wyglądało na to, iż dama Eliabel nie podejrzewa, że młody sieneńczyk zaleca się do jej córki. Guccio przekonał się o tym pewnego wieczoru z przypadkowo podsłuchanej rozmowy pomiędzy kasztelanką a jej młodszym synem. Guccio był w swoim pokoju na piętrze; dama Eliabel i Piotr de Cressay rozmawiali w wielkiej sali przy ogniu, a ich głosy dochodziły przez komin.

- Naprawdę szkoda, że Guccio nie jest szlachcicem - mówił Piotr. - Byłby odpowiednim mężem dla siostry. Dobrze się prezentuje, jest uczony i ma duże stosunki w wielkim świecie... Zastanawiam się, czy nie warto byłoby pomyśleć...

Dama Eliabel oburzyła się na tę sugestię.

- Nigdy! - krzyknęła. - Pieniądz zawrócił ci w głowie, mój synu? Jesteśmy teraz biedni, ale nasza krew daje nam prawo do szlachetniejszych związków. Nigdy nie oddam córki chłopcu bez herbu, który na domiar złego nie pochodzi z Francji. Przyznaję, ten kawaler może się podobać, ale wara mu zalecać się do Marii. Zrobiłabym z tym porządek. Lombard! Zresztą ani mu to w głowie. Gdyby nie powodowała mną skromność ze względu na wiek, powiedziałabym, że raczej na mnie popatruje niż na nią i właśnie dlatego czepia się jak rzep psiego ogona.

Chociaż Guccia rozbawiły złudzenia kasztelanki, to zraniła go pogarda, z jaką mówiła o jego pochodzeniu i zawodzie. „Tacy ludzie pożyczają od nas na chleb, długów nie spłacają, a szanują mniej niż swoich parobków. A jak byś sobie poradziła, miła pani, bez Lombardów? - mówił do siebie mocno urażony Guccio. - A więc dobrze. Spróbujcie wydać córkę za wielkiego pana i zobaczycie, czy ona się zgodzi.”

Równocześnie był dumny, że potrafił tak w sobie rozkochać pannę z rycerskiego rodu, i tegoż wieczora postanowił ją poślubić wbrew wszystkim przeszkodom, na jakie mógłby natrafić.

W czasie najbliższego posiłku patrzył na Marię i myślał:

„Ona do mnie należy, do mnie”. Cała jej twarz, piękne, w górę uniesione rzęsy, w półrozchylone usta zdawały się odpowiadać: „Należę do ciebie”. Guccio pytał sam siebie: „Jak się to dzieje, że tego nikt nie widzi”.

Nazajutrz Guccio otrzymał w Neauphle list wuja, w którym ten zawiadamiał, że chwilowo niebezpieczeństwo zostało zażegnane, a on ma

natychmiast powracać.

Młodzieniec musiał więc oznajmić, że pilna sprawa wzywa go do Paryża. Dama Eliabel, Piotr i Jan wyrazili wielki żal. Maria nic nie powiedziała. Pochylona nad robótką nadal haftowała. Dopiero zostawszy sama z Gucciem wyjawiała swój niepokój. Czy zdarzyło się nieszczęście? Czy coś Gucciowi grozi?

Uspokoił ją. Wprost przeciwnie, dzięki niemu, dzięki niej, ludzie, którzy nastawiali na zgubę włoskich bankierów, zostali pokonani.

Wówczas Maria wybuchnęła płaczem, bo Guccio miał odjechać.

- Opuuszczasz mnie - mówiła - to tak jakbym miała umrzeć.

- Powrócę natychmiast, gdy tylko będę mógł - rzekł Guccio, okrywając pocałunkami twarz Marii.

Ocalenie kompanii lombardzkich zadowalało go tylko połowicznie. Pragnął, aby niebezpieczeństwo trwało nadal.

- Powrócę, śliczna Mario - powtarzał - przysięgam, bo niczego na świecie tak nie pragnę, jak ciebie.

Tym razem był szczery. Przyjechał szukając schronienia, odjeżdżał z miłością w sercu.

Ponieważ wuj w liście nie wspomniał ani słowem o ukrytych dokumentach, Guccio postanowił zostawić je w Cressay. Zachowywał w ten sposób pretekst do powrotu.





VIII

Spotkanie w Pont-Sainte-Maxence

Czwartego listopada Filip Piękny udał się na łowy do lasów w Pont-Sainte-Maxence. Noc spędził w zamku Clermont, dwie mile od miejsca wyznaczonego na zbiórkę; towarzyszyli mu pierwszy szambelan Hugo de Bouville, osobisty sekretarz Maillard i kilku dworzan.

Król już od dawna nie był w tak dobrym nastroju. Sprawy królestwa zezwalały mu na wypoczynek. Pożyczka udzielona przez Lombardów wypełniła skarbiec po brzegi. Niebawem zima poskromi niesfornych panów z Szampanii oraz flandryjskie miasta.

Śnieg padał całą noc, pierwszy śnieg w tym roku, przedwczesny, niemal niespodziewany; poranny przymrozek utrwalił biały puch na polach i w lasach i zmieniając koloryt całego krajobrazu, przekształcił go w olbrzymią, lśniącą szronem równinę.

Oddech ludzi, psów i koni rozpląwał się w powietrzu na kształt wielkich wełnistych kwiatów.

Lombard biegł tuż przy nodze królewskiego wierzchowca. Choć był to pies do polowania na zające, uczestniczył również w gonitwach za jeleniem i, tropiąc na własny rachunek, często naprowadzał sforę na właściwy ślad. Myśliwi cenią charty za ich oko i ścigłość, ale na ogół uważają, że nie mają węchu; ten jednak miał nos wyżła.

Na wyznaczonej polance, pośród szczekania, rżenia i strzelania z bicza, król długą chwilę przyglądał się swojej wspaniałej psiarni, pytał o wyżlice, które się oszczeniły, i przemawiał do psów.

- Moje psinki, hola, moje śliczne, chodźcie tu do mnie!

Łowczy złożył mu raport. Wytropiono kilka jeleni, w tym wielkiego dziesiątaka, który wedle naganiaczy miał wspaniałe poroże o dwunastu gałęziach. Koronny dziesiątak, najszlachetniejsze zwierzę, jakie spotkać można w kniei. Co więcej, był to prawdopodobnie jeden z tych jeleni, zwanych „wędrownymi”, które odbiwszy się od stada, biegną z lasu do lasu i są tym silniejsze i tym dziksze, że samotne.

- Atakować go! - rozkazał król.

Rozdzielono psy i poprowadzono pod wiatr na trop; myśliwi rozpierzchli się na stanowiska, na które mógł wyjść jelen.

- Huź-ha! huź-ha! - rozległy się okrzyki.³⁴

Ujrzano jelenia; las nappełnił się szczekaniem psów, graniem rogów, odgłosem cwału i trzaskiem łamanych gałęzi.

Zazwyczaj jelenie przez pewien czas wodzą za sobą naganiaczy wokół miejsca, gdzie je wytropiono, kręcą się po lesie, kłuczą, zacierają ślad, szukają młodszego jelenia, żeby on wywiódł myśliwych w pole i zmylił psy, a same powracają do miejsca, gdzie zostały zaatakowane.

Ten wszystkich zadziwił, bo nie kryjąc się w krzakach biegł wprost na

północ. Czując niebezpieczeństwo, pędził ku dalekim ardeńskim lasom, skąd niewątpliwie przybył.

W ten sposób wiódł za sobą nagonkę godzinę, dwie, nie spiesząc się zbyt, zachowując takie tempo, aby utrzymać we właściwej odległości psy. Potem czując, że słabną, nagle odsadził się i znikł.

Król podniecony przeciął zagajnik, aby zabiec mu drogę, dotrzeć na brzeg lasu i czekać nań, gdy ten wypadnie na równinę. Nic jednak łatwiejszego jak zabłąkać się na polowaniu. Myśliwemu zdaje się, że jest o sto sążni od psów i reszty kompanów, których głosy wyraźnie słyszy; a po chwili ogarnia go zupełna cisza, całkowita samotność wśród kolumnady drzew niby we wnętrzu pustej katedry, i nie wie, gdzie znikła ta rozwrzeszczana psiarnia, ani też jaka wróżka, jakie czary zmiotły jego towarzyszy.

Co więcej, tego dnia głosy źle niosły, a psom trudno było polować z powodu szronu, który ochładzał woń.

Król zabłądził. Wpatrywał się w rozległą, białą równinę, gdzie wszystko aż po horyzont - łąki, opłotki, ścierniska po ostatnich zbiorach, dachy wiosek, kędzierzawiący się w oddali następny las - okrywał ten sam migotliwy, niepokalany całun. Przebiło się słońce.

Nagle król poczuł się jakby wyobcowany z otoczenia; odczuł rodzaj oszołomienia i zachwiał się w siodle. Nie zwrócił na to uwagi. Był krzepki i nigdy dotąd nie zawiodły go siły.

Pochłonięty myślą, czy jego jeleń już wybiegł, jechał stępą wzdłuż krawędzi lasu, szukając na ziemi śladów byka. „Na tym szronie powinienem je łatwo dostrzec” - pomyślał.

Zobaczył wieśniaka, który szedł opodal.

- Halo, człowieku!

Wieśniak odwrócił się i podszedł. Był to chłop około pięćdziesiątki; na nogach miał onuce z grubego płótna, a w prawej ręce trzymał kij. Zdjął czapkę i odkrył siwiejące włosy.

- Nie widziałeś, czy uciekał tędy wielki jeleń? - zapytał król.

Człowiek kiwnął głową i odpowiedział:

- Tak, tak, Miłościwy Panie. Zwierz, o jakim mówicie, tylko co przeszedł mi przed nosem. Miał garb i wywiesił ozór. To na pewno wasze zwierzę. Nie będziecie go długo gonić; wygląda, że szuka wody. Znajdzie ją tylko w stawach w Fontaines.

- Czy psy go goniły?

- Żadnych psów nie było, Miłościwy Panie, ale traficie na ślad koło tego dużego buka, o tam. Prowadzi do stawów.

Król zdziwił się.

- Wygląda, jakbyś znał okolicę i znał się na polowaniu - rzekł.

Twarz chłopca rozjaśnił poczciwy uśmiech. Jego małe, piwne, przebiegłe oczka wpatrywały się w króla.

- Znam dobrze tutejsze strony. Na polowaniu też trochę się znam - rzekł człowiek - i życzę, żeby tak wielki król, jak wy, Miłościwy Panie, cieszył się zawsze tą zabawą, jak tylko Bóg pozwoli.

- Więc poznałeś mnie?

- Widziałem was na innych łowach, jak przejeżdżaliście, a także

Dostojnego Pana de Valois, waszego brata, kiedy tu przyjechał wyzwalać niewolnych w hrabstwie.

- Czy jesteś wolny?

- Dzięki wam, Miłościwy Panie, już nie jestem niewolnikiem, jakim się urodziłem. Umiem liczyć, a jak trzeba, to i pisać rylcem przy liczeniu.

- Rad jesteś z wolności?

- Rad... pewnie, że rad. Rzekłbym, że człowiek czuje się zupełnie inaczej, nie jest już niby umarły za życia. Dobrze wiemy, wszyscy wiemy, że to wam zawdzięczamy polecenie wyzwolenia. Powtarzamy to sobie często jak pacierz codzienny. „Zważywszy, że każda istota ludzka stworzona jest na obraz i podobieństwo Naszego Pana, powinna być całkowicie wyzwolona zgodnie z prawem naturalnym...” Miło to słyszeć, kiedy dawniej człowiek myślał, że jest czymś w rodzaju bydła.

- Ile zapłaciłeś za swoje wyzwolenie?

- Sześćdziesiąt pięć liwrów.

- A miałeś je?

- Praca całego życia, Miłościwy Panie.

- Jak się nazywasz?

- Andrzej... Andrzej z lasu, tak mnie nazywają, bo tutaj mieszkam.

Król, choć zazwyczaj nie bywał szczodry, zapragnął coś dać temu człowiekowi. Nie jałmużnę, ale podarunek.

- Bądź zawsze dobrym sługą królestwa, Andrzej z lasu - rzekł - i zachowaj to na moją pamiątkę.

Odczepił swój róg, piękny kawał rzeźbionej kości słoniowej oprawnej w złoto, więcej wart niż suma, jaką ten człowiek opłacił swoją wolność.

Ręce chłopca zadrżały z dumy i wzruszenia.

- Coś takiego... Coś takiego - wyszeptał. - Położę go pod figurą Najświętszej Panny, żeby strzegł domu. Niech Bóg was ma w swej opiece, Miłościwy Panie.

Król oddalił się przepełniony radością, jakiej nie doznał od wielu już miesięcy. Oto na pustkowiu pól rozmawiał z człowiekiem, który dzięki niemu był wolny i szczęśliwy. Ciężkie jarzmo pracy i lat naraz stało się lżejsze. Dobrze wywiązywał się z obowiązków króla. „Z wysokości tronu zawsze wiadomo, w kogo się uderza - mówił sobie - ale nigdy nie wiadomo, czy zamierzone dobro zostało spełnione i wobec kogo.” To nieoczekiwane uznanie, które dotarło do niego z głębi ludu, było mu miłsze i cenniejsze niż wszystkie pochwały dworu. „Trzeba by rozszerzyć prawo wyzwolenia na wszystkie okręgi... Człowiek, którego spotkałem, gdyby kształcić go od dzieciństwa, byłby niechybnie lepszym przewodem lub dowódcą załogi w mieście niż wielu innych.”

Rozmyślał o wszystkich Andrzejach z lasów, z dolin lub z łąk, o Janach-Ludwikach z pól, o Jakubach z wioszczyn i zagród, o ich dzieciach, które wyszedłszy ze stanu niewolnych mogłyby stworzyć wielką rezerwę ludzkich sił dla królestwa. „Naradzę się z Enguerrandem, czy nie rozszerzyć zarządzenia.”

W tejże chwili, z prawej strony, usłyszał krótkie, ochryple „hau... hau...” i rozpoznał głos Lombarda.

- Ślicznie, psinko, ślicznie, ujadaj na niego, ujadaj! - wykrzyknął.

Lombard był na tropie, biegł wyciągniętym krokiem z nosem o kilka cali nad ziemią. Nie król więc zgubił ślady, ale reszta jego towarzyszy. Filip Piękny ucieszył się jak młodzieniaszek na myśl, że pokona wielkiego dziesiątaka sam jeden z ulubionym psem.

Puścił w cwał konia i straciwszy poczucie czasu pędził za Lombardem przez pola i dolinki, przesadzając pagórki i płoty. Było mu gorąco i pot mu ściekał po plecach.

Nagle dostrzegł ciemny kształt, umykający białą równiną.

- Huż-ha! - wrzasnął król. - Bierz go, Lombardzie, bierz go!

Istotnie, był to ścigany jelen, wielki, ciemny rogacz o piaskowym podbrzuszu. Już nie biegł tak lekko jak na początku łowów; grzbiet wygiął mu się tworząc garb, o którym wspominał chłop; wyraźnie zmęczony przystawał, oglądał się wstecz, odsadzał ciężkim skokiem.

Lombard szczeakał tym głośnie, że gonił na oko i już dopędzał byka.

Wieniec dziesiątaka zaintrygował króla. Chwilami coś na nim połyskiwało, potem gasło. Jelen nie przypominał jednak wcale tych zwierząt z baśni, od których roją się legendy, na przykład nieznużonego jelenia świętego Huberta, z kościelnym krzyżem wrośniętym w czoło. Było to zwykłe wielkie zwierzę, do cna wyczerpane, które bez żadnych wybiegów pędziło wprost przez pola, ścigane własnym strachem i skazane na śmierć.

Z Lombardem tuż przy pęcinie rogacz wpadł do bukowego zagajnika i już zeń nie wyszedł. Wkrótce głos Lombarda stał się wyższy, zarazem wściekły i przeszywający, nabrał tego szczególnego tonu, jaki wydają psy, gdy głoszą halali ściganego zwierza.

Teraz z kolei król wpadł do zagajnika. Poprzez gałęzie przenikały chłodne promienie słońca, różowiąc szron.

Król przystanął, wyjął z pochwy puginał; czuł, jak między jego nogami tłucze się serce konia. Sam był zdyszany i pełnymi haustami wdychał zimne powietrze. Lombard wciąż szczeakał. Wielki jelen stał oparty o drzewo, ze łbem i pyskiem tuż nad ziemią; złana potem sierść dymiła. Między jego olbrzymimi rogami, nieco na ukos, błyszczał krzyż. Był to ostatni widok, jaki w ułamku sekundy dojrzał król, bo jego zdumienie zmieniło się nagle w straszliwy lęk; ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Chciał zsiąść, lecz stopa nie wysunęła się ze strzemienia; buty zaciążyły jak bloki z marmuru. Z bezwładnych rąk wypadły wodze. Chciał krzyknąć, ale żaden dźwięk nie dobył się z gardła.

Osadzony jelen, z wywieszonym jęzorem, wpatrywał się weń wielkimi tragicznymi oczami. Krzyż między jego rogami zgasł, a potem znowu zalśnił. W oczach króla zachwiały się drzewa, ziemia, cały świat. Uczuł straszliwy wybuch w głowie i nagle zapadł w noc.

W kilka chwil później, gdy nadjechała reszta myśliwych, ujrano króla Francji leżącego nieruchomo u stóp konia. Lombard wciąż oszczekiwał wielkiego wędrownego jelenia; między jego rogami tkwiły dwie suche gałęzie, zgarnięte zapewne w jakichś chaszczach, a które pokryte szronem skrzyły się w słońcu.

Nikt jednak nie miał czasu troszczyć się o rogacza. Kiedy naganiacze zatrzymali psiarnię, jelen, nieco wypoczęty, rzucił się do ucieczki, ścigany

przez kilka zajadłych psów. Będą gonić za nim aż do nocy, a może zepchną do stawu, aby w nim utonął.

Hugo de Bouville, pochylony nad Filipem Pięknym, wykrzyknął:

- Król żyje!

Miecznikami ociosano na miejscu dwa drzewka i połączono je, wiążąc pasy i płaszcze; na tych naprędce sporządzonych noszach ułożono króla. Leżał prawie nieruchomy; poruszał się tylko, aby wymiotować i wypróżniać się niczym duszony kaczor. Oczy miał szkliste i na wpół przymknięte³⁵.

W tym stanie zaniecono go do Clermont, gdzie nocą odzyskał częściowo mowę. Wezwani natychmiast medycy puścili mu krew. Z trudem wymówił pierwsze słowo do Bouville'a, który nad nim czuwał:

- Krzyż... krzyż.

Bouville myśląc, że król pragnie się pomodlić, poszedł po krucyfiks.

Następnie Filip Piękny powiedział:

- Pić.

O świcie jękając się zażądał, by go odwieźć do Fontainebleau, gdzie się urodził. Papież Klemens V czując, że umiera, też chciał powrócić do rodzinnej miejscowości.

Postanowiono przewieźć króla rzeką, aby nie narażać go na wstrząsy; umieszczono go w wielkiej płaskodennej barce, która popłynęła rzeką Oise. Dworzanie, słudzy i łucznicy z eskorty płynęli za królem w innych barkach lub jechali konno brzegiem rzeki.

Wiść o wypadku wyprzedzała ten dziwny pochód i mieszkańcy wybrzeża zbiegali się, chcąc ujrzeć, jak mija ich wielki obalony posąg. Chłopi zdejmowali nakrycia głowy, jak przed procesją kroczącą ich polami w dzień poprzedzające Wniebowstąpienie. W każdej wiosce łucznicy zabierali szafliki z żarzącym się węglem, które ustawiano w barce, aby ogrzać powietrze wokół króla. Niebo było jednostajnie szare, ciężkie od chmur nabrzmiałych śniegiem.

Z zamku czuwającego nad pętlą Oise na powitanie króla przybył pan de Vauréal i ujrzał na jego twarzy piętno śmierci. Monarcha odpowiedział mu tylko ruchem powiek. Gdzież podział się ten atleta, co niegdyś uginał dwóch zbrojnych, opierając się własnym tylko ciężarem na ich ramionach?

Wcześniej zapadł zmierzch. Na dziobach barek zapalono wielkie pochodnie i czerwone, rozkołysane światło rzucało odbłask na brzegi; pochód wyglądał niby grotą płomieni przecinająca noc. Tak orszak dotarł do Sekwany, a następnie do Poissy. Wniesiono króla do zamku.

Po dziesięciu dniach, które tam przeleżał, jakby trochę ozdrowiał. Odzyskał mowę. Mógł już ustać na nogach, choć ruchy miał sztywne. Nalegał na dalszą podróż do Fontainebleau i z wielkim wysiłkiem woli zażądał, aby wsadzić go na wierzchowca. Bardzo ostrożnie jechał konno aż do Essonnes, lecz tam musiał zrezygnować z jazdy. Ciało nie słuchało już nakazów woli.

Podróż zakończył w lektyce. Znów padał śnieg i tłumił stąpanie koni.

W Fontainebleau zebrał się już cały dwór. Na zamku płonęły wszystkie kominki.

Król wchodząc wyszeptał:

- Słońce, Bouville, słońce...





IX

Głęboki cień nad królestwem

Przez dwanaście dni król tulał się we własnej świadomości jak zbłąkany wędrowiec. Od czasu do czasu, chociaż bardzo szybko ogarniało go zmęczenie, niepokoił się o sprawy królestwa, sprawdzał rachunki, z władczą niecierpliwością żądał przedstawiania mu do podpisu wszystkich listów i zarządzeń. Nigdy nie przejawiał takiej chęci składania podpisu. Później nagle zapadał w omdlenie, wymawiał tylko pojedyncze słowa bez ładu i składu. Omdlała dłoń - o ledwo zginających się palcach - przesunął po czole.

Na dworze mówiono, że król jest nieobecny duchem. Istotnie, żegnał się już ze światem.

W ciągu trzech tygodni choroba zmieniła tego czterdziesto-sześcioletniego mężczyznę w starca o wyniszczonych rysach, na wpół już tylko żyjącego w głębi komnaty zamku Fontainebleau.

I to palące pragnienie, które kazało mu wciąż żądać napoju! Medycy twierdzili stanowczo, że już się nie wywinie, zaś astrolog Martin w ostrożnych słowach oświadczył, że w końcu miesiąca potężnego monarchę Zachodu oczekuje straszliwa próba, a zbiegnie się ona z zaćmieniem słońca. „Tego dnia - pisał mistrz Martin - głęboki cień legnie na królestwo.”

I oto pewnego wieczoru Filip Piękny niespodziewanie odczuł znów straszliwy, czarny wybuch pod czaszką i zapadł w ciemność. Doświadczył już tego w lesie pod Pont-Sainte-Maxence. Tym razem nie było już ani jelenia, ani krzyża. Tylko na łożu spoczywało wielkie ciało, bezwładne i bez czucia.

Kiedy król wynurzył się z tej nocy świadomości, nie wiedząc, czy trwała ona jedną godzinę, czy dwa dni, pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, był pochylony nad nim szeroki biały kształt uwieńczony wąską czarną koroną. Usłyszał także głos, który doń przemawiał.

- Ach, brat Renaud - rzekł cicho król - poznaję was... ale widzę was jakby przez mgłę.

I natychmiast dorzucił:

- Pić.

Brat Renaud z klasztoru dominikanów w Poissy zwilżył wargi chorego odrobiną wody święconej.

- Czy wezwano biskupa Piotra? Czy przybył? - zapytał wtedy król.

Podobnie jak wielu ludzi na łożu śmierci powraca odruchowo ku najodleglejszym wspomnieniom, król w ostatnich dniach życia uporczywie wzywał do swego wezglowia jednego z towarzyszy dzieciństwa, Piotra de Latille, biskupa z Châlons, członka Rady. Zastanawiano się nad tym rozkazem, szukano ukrytych przyczyn, a po prostu należało w nim widzieć

odruch pamięci.

- Tak, Sire, kazałem go wezwać - odparł brat Renaud. Istotnie, wysłał gońca do Châlons, lecz uczynił to w ostatniej chwili, licząc, że biskup nie zdąży przybyć na czas.

Brat Renaud miał bowiem odegrać pewną rolę i nie zamierzał dać się z niej wyzuć na korzyść innego duchownego. Sedno sprawy tkwiło w tym, iż spowiednik króla był jednocześnie wielkim inkwizytorem Francji. Sumienia obu obciążały te same głębokie tajemnice. Wszechwładny monarcha nie mógł wezwać wybranego przyjaciela, aby go wspierał, gdy będzie przekraczać wielki próg.

- Bracie Renaud, czy już od dawna do mnie mówicie? - zapytał król.

Brat Renaud, o podbródku ginącym w fałdach tłuszczu i czujnym spojrzeniu, musiał teraz, pod pozorem nakazu boskiej woli, uzyskać od króla to, czego żywi jeszcze od niego oczekiwali.

- Sire - rzekł - Bóg będzie wam wdzięczny, gdy pozostawicie we wzorowym porządku królestwo.

Król milczał chwilę.

- Bracie Renaud, czy odbyłem spowiedź? - zapytał.

- Ależ tak, Sire, przedwczoraj - odpowiedział dominikanin. - Spowiedź była tak piękna, iż wzbudziła w nas uczucie uwielbienia i wzbudzi je u wszystkich waszych poddanych. Wyznaliście z głęboką skruchą, że uciskaliście wasz lud, a zwłaszcza Kościół, zbyt wielu podatkami. Oświadczyliście także, że nie będziecie błagać o przebaczenie zmarłych straconych waszym wyrokiem, ponieważ Wiara i Sprawiedliwość powinny się wzajem wspomagać.

Wielki inkwizytor podniósł głos, aby wyraźnie słyszeli wszyscy obecni.

- Czy ja to powiedziałem? - zapytał król.

Już nie wiedział. Czy naprawdę wyrzekł te słowa, czy też brat Renaud zmyśla ten budujący koniec, którym winna uwieńczyć swoje życie każda wielka osobistość? Wyszepał po prostu:

- Zmarli...

- Powinniście wyrazić waszą ostatnią wolę, Sire - nalegał brat Renaud.

Usunął się nieco, aby król ujrzał pełną ludzi komnatę.

- Ach! - rzekł - poznaję was, wszystkich tu obecnych.

Był jakby zaskoczony tą zdolnością identyfikowania twarzy. Nie zabrakło nikogo: medycy, szambelan, brat Karol o postawie okazałej, nieco na uboczu brat Ludwik z pochyloną głową i Enguerrand, i Filip le Convers, jego legista, i sekretarz osobisty Maillard, jedyny, który siedział przy małym stoliku przysuniętym do posłania... wszyscy nieruchomi i tak milczący, i tak osnuci cieniem, jakby zastygli w jakimś wiecznym, nierzeczywistym świetle.

- Tak, tak - powtórzył - dobrze was poznaję.

Tam daleko, ten olbrzym, którego głowa góruje nad wszystkimi czołami, to Robert d'Artois, jego krnąbrny krewniak... Nieco dalej wysoka kobieta zakasuje rękawy ruchem położnej. Widok hrabiny Mahaut przypomniał królowi skazane księżniczki.

- Papież... wybrany? - zapytał.

- Nie, Sire.

Kilka problemów tłoczyło się, plątało w jego wyczerpanym mózgu.

Ponieważ każdy przeciętny człowiek w pewnym stopniu ulega złudzeniu, że świat narodził się wraz z nim, cierpi, gdy się żegna z życiem i opuszcza świat nie załatwiwszy wszystkich spraw. Tym bardziej cierpi król.

Filip Piękny odszukał spojrzeniem najstarszego syna.

Ludwik Nawarry, Filip Poitiers, Karol Francuski stali u wezgłowia, ramię przy ramieniu, jakby spojeni ze sobą w obliczu agonii rodzica. Król musiał odchylić głowę, aby ich dostrzec.

- Zważcie, Ludwiku, zważcie - wyszeptał - co znaczy być królem Francji! Zapoznajcie się jak najszybciej ze stanem waszego królestwa.

Hrabina Mahaut usiłowała się zbliżyć i łatwo było zgadnąć, jakie słowa przebaczenia, czyje ułaskawienie zamierza wyrwać z ust umierającego.

Brat Renaud skierował na hrabiego de Valois spojrzenie, które oznaczało: „Dostojny Panie, wkroczcie”.

Za kilka chwil Ludwik Nawarry zostanie królem Francji, a wszyscy wiedzieli, że Valois całkowicie go opanował. Autorytet tego ostatniego wzrastał więc z każdą chwilą i wielki inkwizytor zwracał się do niego jak do rzeczywistego władcy.

Valois, odcinając drogę Mahaut, stanął między nią a łóżem.

- Bracie mój - rzekł - czy nie pragniecie nic zmienić w waszym testamencie z 1311 roku?

- Nogaret umarł - rzekł król.

Valois ze smutkiem kiwnął głową w stronę wielkiego inkwizytora, a ten z równym smutkiem rozłożył ręce, jakby ubolewając, że zbyt długo czekano. Ale król dorzucił:

- On był wykonawcą mego testamentu.

- Trzeba więc podyktować kodycył i ponownie wymienić wykonawców, mój bracie - powiedział Valois.

- Pić - szepnął Filip Piękny.

Odrobiną wody święconej zwilżono mu wargi.

- Myślę, że nadal chcecie, abym czuwał nad wykonaniem waszej woli - podjął Valois.

- Zapewne... I wy także, mój bracie Ludwiku - rzekł król, spoglądając na hrabiego d'Evreux.

Maillard począł pisać, półgłosem wymawiając formuły obowiązujące w królewskich testamentach.

Po Ludwiku d'Evreux król mianował następnych wykonawców testamentu, w miarę jak jego oczy - jeszcze bardziej przerażające teraz, gdy mętniał ich błąd błękit - przesuwały się po twarzach niektórych obecnych. Wymienił tak Filipa le Convers, później Piotra de Chambly, dworzanina swego drugiego syna, i jeszcze Hugona de Bouville.

Wtedy wystąpił naprzód Enguerrand de Marigny i stanął tak, by jego masywna postać znalazła się w zasięgu wzroku umierającego.

Koadiutor wiedział, że od dwóch tygodni Karol de Valois powtarzał przed osłabionym monarchą swoje żale i oskarżenia: „To Marigny, mój bracie, jest przyczyną waszych trosk... To Marigny wydał na łup Skarb... To Marigny nieuczciwie przehandlował pokój z Flandrią... To Marigny

doradził wam spalić wielkiego mistrza...”

Czy, jak każdy tego wyraźnie oczekiwał, Filip Piękny wymieni wśród wykonawców testamentu Marigny’ego i potwierdzi tym ostatecznie swoje doń zaufanie?

Maillard z podniesionym piórem obserwował króla, ale Valois szybko powiedział:

- Myślę, że już dość, mój bracie.

I władczym gestem nakazał Maillardowi zamknąć listę. Marigny zbladł, zacisnął dłonie na pasie i podnosząc głos powiedział:

- Sire! Zawsze wiernie wam służyłem. Proszę, abyście mnie polecili waszemu Dostojnemu Synowi.

Król zawahał się chwilę między dwoma rywalami, którzy walczyli o wpływ na niego, między Valois a Marigny, między swoim bratem a swoim pierwszym ministrem. Tak wiele myśleli o sobie, a tak mało o nim!

- Ludwiku - rzekł znużony - niech nikt nie obraża Marigny’ego, o ile dowiedzie, że był wierny.

Wtedy Marigny zrozumiał, że oszczerstwa osiągnęły cel. Wobec tak jawnego odstępstwa zastanawiał się, czy Filip Piękny kiedykolwiek go lubił.

Marigny był jednak świadom swej władzy. Miał w ręku administrację, finanse, wojsko. Znał świetnie „stan królestwa”. Wiedział, że bez niego nie można rządzić. Skrzyżował ramiona, podniósł w górę szeroki podbródek i patrząc na Valois i Ludwika Nawarry po drugiej stronie łoża, gdzie konał jego monarcha, zdawał się rzucać wyzwanie następnym władcom.

- Sire, czy macie jeszcze jakieś życzenia - spytał brat Renaud.

Hugo de Bouville poprawił w kandelabrze świecę, która się niebezpiecznie pochyliła.

- Dlaczego tak tu ciemno? - zapytał król. - Czy to jeszcze noc, czy dzień jeszcze nie nastał?

Mimo południa nagle, niezwykle, przerażające ciemności ogarnęły zamek. Nastąpiło zapowiedziane zaćmienie słońca i w tej chwili całkowity mrok okrył królestwo Francji.

- Oddaję mojej córce Izabeli otrzymany od niej pierścień z wielkim rubinem zwanym Wiśnią - rzekł nagle król.

Przerwał na chwilę i znów zapytał:

- Czy Piotr de Latille przybył? - A ponieważ nikt nie odpowiedział, dorzucił:

- Jemu daję mój piękny szmaragd.

W dalszym ciągu wymieniał legaty dla różnych kościołów. Kwiaty lilii ze szczerego złota „o wartości tysiąca liwrów każdy”, jak sprecyzował, ofiarował kościołom: Notre-Dame w Boulogne - bo tam brała ślub jego córka - Saint-Martin w Tours i Saint-Denis.

Brat Renaud pochylił się i szepnął mu do ucha:

- Sire, nie zapomnijcie o naszym opactwie w Poissy.

Po zapadłej twarzy Filipa Pięknego przemknął wyraz sprzeciwu.

- Bracie Renaud - rzekł - przekazuję waszemu klasztorowi moją piękną biblię z własnoręcznymi dopiskami. Bardzo się przyda wam i wszystkim spowiednikom królów Francji.

Mimo, iż wielki inkwizytor oczekiwał hojniejszego daru, potrafił ukryć swoje rozczarowanie.

- Waszym siostrom z klasztoru Świętego Dominika w Poissy pozostawiam wielki krzyż templariuszy. I moje serce niech tam spocznie.

Król skończył dyktować listę darów. Maillard odczytał głośno kodycył; gdy doszedł do słów „za króla”, Valois przyciągnął do siebie następcę tronu i ściskając mu mocno ramię, rzekł:

- Dorzućcie: „i za zgodą króla Nawarry”.

Filip Piękny opuścił podbródek niemal niedostrzegalnie, ruchem zrezygnowanej aprobaty. Nadszedł kres jego panowania.

Musiano poprowadzić mu rękę, aby mógł złożyć podpis u dołu pergaminu. Wyszeptał:

- To wszystko?

Nie. Ostatni dzień króla Francji jeszcze się nie zakończył.

- Sire, teraz trzeba, abyście przekazali moc królewskiego cudu - rzekł brat Renaud.

Poprosił zebranych o opuszczenie komnaty, aby król mógł przekazać synowi, związaną w tajemniczy sposób z osobą króla, moc leczenia skrofułów.

Opadając na poduszki, Filip Piękny jęknął:

- Bracie Renaud, patrzcie, co wart ten świat. Oto król Francji! W chwili gdy umierał, wymagano jeszcze od niego wysiłku przekazania następcy rzeczywistej lub wyimaginowanej władzy leczenia błażej dolegliwości.

To nie Filip Piękny wtajemniczył syna w formułki i modlitwę związane z cudem; już je zapomniał. Uczynił to brat Renaud. A Ludwik Nawarry, klęcząc koło ojca, z lodowatych dłoni króla złączonych z jego rozpalonymi rękami przejął tajemnicze dziedzictwo.

Dopełniwszy tego obrządku znów dopuszczono dwór do komnaty, a brat Renaud rozpoczął modlitwy za konających.

Dwór właśnie podjął werset „*In manus tuas, Domine...* W ręce twoje, Panie, oddaję ducha mojego...”, gdy otwarły się drzwi; stanął w nich Piotr de Latille, przyjaciel króla z lat dziecięcych. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego, podczas gdy wszystkie usta mamrotały.

- *In manus tuas, Domine* - podjął biskup Piotr.

Spojrzeli na łożo i modlitwa uwięzła im w gardłach; król z żelaza leżał martwy.

Brat Renaud zbliżył się, aby zamknąć mu oczy. Ale powieki, których za życia król nigdy nie opuszczał, podniosły się same. Wielki inkwizytor dwukrotnie próbował je przymknąć - na próżno. Trzeba było zakryć opaską spojrzenie tego monarchy, który z otwartymi oczami wchodził w Wieczność.





Noty historyczne do tomu 1



¹ [Filip Piękny, dążąc do scalenia Francji w granicach dawnej Galii, skorzystał z błahego pretekstu - konfliktu pomiędzy marynarzami angielskimi a marynarzami francuskimi w jednym z portów kontynentu - i wszczął wojnę (1294 r.), która toczyła się na południowym zachodzie Francji i na północy, we Flandrii. W 1297 r. król angielski Edward II zawarł rozejm, a potem trwały pokój, zagrożony był bowiem buntem w Szkocji.]



² Suwerenny Zakon Rycerzy Świątyni Jerozolimskiej założony został w 1128 r., aby zapewnić opiekę na miejscami świętymi w Palestynie i nad szlakiem pielgrzymek. Reguła zakonna, ułożona przez świętego Bernarda, była surowa. Rycerzy obowiązywały: czystość, ubóstwo, posłuszeństwo. Nie wolno im było „wpatrywać się w twarz kobiety... ani całować osoby płci żeńskiej, ani wdowy, ani dziewicy, ani matki, ani siostry, ani ciotki, ani żadnej innej kobiety”.

Na wojnie byli zobowiązani walczyć jeden przeciwko trzem i nie mieli prawa do wykupu z niewoli. Wolno im było polować tylko na lwy.

Ci zakonnicy-żołnierze, tworząc jedyną dobrze zorganizowaną siłę zbrojną, stanowili osłonę bezładnych często oddziałów, z jakich składały się armie krzyżowców. Znajdowali się w straży przedniej podczas wszystkich ataków, w straży tylnej podczas odwrotów. Dodatkową trudność stwarzały im: niekompetencja i rywalizacja książąt dowodzących przypadkowo zebranymi wojskami. Templariusze w ciągu dwóch wieków pozostawili na polach bitew przeszło dwadzieścia tysięcy rycerzy - cyfrę ogromną w stosunku do stanu liczebnego zakonu. Pod koniec istnienia królestwa jerozolimskiego popełnili jednak kilka fatalnych błędów strategicznych.

W tym okresie okazali się dobrymi administratorami. Ponieważ byli bardzo potrzebni, złoto z całej Europy napływało do ich skarbców. Oddawano im pod opiekę całe prowincje. W ciągu stu lat faktycznie rządili latyńskim cesarstwem Konstantynopola. Jak prawdziwi władcy jeździli po świecie nie płacąc ani podatków, ani danin, ani myta. Zależni byli tylko od papieża. Posiadali komandorie w całej Europie i na Środkowym Wschodzie, lecz główna ich siedziba mieściła się w Paryżu. Z biegiem czasu uruchomili wielki bank. Stolica Apostolska oraz niezawisłe księstwa w Europie miały u nich bieżące rachunki. Udzielali pożyczek pod zastaw i wypłacali z góry okup za jeńców. Król Baldwin zastawił u nich „prawdziwy Krzyż”.

Wyprawy, podboje, majątkości, wszystko było ponad zwykłą miarę w dziejach templariuszy, aż po procedurę sądową, jaką zastosowano, aby doprowadzić do zniesienia zakonu. Sam rulon pergaminu, na którym spisane zostały protokoły przesłuchań w 1307 r., mierzy 22 m 20 cm długości.

Od samego początku do dziś istnieją kontrowersje w sprawie tego niezwyklego procesu. Jedni historycy atakują oskarżonych, inni Filipa Pięknego. Niewątpliwie oskarżenia wysuwane przeciwko templariuszom były w znacznej części wyolbrzymione i kłamliwe, ale nie ulega wątpliwości, że istniały w zakonie dość znaczne odchylenia natury dogmatycznej. Długi pobyt na Wschodzie zbliżył ich do pewnych - wciąż istniejących - obrządków pierwotnej religii chrześcijańskiej, do islamu, który zwalczali, a nawet do ezoterycznych tradycji starożytnego Egiptu.

Właśnie na tle ceremonii inicjacji - wskutek tak częstego w średniowiecznej inkwizycji pomieszania pojęć - powstało oskarżenie o oddawanie przez nich czci bożkom, o praktyki diabelskie i czary.

Sprawa templariuszy mniej by nas interesowała, gdyby nie wiązała się z historią nowożytną. Wiadomo, że zakon templariuszy po oficjalnym jego rozwiązaniu na-

tychmiast przekształcił się w międzynarodowe tajne stowarzyszenie i znane są nazwiska wielkich mistrzów aż po XVIII wiek.

Templariusze tkwią u źródeł powstania cechów, instytucji istniejącej do dziś. W odległych komandoriach potrzebowali chrześcijańskich robotników. Stworzyli więc dla nich ramy organizacyjne i nadali regułę zakonną, zwaną „obowiązkiem”. Robotnicy nie nosili miecza i byli przyodziani w białą odzież; brali udział w wyprawach krzyżowych i zbudowali na Środkowym Wschodzie potężne twierdze według tzw. w architekturze „modelu krzyżowców”. Nauczyli się oni pewnych metod pracy odziedziczonych po starożytności, które posłużyły im potem do wznoszenia na Zachodzie gotyckich kościołów. W Paryżu „kompanie” - jak je zwano - mieszkały w obrębie dzielnicy Temple lub w dzielnicy doń przyległej i korzystały z przywileju „wolności”. Dzielnice te były centrum wtajemniczonych robotników przez pięćset lat.

Za pośrednictwem tej konfraterni zakon templariuszy wiąże się z powstaniem wolnomularstwa. I tu, i tam przechodzi się „próby” podczas ceremonii wtajemniczenia, a nawet istnieją określone symbole, które nie tylko były własnością dawnych templariuszy, ale które - co dziwniejsze - spotyka się czasem na ścianach grobowców egipskich faraonów. Stąd mniemanie, że owe metody pracy zostały przeniesione do Europy przez templariuszy.



³ Pierwszym chronologicznie poetą francuskim, tworzącym w języku prowansalskim, był Guillaume IX, diuk Akwitanii (1071-1127), jedna z najważniejszych i najbardziej przyciągających uwagę postaci w średniowieczu.

Możny pan, sławny kochanek, wielki poeta żył i myślał w sposób zgoła wyjątkowy jak na swoją epokę. Wyrafinowany przepych, jakim się otaczał na swych zamkach, tkwi u źródła słynnej „dwornej miłości” (*cours d'amour*).

Pragnąc całkowicie wyzwolić się spod władzy Kościoła, odmówił papieżowi Urbanowi II udziału w wyprawie krzyżowej, mimo iż ten specjalnie go odwiedził w jego państwie. Wykorzystał nieobecność sąsiada, hrabiego Tuluzy, by zagarnąć jego ziemie. Nieco później jednak awanturnicze opowiadania skłoniły go, by wyruszyć na Wschód na czele 30-tysięcznej armii, z którą dotarł aż do Jerozolimy.

Pieśni Guillaume'a, z których zachowało się tylko jedenaście, wprowadzają do literatury prowansalskiej, a szerzej biorąc, do literatury francuskiej, nie istniejące poprzednio, wyidealizowane pojęcie kobiety i miłości. Są one źródłem wielkiego nurtu liryki miłosnej, który przepływa przez całą literaturę francuską, odświeża ją i zapładnia. Na twórczość tego księcia-trubadura wywarli pewien wpływ poeci hiszpańsko-arabscy.



⁴ Sprawa o sukcesję hrabstwa Artois, o której mowa w tym tomie oraz w następnych, jest jednym z najbardziej dramatycznych sporów o dziedzictwo w historii Francji. Przedstawia się następująco: w 1237 roku Ludwik Święty nadał hrabstwo-parostwo Artois swemu bratu Robertowi jako uposażenie. Ten Robert I d'Artois miał syna, Roberta II, który poślubił Amicie de Courtenay, panią na Conches. Robert II miał dwoje dzieci: Filipa, zmarłego w 1298 r. z ran odniesionych w bitwie pod Furnes, oraz Mahaut, która poślubiła Ottona, hrabiego-palatyna Burgundii.

Po śmierci Roberta II, zabitego w bitwie pod Courtrai w 1302 r. - a więc w cztery lata po śmierci jego syna Filipa - po hrabstwo zgłosili się jednocześnie Robert III, syn Filipa - nasz bohater - i Mahaut, jego stryjna, która powoływała się na zwyczajowe prawo w Artois [dopuszczające do dziedziczenia w linii żeńskiej].

W 1309 r. Filip Piękny rozstrzygnął spór na korzyść Mahaut, która po śmierci męża, jako regentka hrabstwa Burgundii, wydała za mąż swoje dwie córki: Joannę i Blanę, za Filipa i Karola, drugiego i trzeciego syna Filipa Pięknego. Decyzję, która ją uprzywilejowała, Mahaut zawdzięczała tym właśnie związkom, dzięki nim bowiem Francja uzyskała, jako posag Joanny, hrabstwo Franche-Comté. Mahaut została więc hrabiną-parem Artois.

Robert nie uznał się za pokonanego i przez dwadzieścia lat z zaciętym uporem, czy to na drodze sądowej, czy to w bezpośredniej akcji, toczył walkę ze swoją stryjną. W sporze tym obie strony nie gardziły żadnymi metodami: denuncjacja, oszczerstwem,

falszerstwem, czarami, trucizną, agitacją polityczną. Spór - jak później zobaczymy - zakończył się tragicznie dla Mahaut, tragicznie dla Roberta, tragicznie dla Anglii i Francji.

Przypominamy czytelnikowi, że jeśli chodzi o ród, a raczej rody burgundzkie, w owym czasie istniały dwie całkowicie różne Burgundie, obie związane ze sprawą Artois, podobnie jak ze wszystkimi ważnymi sprawami królestwa: księstwo Burgundii - lenno korony francuskiej - oraz hrabstwo Burgundii, które było palatynatem i zależało od Świętego Cesarstwa. Stolicą księstwa było Dijon, zaś hrabstwa - Dôle. Słynna Małgorzata Burgundzka pochodziła z rodziny diuków; jej kuzynki, a jednocześnie szwagierki, z rodziny hrabiowskiej.



⁵ Trzosik, w języku francuskim zwany w średniowieczu *bougette* (fonetycznie: bużet) względnie *bolgète* (fonetycznie: bolżet), był zawieszany przy pasku albo też przy łęku siodła. Wyraz ten przyjął się w Anglii, gdzie pisano go *boudgett* (fonetycznie: budżet), oznaczał zaś trzos skarbnika królestwa, a w szerszym pojęciu jego zawartość; taki jest źródłosłów wyrazu „budżet”, jak widać pochodzenia anglosaskiego.



⁶ Chronologia średniowieczna nie tylko różniła się od nam współczesnej, ale system datowania zmieniał się zależnie od kraju.

Oficjalny rok zaczynał się w Niemczech, Szwajcarii, Hiszpanii, Portugalii w dniu Bożego Narodzenia; w Wenecji - 1 marca; w Anglii - 25 marca; w Rzymie czasem 25 stycznia, a czasem 25 marca; we Francji pierwszy dzień Wielkanocy był początkiem roku prawnego. Styl ten zwano „wielkanocnym” albo „stylem francuskim”, albo „dawnym stylem”. Osobliwy ten zwyczaj rozpoczynania nowego roku w dzień święta ruchomego sprawiał, że ilość dni w poszczególnych latach wahała się od trzystu trzydziestu do czterystu. Niektóre lata miały dwie wiosny; jedną na początku, drugą na końcu roku.

Ten dawny styl jest źródłem bardzo wielu powikłań i wynikają stąd ogromne trudności w ustaleniu dokładnej daty. Według dawnego stylu koniec procesu templariuszy należy umiejscowić w 1313 roku, ponieważ Wielkanoc 1314 roku wypadła 7 kwietnia.

Dopiero w grudniu 1564 r., za panowania Karola IX, przedostatniego króla z dynastii Walezjuszy, początek roku został prawnie wyznaczony na dzień 1 stycznia.

Rosja przyjęła „nowy styl” dopiero w 1725 r., Anglia - w 1752 r., zaś Wenecja - ostatnia, po zdobyciu jej przez Bonapartego.

Daty podane w powieści są oczywiście dostosowane do nowego stylu.

[W średniowiecznej Polsce nowy rok rozpoczynał się przeważnie 25 grudnia, ale już w 1364 r. pojawia się dzisiejszy sposób datowania od 1 stycznia, zaś ogólnie obowiązuje on od połowy XV wieku.]



⁷ Pałac Templariuszy z przyległościami, tzw. „uprawami”, oraz sąsiednimi ulicami tworzył dzielnicę Temple, która to nazwa przetrwała do dziś. W wielkiej wieży, służącej za ciemnicę Jakubowi de Molay, więziony był w przeszło cztery i pół wieku później Ludwik XVI. Stamtąd wyprowadzono go na gilotynę. Wieżę zburzono w 1811 r.



⁸ Sierżantami zwano niższych urzędników, pełniących różne funkcje w zakresie utrzymania porządku publicznego oraz w zakresie sprawiedliwości. Funkcje te obejmowały obowiązki woźnych (odźwiernych) i strażników. Posiadali przywilej eskortowania oraz poprzedzania króla, ministrów, przewodniczących Parlamentu Sprawiedliwości, rektora uniwersytetu. Pałka dzisiejszych policjantów jest reliktem kija dawnych sierżantów, podobnie jak berło, które dziś jeszcze noszą woźni podczas uroczystości uniwersyteckich.

W roku 1254 do policji w Paryżu było przydzielonych specjalnie sześćdziesięciu sierżantów.



⁹ Nadawany gildiom przywilej handlu w pobliżu czy też w samej siedzibie panującego, jak się zdaje, pochodzi ze Wschodu. W Bizancjum sprzedawcy perfum mieli prawo ustawiać kramy przed wejściem do pałacu cesarskiego, bowiem zapach wonnych olejków mile łechtał powonienie basileusa. [Od VI wieku tytuł cesarza Bizancjum.]



¹⁰ [Koadiutor - tytuł używany zasadniczo w hierarchii kościelnej - oznacza pomocnika, zastępcę prałata, np. opata, biskupa itp.

Marigny, posiadając nadany mu przez Filipa Pięknego tytuł koadiutora oraz „rzeczywistego współrządcy królestwa”, miał stanowisko pierwszego ministra. Podlegały mu: administracja, finanse, więziennictwo i wojsko. Autor zowie go nawet wicekrólem.]



¹¹ Wieża Nesle - pierwotnie zwana wieżą Hamelin, od nazwiska patronującego jej budowie prewota Paryża - i pałac Nesle znajdowały się na obszarze, który dziś zajmują Instytut Francuski oraz Pałac de la Monnaies - słynne muzeum numizmatyczne.

Ogród po zachodniej stronie otaczały wały obronne, wzniesione przez Filipa Augusta, zaś na terenie fosy, zwanej wówczas „fosą Nesle”, przebiega dziś ulica Mazarine. W XIV wieku całość dzieliła się na: Wielki Pałac Nesle, Mały Pałac Nesle oraz Rezydencję Nesle. Na poszczególnych częściach tego obszaru wybudowano w następnych wiekach pałace: Nevers, Guénégaud, Conti oraz Monnaies. Wieżę zburzono w 1663 r. i na jej miejscu wzniesiono kolegium Mazarini albo Czterech Narodów, przyłączone w 1805 r. do Instytutu Francuskiego.



¹² Papier z bawełny pojawił się w Europie około X wieku. Prawdopodobnie jest to wynalazek chiński, pierwotnie zwany „pergaminem greckim”, tak bowiem nazwali go Wenecjanie, którzy zetknęli się z nim w Grecji. Papier płócienny (z gałganów), importowany przez Saracenów hiszpańskich, pojawił się nieco później. Pierwsze fabryki papieru powstają w Europie w ciągu XIII wieku. Papieru nie używano wówczas do sporządzania urzędowych dokumentów ze względu na trudność konserwacji, a także dlatego, że był nietrwały i nie nadawał się do umieszczania na nim „wiszących pieczęci”.



¹³ [Ludwik IX ograniczył sądownictwo feudalne, zastępując je sądami królewskimi. Sądy te powstały z wyodrębnienia części Rady Królewskiej i otrzymały nazwę „Parlamentu”. Z czasem członków Rady zastąpili sędziowie zawodowi. Do obowiązków Parlamentu należało również rejestrowanie królewskich zarządzeń.]



¹⁴ Królowie Francji mieli zwyczaj odwoływać się do zgromadzeń ludowych jako do instytucji opiniodawczych. Powstały one za panowania Filipa Pięknego. Z czasem otrzymały nazwę Stanów Generalnych, a po 1789 r. przekształciły się we francuskie instytucje parlamentarne.

[Pierwsze Stany Generalne zwołano 10 kwietnia 1302 r. w Paryżu, celem aprobowania antypapieskiej polityki Filipa Pięknego. W maju 1308 r. w Tours Filip Piękny wyjaśnił Stanom Generalnym motywy swej polityki w stosunku do templariuszy.]



¹⁵ W średniowieczu określenie pór dnia było o wiele mniej dokładne niż obecnie; stosowano podział kościelny; pryma, tercja, nona i nieszpory.

Pryma zaczynała się około szóstej rano, tercja obejmowała godziny przedpołudniowe, nona - południe i środek dnia, zaś nieszpory (z rozróżnieniem nieszporów i komplety) koniec dnia aż do zachodu słońca. [Kompleta - ostatnia modlitwa wieczorna księży.]



¹⁶ Wyspą Kozią nazywano wysepkę znajdującą się przed Wyspą Cité w kierunku biegu rzeki. Potem nazwano ją Wyspą Żydowską, gdyż odbywały się na niej egzekucje

paryskich Żydów. Kiedy przystąpiono do budowy Pont-Neuf, połączono ją z sąsiednią wysepką oraz z samą wyspą Cité. Dziś znajduje się tam ogród Vert Galant.



¹⁷ W głębokim średniowieczu Paryż figuruje w kościelnej jurysdykcji jako biskupstwo i z tego powodu nie jest zaliczony do dwudziestu jeden „metropolii”, wymienionych w testamencie Karola Wielkiego. Paryż aż do XVII wieku należał do arcybiskupstwa w Sens. Biskup Paryża był sufraganiem arcybiskupa w Sens, który jako wyższa instancja rozpatrywał decyzje oraz wyroki wydawane przez pierwszego. Biskupstwo w Paryżu podniesiono do rangi arcybiskupstwa za panowania Ludwika XIII.



¹⁸ Prewotami zwano urzędników królewskich, skupiających w swym ręku zwierzchnictwo nad policją i wojskiem w okręgu, jak również funkcje urzędników skarbowych i prowadzących ewidencję. To zupełnie wystarczało, aby nie cieszyli się popularnością. Jednakże już w początkach XIV wieku w niektórych prowincjach następuje podział kompetencji między prewotów a poborców podatkowych.



¹⁹ Strój wdów ze szlacheckich rodów składał się z długiej czarnej sukni bez ozdób i klejnotów, z białej podwinki, obejmującej szyję i podbródek, oraz białego welonu osłaniającego włosy.



²⁰ [Bajlifami i seneszalami zwano królewskich urzędników, powołanych przez Filipa Augusta (XIII w.) do kontroli rządców w dobrach królewskich; do ich kompetencji należało również sprawowanie sądów w okręgach. Bajlifów zwano w południowej Francji seneszalami.]



²¹ Od końca XI wieku poczynając, odkąd na tronie brytyjskim zasiadła dynastia normandzka, większość szlachty angielskiej była pochodzenia francuskiego. Rekrutowała się przede wszystkim spośród baronów normandzkich - towarzyszy Wilhelma Zdobywcy - potem, wraz z objęciem tronu przez Plantagenetów, zasilili ją rody z Andegawenii oraz Akwitanii. Arystokracja ta zachowała język i obyczaje ojczystego kraju.

W XIV wieku językiem dworskim był francuski, jak zresztą świadczy o tym zdanie: *Honni soit qui mal y pense*. wypowiedziane przez Edwarda III w Calais, gdy przypinał podwiązkę hrabinie Salisbury. Zdanie to stało się dewizą Orderu Podwiązki.

Korespondencja królewska redagowana była w języku francuskim; wielu panów angielskich posiadało lenna w obu krajach.

Przy okazji należy zaznaczyć w tym miejscu naszej opowieści, że król Edward III w pierwszych dwóch latach życia odbył dwie podróże do Francji. W czasie pierwszego pobytu we Francji omal nie udusił się w kołysce dymem, gdy wybuchł pożar w Maubuisson. W tej powieści jest mowa o drugiej podróży z matką.



²² Starszy giermek [autor używa terminu *bachelier*, nie mającego odpowiednika w języku polskim] jest w hierarchii rycerskiej stopniem pośrednim między giermkim a rycerzem. Mianem tym określano w średniowieczu bądź giermków, którzy już ukończyli staż, lecz nie mieli dostatecznych funduszy, aby wystawić chorągiew, czyli własny oddział wojskowy, bądź giermków, którzy po okresie „giermkowania” oczekiwali na uroczystość pasowania ich na rycerzy.



²³ W średniowieczu jeźdźcami nazywano kurierów, którzy przewozili listy urzędowe. Panujący książęta, papieże, możnowładcy oraz najwyżsi dygnitarze świeccy i duchowni mieli swoich jeźdźców, których stroje ozdobione były ich herbami.

Jeźdźcy królewscy mieli pierwszeństwo przy rekwizycji koni podczas podróży. Jadąc systemem sztafetowym z łatwością przebyć mogli sto kilometrów dziennie.



²⁴ Lud nazywał nikczemnym datkiem - w ludowej łacinie *mala tolta* - podatek obrotowy nałożony przez Filipa Pięknego. Podatek ten wynosił jednego denara od jednego liwra, czyli 0,5% w liwrach tureńskich i 0,33% w liwrach paryskich. Opłata ta była przyczyną poważnych rozruchów i pozostawiła po sobie wspomnienie miazdzącego ucisku finansowego.

[Karol Wielki wprowadził system monetarny oparty na parytecie srebra: 1 liwr = 20 soldów = 240 denarów. Do XIII wieku monetę królewską bito w Tours, następnie w mennicy paryskiej, przy czym sold paryski liczył 15 denarów, a nie 12, jak tureński, który nadal pozostał w obiegu. Obok monet srebrnych mennica biła również monety złote.

Pozostałością dawnego, bo datującego się jeszcze od czasów Karolingów, systemu monetarnego był do niedawna podział monetarny w Anglii.]



²⁵ Trucizna „wąż faraona” była prawdopodobnie sulfocyjankiem rtęci. Sól ta wydziela przy spalaniu kwas siarkowy, opary rtęciowe oraz związki cyjanowodorowe i może wywołać zatrucie tak cyjanowodorem, jak i rtęcią.

Wszystkie prawie trucizny średniowiecza zawierały rtęć - ulubiony surowiec alchemików. Nazwę „wąż faraona” nadano później dziecięcym zabawkom, gdyż przy ich sporządzaniu używano tej soli.



²⁶ Filipa Pięknego uważać można za pierwszego niezależnego króla galijskiego. Bonifacy VIII w bulli *Unam Sanctam* oświadczył: „...każda istota ludzka winna w pokorze słuchać papieża w Rzymie, zaś to posłuszeństwo jest niezbędne do jej zbawienia”. Filip Piękny walczył bez ustanku o niezależność władzy świeckiej w sprawach doczesnych. Natomiast jego brat Karol był zdecydowanym zwolennikiem polityki papieskiej.

[Warto podkreślić, że w bulli *Unam Sanctam*, ogłoszonej 18 XI 1302 r. i wy-stosowanej do całego chrześcijańskiego świata, Bonifacy VIII sprecyzował zasadę wyższości władzy duchownej nad świecką tak ostro, jak żaden z jego poprzedników. Bulla mówi, że Kościół ma tylko jedną głowę, lecz dwa miecze. Jeden z nich należy jedynie do papieża, drugi - oznaka władzy świeckiej - może być piastowany przez świeckich tylko za zgodą papieża. Władza duchowna sędzi świecką, sama zaś sądzona jest tylko przez Boga.]



²⁷ [Katarowie, inaczej albigensi, to sekta religijna wyznająca zasady dualizmu. Główną ich siedzibą były okolice miasta Albi w południowej Francji. W 1209 r. papież Innocenty III zwołał przeciw nim krucjatę, na czele której stanął Szymon de Montfort. Krzyżowcy złupili Béziers i Carcassonne i pokonali albigensów mimo opieki i poparcia, jakich im udzielił Rajmund VI, hrabia Tuluzy. Wojna ta trwała przeszło 20 lat i spustoszyła całe południe Francji. Istnieje przypuszczenie, iż ojciec Nogareta pochodził z rodziny związanej z albigensami. Nazwą katarów określano w średniowieczu heretyków.]



²⁸ W czasie panowania Filipa Pięknego archiwa były instytucją stosunkowo świeżą. Założył je Ludwik Święty, który postanowił zebrać i sklasyfikować wszystkie dokumenty, dotyczące praw i zwyczajów królestwa. Do tego czasu wszystkie dokumenty przechowywali - o ile w ogóle je przechowywano - możnowładcy względnie gminy miejskie: król zachowywał tylko - aby mieć pod ręką - traktaty oraz dokumenty dotyczące dóbr koronnych. Za pierwszych Kapetyngów wszystkie akta ładowano na wóz, który jechał w ślad za królem, gdy ten udawał się w podróż.



²⁹ [Nestorianizm - doktryna teologiczna powstała w V wieku, a dotycząca dwoistej natury Chrystusa: boskiej i ludzkiej; rozpowszechniali ten pogląd biskupi antiocheńscy oraz Nestoriusz, patriarcha Konstantynopola (zm. ok. 440 r.). Doktryna ta, potępiona

przez sobór w Efezie (431), przeniknęła do Persji, a stamtąd do Indii (VI w.) i Chin (VII w.).

Nestorianie mieli duże wpływy w otoczeniu chanów mongolskich, którzy w XIII wieku podbili północne Chiny i docierali do Chin południowych.

Świat chrześcijański lękał się, że z pomocą nestorian - chrześcijan, choć heretyków - uda się nawrócić na „prawdziwą wiarę” Mongołów i wspólnie z nimi odzyskać utraconą w XII wieku Jerozolimę. Papież Innocenty IV wysłał do chana Persji poselstwo (1245), zaś król francuski Ludwik IX usiłował nawiązać z nimi kontakt i zawrzeć sojusz. Starania te spełzły na niczym.]



³⁰ W połowie XIII wieku pojawiają się we Francji królewscy mieszczanie. Jest to grupa poddanych, która podlega sądom królewskim, a wskutek tego uwolniona jest spod władzy pana względnie wolna od zobowiązań wobec miasta, które zamieszkuje. Podlega wyłącznie władzy centralnej. Instytucja mieszczan królewskich szybko rozbudowuje się za panowania Filipa Pięknego. Można twierdzić, że królewscy mieszczanie są pierwszymi Francuzami posiadającymi statut prawny porównywalny ze statutem współczesnego obywatela Francji.



³¹ [Madziarowie - koczowniczy lud pochodzenia ugrofińskiego - zapuszczali się w wiekach średnich daleko na zachód Europy. W drugiej połowie X wieku, pod wpływem głębokich przemian społecznych i politycznych, zaniechali wędrówek i założyli państwo węgierskie.]



³² Pierwszy ratusz, czyli „dom gminy miejskiej”, zwał się „Domem Towarowym”, a od XI wieku „Rozmównicą Mieszczan” i mieścił się w okolicach Châtelet. Dopiero w 1357 r. Etienne Marcel przeniósł siedzibę samorządu miejskiego do domu na placu Grève i część pomieszczenia przeznaczył na zebrania mieszczan. Obecnie w tym miejscu znajduje się Ratusz paryski.



³³ [Montfaucon - nazwa wzgórza, gdzie stały szubienice.]



³⁴ Okrzyk łowiecki we Francji brzmiał: „taille-hors”; później przekształcił się w „taiaut” i przetrwał do dziś; oznacza, że dostrzeżono gonioną zwierzynę. [Jego polskim odpowiednikiem jest okrzyk: huź-ha, huzia lub wyczha.]



³⁵ Z zachowanych dokumentów oraz raportów ambasadorów można wnioskować, że Filip Piękny miał wylew w strefie niemotorycznej mózgu. Drugi, śmiertelny wylew nastąpił 26 lub 27 listopada.





Noty biograficzne do tomu 1



ANDEGAWENKA SYCYLIJSKA Małgorzata, hrabina de Valois (ok.1270-31 XII 1299)

Córka Karola II Andegawena, zwanego Kulawym, i Marii Węgierskiej. Pierwsza żona Karola de Valois. Matka Filipa VI, przyszłego króla Francji.



ANDRONIK II Paleolog (1258-1332)

Cesarz Konstantynopola. Koronowany w 1282. W 1328 zdeponizowany przez swego wnuka Andronika III



ARTOIS Mahaut d', hrabina Burgundii, później Artois (?-27 XI 1329)

Córka Roberta II d'Artois. Poślubiła w 1291 hrabiego-palatyna Burgundii, Ottona IV (zm.1303). Po arbitrażu królewskim w 1309 – par na Artois. Matka Joanny Burgundzkiej, małżonki Filipa de Poitiers, przyszłego Filipa V, oraz Blanki Burgundzkiej, małżonki Karola Francuskiego, przyszłego Karola IV.



ARTOIS Robert III d' (1287-1342)

Syn Filipa d'Artois i wnuk Roberta II d'Artois, hrabia na Beaumont-le-Roger i pan na Conches od 1309. W 1318 poślubił Joannę de Valois, córkę Karola de Valois i Katarzyny de Courtenay. Od 1328, z tytułu nadania mu hrabstwa Beaumont-le-Roger, par Francji. Wygnany z Francji w 1332 schronił się na dworze króla Anglii Edwarda III. Śmiertelnie ranny pod Vannes. Pochowany w katedrze Św. Pawła w Londynie.



AUCH Arnold d' (?-1320)

Biskup Poitiers od 1306. Mianowany przez papieża Klemensa V kardynałem-biskupem w Albano. W 1314 legat papieski w Paryżu. Kamerling papieski od 1319.



AUNAY Filip d' (?-1314)

Młodszy syn Gautiera d'Aunay, pana na Moucy-le-Neuf, Mesnil i Grand Moulin. Kochanek Małgorzaty Burgundzkiej, żony Ludwika Nawarry, zwanego Kłótlwym. Po udowodnieniu mu cudzołóstwa (sprawa wieży Nesle) został stracony w Pontoise.



AUNAY Gautier d' (?-1314)

Brat wyżej wymienionego. Poślubił Agnieszkę de Montmorency. Starszy giermek hrabiego de Poitiers, drugiego syna Filipa Pięknego. Kochanek Blanki Burgundzkiej, żony Karola Francuskiego, trzeciego syna Filipa Pięknego. Stracony wraz z bratem w Pontoise.



BAGLIONI Guccio (ok.1295-1340)

Bankier sienneński, syn Mina Baglioni, spokrewniony z rodziną Tolomei. W 1315 kierował filią banku w Neauphle-le-Vieux. Poślubił potajemnie Marię de Cressay i w 1316 miał z nią syna Giannina, zamienionego w kołysce z Janem Pogrobowcem. Zmarł w Kampanii.



BARBETTE Etienne (ok.1250-19 XII 1321)

Mieszczanin; rodzina jego należała do miejskiego patrycjatu Paryża. W 1275 dróżnik paryski, w 1296 ławnik, przewodniczący gildii kupców w latach 1296 i 1314, mincarz i skarbnik król. Siedzibę jego – dworek Barbette – splądrowano podczas rozruchów w 1306.



BOCCACCIO da Chellino

Bankier florencki. Przedstawiciel kompanii Bardich. Miał z kochanką, Francuzką,

nieślubnego syna (1313); był nim znakomity poeta Boccaccio, autor *Dekameronu*.

✱

BONIFACY VIII (Benedykt Gaetani) (ok.1215-11 X 1303)

Najpierw kanonik w Todi, adwokat przy konsystorzu i notariusz apostolski. W 1281 kardynał. Wybrany papieżem 24 grudnia 1293 po abdykacji Celestyna V. Padł ofiarą „zamachu” w Anagni i zmarł w miesiąc później w Rzymie.

✱

BOURDENAY Michał de

Legista i doradca Filipa Pięknego. Ludwik X kazał go uwięzić i skonfiskować jego dobra. Za Filipa V odzyskał majątkość i został zrehabilitowany.

✱

BOUVILLE Hugo III de, hrabia (?-1331)

Syn Hugona II de Bouville i Marii de Chambly, szambelan Filipa Pięknego. W 1393 poślubił Małgorzatę des Barres, z którą miał syna Karola. Ten z kolei był szambelanem Karola V i zarządzał Delfinatem.

✱

BURGUNDZKA Agnieszka, diuszesa (ok.1268-ok.1325)

Najmłodsza z jedenaściorga dzieci Ludwika Świętego. Wydana za męża w 1279 za Roberta II, diuka Burgundii. Matka diuków Burgundii: Hugona V i Eudoksusza IV, Małgorzaty, żony Ludwika X Kłótliwego, króla Nawarry, a później Francji, oraz Joanny, zwanej Kulawą, żony Filipa VI de Valois.

✱

BURGUNDZKA Blanka (ok.1296-1326)

Młodsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii, i Mahaut d'Artois. W 1307 wydana za męża za Karola Francuskiego, trzeciego syna Filipa Pięknego. Po skazaniu jej za cudzołóstwo w 1314 jednocześnie z Małgorzatą Burgundzką uwięziona w twierdzy Château-Gaillard, później w zamku Gournay, koło Coutances. Po unieważnieniu jej małżeństwa w 1322 roku złożyła śluby zakonne w opactwie Maubuisson.

✱

CHARNAY Galfryd de (?-18 III 1314)

Templariusz, prowincjał Normandii. Aresztowany 13 października 1307, skazany i spalony na stosie w Paryżu.

✱

CHATILLON-SAINT-POL Mahaut de, hrabina de Valois (ok.1293-1358)

Córka Guy de Chatillona, wielkiego podczaszego Francji, i Marii Bretońskiej. Trzecia żona Karola de Valois, brata Filipa Pięknego.

✱

COLONNA Jakub (?-1318)

Potomek sławnej rodziny rzymskiej Colonnów. Mianowany kardynałem w 1278 przez Mikołaja III. Główny doradca kurii rzymskiej za Mikołaja IV. W 1297 ekskomunikowany przez Bonifacego VIII, w 1306 przywrócony do godności kardynała.

✱

COLONNA Piotr

Bratanek kardynała Jakuba Colonna. W 1288 mianowany kardynałem przez Mikołaja IV. W 1297 ekskomunikowany przez Bonifacego VIII, w 1306 przywrócony do godności kardynała.

✱

COLONNA Sciarra

Brat Jakuba, rycerz, jeden z wodzów stronnictwa gibelinów. Wróg papieża Bonifacego VIII, spoliczkował papieża podczas zamachu w Anagni.

✱

COURTENAY Katarzyna de, hrabina de Valois, tytułarna cesarzowa Konstantynopola (?-1307)

Druga żona Karola de Valois, brata Filipa Pięknego. Wnuczka i od 1261 spadkobierczyni Baldwina, ostatniego cesarza latyńskiego Konstantynopola. Po śmierci Katarzyny jej prawa odziedziczyła najstarsza córka, Katarzyna de Valois, żona Filipa Andegaweńskiego, księcia Achai i Tarentu.

✱

CRESSAY Eliabel de

Kasztelanka na Cressay koło Neauphle-le-Vieux w okręgu Montfort-l'Amaury. Wdowa po Janie de Cressay, matka Jana, Piotra i Marii de Cressay.

✱

CRESSAY Maria de (ok.1298-1345)

Córka lady Eliabel i rycerza Jana de Cressay. W 1316 potajemnie poślubiła Guccia Baglioni; urodziła dziecko zamienione w kołysce z Janem I Pogrobowcem, którego była mamką. Pochowana w klasztorze augustianów koło Cressay.

✱

CRESSAY Jan i Piotr

Bracia wyżej wymienionej. Obaj pasowani na rycerzy przez Filipa VI po bitwie pod Crécy w 1346.

✱

DESPENSER Hugo Le (1262-27 X 1326)

Ojciec Hugona Le Despenser. Wielki Sędzia Anglii. Od 1312 główny doradca Edwarda II. Od 1322 hrabia na Winchester. W 1326 odsunięty od władzy przez zbuntowanych baronów. Powieszony w Bristolu.

✱

DESPENSER Hugo Le, zwany Młodszym (ok.1290-24 XI 1326)

Syn poprzedniego. Od 1312 szambelan i faworyt Edwarda II. W 1309 poślubił Eleonore de Clare. Popelnione przez niego nadużycia władzy wywołały rewoltę baronów. Powieszony w Heresford.

✱

DUBOIS Wilhelm

Legista i skarbnik Filipa Pięknego. Uwięziony za panowania Ludwika X, odzyskał dobrą i godność za Filipa V.

✱

EDWARD II Plantagenet, król Anglii (1284-21 IX 1327)

Urodzony w Caernarvon, syn Edwarda I i Eleonory Kastylijskiej. Pierwszy książę Walii, diuk Akwitanii i hrabia na Ponthieu (1303). Pasowany na rycerza w Westminster (1306). Wstąpił na tron w 1307, poślubił Izabelę Francuską 22 stycznia 1308 w Boulogne-sur-Mer. Koronowany w Westminster 25 lutego 1308. Zdetronizowany w 1326 roku przez zbuntowanych baronów, na czele których stała jego żona. Uwięziony i zamordowany w zamku Berkeley.

✱

EDWARD III, następca tronu angielskiego, późniejszy Edward III Plantagenet, król Anglii (13 XI 1312-1377)

Syn poprzedniego, diuk Akwitanii i hrabia na Ponthieu. Po złożeniu z tronu ojca, w styczniu 1327 ogłoszony królem Anglii. W 1328 poślubił Filipę de Hainaut, córkę Wilhelma de Hainaut i Joanny de Valois. Jego pretensje do tronu francuskiego były przyczyną wojny stuletniej.

✱

EVRARD

Dawny templariusz, kleryk w Bar-sur-Aube. W 1316 zamieszany w sprawę o czary; wspólnie z kardynałem Gaetanem miał rzucać urok na króla Francji.

✱

EVREUX Ludwik Francuski d', hrabia (1276-1319)

Syn Filipa III Śmiałego i Marii Brabanckiej. Przyrodni brat Filipa Pięknego i Karola de Valois. Od 1298 hrabia d'Evreux. Poślubił Małgorzatę d'Artois, siostrę Roberta d'Artois. Miał z nią dzieci: Joannę, trzecią żonę Karola de Valois, i Filipa, męża Joanny, królowej Nawarry.

✱

FIENNES Jan de

Baron na Ringry, pan na Ruminghen, kasztelan na Bourbourg. Wybrany wodzem przez zbuntowaną szlachtę z Artois, był jednym z ostatnich, którzy się poddali. Poślubił Izabelę, szóstą z kolei córkę Guy de Dampierre'a, hrabiego Flandrii.

✱

FILIP III, zwany Śmiałym, król Francji (3 IV 1245-5 X 1285)

Syn Ludwika Świętego i Małgorzaty z Prowansji. W 1262 poślubił Izabelę Aragońską. Ojciec Filipa IV Pięknego i Karola de Valois. Towarzyszył swemu ojcu w czasie VIII wyprawy krzyżowej i w 1270 został ogłoszony królem Tunisu. W 1271 owdowiał. Ożenił się powtórnie z Marią Brabancką i miał z nią syna Ludwika, hrabiego d'Evreux. Zmarł w Perpignan po powrocie z wyprawy, którą podjął, aby dochodzić praw swego drugiego syna do tronu aragońskiego.

✱

FILIP IV, zwany Pięknym, król Francji (1268-29 XI 1314)

Syn Filipa III Śmiałego i Izabeli Aragońskiej, urodzony w Fontainebleau. W 1284 poślubił Joannę z Szampanii, królową Nawarry. Ojciec królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV oraz Izabeli Francuskiej, królowej Anglii. Ogłoszony królem w Perpignan w 1285, koronowany w Reims 6 lutego 1286 roku, zmarł w Fontainebleau. Pochowany w opactwie Saint-Denis.

✱

FILIP V, hrabia de Poitiers, później król Francji, zwany Długim (1291-3 I 1322)

Syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Ludwika X i Karola IV oraz Izabeli, królowej Anglii. W 1307 jako małżonek Joanny Burgundzkiej hrabia-palatyn Burgundii i pan na Salins. W 1311 hrabia-apanażysta na Poitiers. W 1315 par Francji. Regent po śmierci Ludwika X, zaś po śmierci bratanka, Jana I Pogrobowca, w listopadzie 1316, król Francji. Zmarł w Longchamp. Pochowany w opactwie Saint-Denis.

✱

FILIP LE CONVERS

Kanonik przy katedrze Notre-Dame w Paryżu. Wchodził w skład Rady Filipa V w czasie całego jego panowania.

✱

GAETANI Francesco (?-III 1317)

Bratanek papieża Bonifacego VIII, mianowany przez niego kardynałem w 1295. W 1316 zamieszany w sprawę rzucenia uroku na króla Francji. Zmarł w Awinionie.

✱

GAVESTON albo GABASTON Piotr de (1284-VI 1312)

Rycerz bearneński, faworyt Edwarda II, króla Anglii, który w 1307 nadał mu tytuł hrabiego Kornwalii. Ożenił się w tymże roku z Małgorzatą de Clare, córką hrabiego Gloucester. Regent królestwa i wicekról Irlandii od 1308. Ekskomunikowany w 1312. Zamordowany przez koalicję baronów. W roku 1315 Edward II kazał przenieść jego zwłoki z Oxfordu do Langley.

✱

GOT albo GOTH Bertrand de

Wicehrabia na Lomagne I Auvillars, markiz Ankony, bratanek oraz imiennik papieża Klemensa V. Kilkrotnie brał udział w konklawe w latach 1314-1316.

✱

HIRSON albo HIREÇON Beatrycze d'

Bratanica niżej wymienionego, panna dworu hrabiny Mahaut d'Artois.

✱

HIRSON albo HIREÇON Thierry Larchier d' (ok.1270-17 XI 1328)

Początkowo skryba u Roberta II d'Artois. Towarzyszył Nogaretowi podczas wyprawy do Anagni. Kilkrotnie pełnił różne misje na zlecenie Filipa Pięknego. Od 1299 kanonik w Arras. Od 1303 kanclerz Mahaut d'Artois. Od kwietnia 1328 biskup Arras.

✱

IZABELA Francuska, królowa Anglii (1292-23 VIII 1358)

Córka Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Siostra królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV. W 1308 poślubiła Edwarda II, króla Anglii. W 1325 razem z Rogerem Mortimerem stanęła na czele rewolty baronów, która doprowadziła do detronizacji jej męża. Zwana „wilczycą z Francji”. W latach 1326-1328 rządziła Anglią w imieniu syna Edwarda III. W 1330 wygnana z dworu królewskiego. Zmarła w zamku Hertford.

✱

JOANNA Burgundzka, hrabina de Poitiers, później królowa Francji (ok.1293-21 I 1330)

Starsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii, i Mahaut d'Artois. Siostra Blanki, żony Karola Francuskiego. W 1307 wydana za męża Filipa de Poitiers, drugiego syna Filipa Pięknego. W 1314 skazana za ułatwienie cudzołóstwa siostrze i szwagierce, uwięziona w Dourdan i w 1315 uwolniona. Miał trzy córki: Joannę, późniejszą żonę diuka Burgundii, Małgorzatę, wydaną za hrabiego Flandrii, oraz Izabelę, żonę delfina we Vienne. [Delfin – od 1130 tytuł oficjalny hrabiów na Vienne, od 1394 – tytuł następcy tronu francuskiego].

✱

JOANNA Francuska, królowa Nawarry (ok.1311-8 X 1349)

Córka Ludwika, króla Nawarry, późniejszego Ludwika X Kłótniwego, i Małgorzaty Burgundzkiej; podejrzana o nieślubne pochodzenie. Wydana za męża Filipa hrabiego d'Evreux. Matka Karola Złego, króla Nawarry, i Blanki, drugiej żony Filipa VI de Valois.

✱

JOANNA z Szampanii, królowa Francji I Nawarry (1271-IV 1305)

Jedyna córka i dziedziczka Henryka I, króla Nawarry, hrabiego Szampanii i Brie, który zmarł w 1274, oraz Blanki d'Artois. W 1284 poślubiła Filipa IV Pięknego. Matka królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV oraz Izabeli, królowej Anglii.

✱

JOINVILLE Jan de (1224-24 II 1317)

Dziedziczny seneszał Szampanii. Brał udział w VII wyprawie krzyżowej u boku Ludwika IX i razem z nim był w niewoli. W osiemdziesiątym roku życia napisał *Historię Ludwika Świętego*, dzięki czemu został zaliczony w poczet wielkich kronikarzy.

✱

JOINVILLE Joanna de → patrz: MORTIMER

✱

KAROL Francuski, później KAROL IV, król Francji (1294-1 II 1328)

Trzeci syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Od 1315 hrabiego-apanażysta Marchii. W 1322 wstąpił na tron po Filipie V jako Karol IV. Poślubił kolejno: w 1307 – Blanekę Burgundzką, w 1322 – Marię z Luksemburga, w 1325 – Joannę d'Evreux. Zmarł w Vincennes nie pozostawiając męskiego potomka. Ostatni król w linii prostej dynastii Kapetyngów.

✱

KLEMENS V, Bertrand de Got albo Goth, papież (?-20 IV 1314)

Urodzony w Villandraut jako syn rycerza Arnolda Garsiasa de Got. W 1300 arcybiskup Bordeaux. W 1305 wybrany papieżem po Benedykcie XI. Koronowany w Lyonie. Pierwszy awinioński papież.

✱

LATILLE Piotr de (?-15 III 1328)

W 1313 biskup w Châlons. Członek Izby Rachunkowej. Po śmierci Nogareta strażnik królewskich pieczęci. W 1315 uwięziony przez Ludwika X, w 1317 uwolniony przez Filipa V, powrócił na biskupstwo Châlons.

✱

LONGWY Jan de

Krewny wielkiego mistrza Jakuba de Molay. Należał do ligi feudałów burgundzkich, ukonstytuowanej w 1314.

✱

LOQUETIER Mikołaj Le

Legista i doradca Filipa Pięknego. Uwięziony przez Ludwika X. Odzyskał dobra i godności za Filipa V.

✱

LUDWIK IX Święty, król Francji (1215-25 VIII 1270)

Urodzony w Poissy, syn Ludwika VIII i Blanki Kastylijskiej. Koronowany w 1226,

faktycznie rządził Francją od 1236. w 1234 poślubił Małgorzatę z Prowansji, z którą miał sześciu synów i pięć córek. Dowodził VII wyprawą krzyżową (1248-1254). Zmarł w Tunisie w czasie VIII wyprawy krzyżowej. Kanonizowany w 1296 za pontyfikatu Bonifacego VIII.

✱

LUDWIK zwany Kłótliwym, król Nawarry, później LUDWIK X, król Francji (X 1289-5 VI 1316)

Syn Filipa Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Filipa V i Karola IV, oraz Izabeli, królowej Anglii. Od 1307 król Nawarry, od 1314 król Francji. W 1305 poślubił Małgorzatę Burgundzką, z którą miał córkę Joannę, urodzoną około 1311. Po „skandalu wieży Nesle” i śmierci Małgorzaty ożenił się po raz drugi, z Klemencją Węgierską, i koronował w Reims w sierpniu 1315. Zmarł w Vincennes. Syn jego, Jan I Pogrobowiec, urodził się w pięć miesięcy później w listopadzie 1316.

✱

MAŁGORZATA Burgundzka, królowa Nawarry (ok.1293-1315)

Córka Roberta II, diuka Burgundii, i Agnieszki Francuskiej. W 1305 poślubiła Ludwika, króla Nawarry, najstarszego syna Filipa Pięknego, późniejszego Ludwika X, z którym miała córkę Joannę. W 1314 skazana za cudzołóstwo (sprawa wieży Nesle), więziona w twierdzy Château-Gaillard, gdzie została zamordowana.

✱

MARIGNY Enguerrand de, właściwie LE PORTIER (ok.1265-30 IV 1315)

Urodzony w Lyons-le-Forêt. Po raz pierwszy ożeniony z Joanną de Saint-Martin, po raz drugi z Alips z Mons. Najpierw giermek hrabiego de Bouville, następnie dworzanin Joanny, żony Filipa Pięknego, i kolejno: dowódca załogi w zamku Issoudun (1298), szambelan (1304), pasowany na rycerza i obdarzony hrabstwem Longueville, zarządzający finansami i budynkami królestwa, dowódca załogi w Luwrze, koadiutor króla i rektor królestwa w ostatnim okresie panowania Filipa Pięknego. Po śmierci tego ostatniego oskarżony o nadużycia finansowe, skazany i powieszony na Montfaucon. Rehabilitowany pośmiertnie przez Filipa V i pochowany w kościele Kartuzów, skąd później ciało jego przeniesiono do kolegiaty Ecouis, którą ufundował.

✱

MARIGNY Jan albo Filip, albo Wilhelm de (?-1325)

Brat poprzedniego. W 1301 sekretarz króla. W 1309 arcybiskup Sens. Zasiadał w trybunale, który skazał na śmierć jego brata, Enguerranda. Trzeci brat Marigny, również o imieniu Jan, był od 1312 hrabią – biskupem w Beauvais, wchodził w skład tychże komisji sądowych i żył do 1350.

✱

MOLAY Jakub de (1244-18 III 1314)

Urodzony w Molay (Haute-Saône). Wstąpił do zakonu templariuszy w 1265 w Beaune. Wyjechał do Ziemi Świętej. W 1295 wybrany wielkim mistrzem. Aresztowany w październiku 1307. Skazany i spalony na stosie w Paryżu.

✱

MORTIMER Joanna Lady z rodu Joinville (1286-1356)

Córka Piotra de Joinville i stryjeczna wnuczka seneszała, towarzysza Ludwika Świętego. Około 1305 poślubiła sir Rogera Mortimera i miała z nim jedenaścioro dzieci.

✱

MORTIMER Roger (1287-29 XI 1330)

Najstarszy syn Edmonda Mortimera, barona Wigmore, i Małgorzaty de Fiennes. Ósmy baron na Wigmore. Wódz rewolty, która doprowadziła do detronizacji Edwarda II. Jako lord protektor wspólnie z królową Izabelą faktycznie rządził Anglią podczas niepełnoletności Edwarda III. Pierwszy hrabia Marchii w 1328. Aresztowany przez Edwarda III i skazany przez Parlament, został powieszony na szubienicy Tyburn w Londynie.

✱

NEVERS Ludwik de (?-1332)

Syn Roberta de Béthune, hrabiego Flandrii, I Jolanty Burgundzkiej. W 1280 hrabia de Nevers. Po ślubie z Joanną de Rethel – hrabia na Rethel.

✱

NOGARET Wilhelm de (ok. 1256-V 1314)

Urodzony w Saint-Félix w diecezji Tuluzy. Uczeń Piotra Flotte'a i Gillesa Aycelina. Wykładał prawo w Montpellier w 1291. Sędzia królewski w okręgu seneszala Beaucaire w 1295. Nobilitowany w 1299. Zasłynął jako prawnik w sporach między koroną francuską a Stolicą Apostolską. Dowodził wyprawą na Anagni przeciw Bonifacemu VIII w 1303. Strażnik pieczęci od września 1307 do śmierci. Wszczął i prowadził proces przeciw templariuszom.

✱

PAREILLES Alain de

Kapitan łuczników za panowania Filipa Pięknego

✱

PAYRAUD Hugo de

Wizytator zakonu templariuszy na Francję. Aresztowany 13 października 1307, skazany na dożywotnie więzienie w marcu 1314.

✱ **PLOYEBOUCHE Jan**

Prewot Paryża od 1309 do końca marca 1316.

✱

PRÉ Jehan de

Dawny templariusz. Zatrudniony jako sługa w Walencji w 1316, wraz z klerykiem i dawnym templariuszem Evrardem zamieszany w sprawę usiłowania rzucenia uroku na Ludwika X przez kardynała Gaetaniego.

✱

PRESLES albo PRAYERS Raul I de (?-1331)

Pan na Lizy-sur-Ourcq. Adwokat. W 1311 sekretarz Filipa Pięknego, po śmierci którego został uwięziony; powrócił do łask pod koniec panowania Ludwika X. Strzegł konklawe w Lyonie w 1316. Nobilitowany przez Filipa V, był przybocznym rycerzem tego króla i wchodził w skład jego Rady. Założył kolegium w Presles.

✱

SAISSET Bernard de

Proboszcz w kościele Św. Antoniego w Pamiers. Bonifacy VIII specjalnie dla niego utworzył biskupstwo w Pamiers (1295). Saisset popadł w konflikt z królem Francji. Aresztowany i postawiony przed sądem w Senlis w październiku 1301. Proces ten doprowadził do zerwania stosunków dyplomatycznych między Filipem IV a Bonifacym VIII.

✱

TOLOMEI Spinello

Stał na czele kompanii sienneńskiej, którą założył we Francji w XIII wieku Tolomeo Tolomei. Kompania ta szybko wzbogaciła się prowadząc handel międzynarodowy i kontrolując kopalnie srebra w Toskanii. Do dziś istnieje w Sienie pałac Tolomei.

✱

VALOIS Karol de (12 III 1270-XII 1325)

Syn Filip III Śmiałego i jego pierwszej żony Izabeli Aragońskiej. Brat Filipa IV Pięknego. Pasowany na rycerza w czternastym roku życia. W tymże roku legat papieski nadał mu prawa do korony aragońskiej, lecz Karol de Valois nigdy nie zdołał objąć tronu i w 1295 zrzekł się tytułu. Od 1285 hrabia-apanażysta na Valois i Alençon. Po ślubie z Małgorzatą z Andegawenów sycylijskich w marcu 1290 - hrabia na Andegawenii, Maine i Perche. Po zawarciu drugiego małżeństwa, w styczniu 1301, z Katarzyną de Courtenay – tytularny cesarz Konstantynopola. Bonifacy VIII nadał mu tytuł hrabiego Rumunii. Po raz trzeci ożenił się z Mahaut de Châtillon-Saint-Pol. Z tych trzech małżeństw miał wiele dzieci. Jego najstarszy syn panował we Francji jako Filip VI i był pierwszym królem z dynastii Walezjuszów. W 1301 Karol de Valois dowodził wojskami w Italii jako stronnik papieża. Stał na czele dwóch wypraw do Akwitanii (1297 i 1324). Ubiegał się o cesarską koronę niemiecką. Zmarł w Nogent-le-Roi.

Pochowany w kościele Jakobitów w Paryżu. [Jakobitami zwano w średniowieczu dominikanów, bowiem ich klasztor znajdował się w Paryżu przy ul. Św. Jakuba].



KONIEC tomu 1

Księgozbiór DiGG



2010